

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/452

1985



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

MARSZAŁEK W POEZJI POLSKIEJ

P. P. URSYN: NIE ZAPOMNIEĆ

— PRZEMYŚLEĆ I PRZEBACZYĆ

B. KORZENIEWSKI: POWROT

REDAKCJA: OBSERWATORIUM

SPIS RZECZY

Krzysztof A. Jeżewski (opr.):	Marszałek w poezji polskiej	3
Piotr Paweł Ursyn:	Nie zapomnieć — przemyśleć i przeba- czyć	20
Gustaw Herling-Grudziński:	Dziennik pisany nocą	33
Bohdan Korzeniowski:	Powrót	44
Sławomir Mrożek:	Pamięć	70

WIERSZE

Jacek Bierezin:	Tyle rzeczy	72
Jacek Bierezin:	W naszych czasach	73
Stańczykówna:	Dialektyka i sztuka	74
Jan Winczakiewicz:	Łobodowski	76

ARCHIWUM POLITYCZNE

Redakcja:	Obserwatorium	77
Kamila Chylińska:	O Zielonych — nie na czarno ani białe	83
Zbigniew Byrski:	Kronika amerykańska	94
Jerzy Boniecki:	Jałta	100

K R A J

Maria Dawidowicz:	Mały świadek wielkich wydarzeń	103
—	Wywiad z prof. Romanem Busatowskim	110
—	Nagrody kulturalne „Solidarności” za rok 1984	110

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	W sowieckiej prasie	112
Andrzej J. Chylecki:	Kronika niemiecka	118

KRONIKA KULTURALNA

Józef Czapski:	Chagall i Sutin	122
Rita Gombrowicz:	Gombrowicz w Berlinie	123

K S I A Ź K I

Maria Danilewicz Zielińska:	Recydywa?	129
Witold Gombrowicz:	Moi sąsiedzi na mapie literatury	137
—	Nadane nowości wydawnicze	139



—	Wydarzenia miesiąca i kroniki: austra- lijska i nowozelandzka, kanadyjska i norweska	142
---	--	-----



St. Babiński, M. Bańkowski- Züllig, Czytelnik, St. Ki- sielewski, A. Lubicz-Łuba, B. Toporska-Mackiewicz- wa, M. Umińska:	Listy do Redakcji	147
---	-------------------------	-----

DOKUMENTY

—	Komisja dyscyplinarna a ks. Popie- łuszko	153
—	Zarządzenie w sprawie przekazywania informacji	157

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj - Mai 1985

INSTYTUT  LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA), po raz 59-ty — \$ 100,00 ..	F. 920,00
Dr Jan J. Golnik, Papillion, NE (USA), po raz 4-ty — \$ 28,00	F. 252,00
W. Łuszczak, Thunder Bay, Ont. (Kanada), po raz 11-ty	F. 300,00
Jan Krawiec, Schiller Park, IL (USA), po raz 4-ty — \$ 50,00	F. 460,00
B. Obuchowski, Bankstown, NSW (Australia), po raz 7-my — \$ 20,00	F. 135,00
W czwartą rocznicę śmierci Stefana Strelcyna, dla uczczenia Jego pamięci, żona, syn i synowa, Manchester-Londyn — £ 30,00	F. 354,00
Kazimierz A. Różankowski, Ocean Grove, N.J. (USA), po raz 9-ty — \$ 28,00	F. 257,00
Jan Winczakiewicz, Paryż — zamiast kwiatów na grób śp. Tadeusza Parczewskiego	F. 200,00
B. Wróblewski, Pennington, SA (Australia) — \$ A. 20,00 ..	F. 135,00
Zamiast kwiatów na grób Stefana Strelcyna w czwartą rocznicę Jego śmierci — syn i synowa z Paryża	F. 150,00

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Bezimiennie z Albuquerque, N.M. (USA) — \$ 15,00	F. 135,00
Na Apel „Konfederacji 76” — Oddział Boston na rzecz Solidarności Podziemnej złożyli: ks. A. Nadzieja — \$ 50,00; M. Orłowski i byli internowani W. Szypszak i Z. Padzik po \$ 20,00; W. Ostrowski — \$ 15,00; Z. Łabejsza, W. Aron, J. Harasiuk, M. Stankiewicz, M. Szczepaniewicz, W.C. z Cambridge, P. Janik i bezimiennie — po \$ 10,00; byli internowani S. Borucki, C. Rybak, T. Daniszewski, W. Micherda, A. Kruczyński, W. Wierzbowski, T. Wojdakowski i J. Kocjan — po \$ 10,00; A. Biedak, Ciocia Ela z Gdańska, Z. Wallek, L. Zimny oraz byli internowani M. Butkiewicz, A. Butkiewicz i R. Górski — po \$ 5,00 — ogółem: \$ 320,00	F. 2.880,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada — \$ US 100,00	F. 900,00
Kazimierz A. Różankowski, Ocean Grove, N.J. (USA) — \$ 40,00	F. 368,00

WPLĄTY NA FUNDUSZ DUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Wojciech Szczygielski, Zurych — Fr.szw. 30,00	F. 108,00
Tadeusz Walendowski, Bethesda, MD (USA) — składka czytelników powieści „Rzeka podziemna” Tadeusza Konwickiego, której egzemplarz podziemnego wydania przez „Krag” dotarł do Waszyngtonu — \$ 25,00	F. 225,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160)

Marszałek w poezji polskiej¹

Włodzimierz PERZYŃSKI

FRAGMENT

Duch, który własnym ogniem swoim świeci
Nigdy nie legnie martwy u stóp klęski
Ponad otchłanie wzniesie się zwycięski
I drogę jasnym triumfem rozkwieci.

Błogosławiony, najszczęśliwszy mocny
Krew i łzy w różę pachnące zamieni
Aż się płomieniem złotym oczerwieni
Niby w dojrzałe lato sad owocny.

Aż będzie sadem cienistym i źródłem,
Kędy przychodzą stada rozżęsknione
Dusz — pić z krynicy w zorzach ozłoconej
I czerpać wiarę i siły przed bojem.

Włodzimierz Perzyński: „Poezje”, Warszawa 1923, str. 67.

1. Wybór Krzysztofa A. Jeżewskiego.

* W końcu br. ukaże się w Bibliotece „Kultury” nowy wybór pism Marszałka Józefa Piłsudskiego w wyborze i opracowaniu Zyndrama Wiśniewskiego.

Julian TUWIM

DRUSKIENNICKIE DRZEWA

BALLADA

Od Litwy szumny wiatr zawiewa
Jesienną pieśń zawodzi las
I stare druskiennickie drzewa
Tak sobie gawędziły raz:

Gdzie Rotniczanka wody niesie
I w Niemen wpada wełną pian,
Przyjeżdża tam co rok pod jesień
Ten zadumany, starszy pan.

Ma siwą kurtkę, siwe oczy,
Sumiasty wąs, krzaczaste brwi
Nad brzegiem rzeki często kroczy
I patrzy w dal i jakby śni.

To wśród tutejszych kuracjuszy
Jest ponoć jakiś ważny gość
Bo lud uchyla kapelusze
I dobrotliwie szepcze coś.

On widać w życiu wiele przeżył,
Przeboleł sercem każdą myśl
I dużo walczył, dużo wierzył
A może walczy jeszcze dziś.

Chociaż pękało serce nieraz
A gwałtem trzeba było żyć,
Więc zamyślony chodzi teraz
I to co czuje musi kryć.

Od wrogów, może od przyjaciół
Samotnie szedł do czterech ścian
I tam mu upór usta zaciął
I przeto milczy starszy pan.

A zresztą, cóż my wiemy drzewa:
Zaścianek tutaj, głucha wieś
Od Litwy szumny wiatr zawiewa
I śpiewa, śpiewa wieczną pieśń.

Może w stolicy ludzie wiedzą
Więcej niż bór i wiatr i łan,
Może nam ludzie opowiedzą
Kim jest ten siwy, starszy pan?

I o czym дума, gdy tak kroczy
Wśród drzew zdziwionych wiecznie sam
I dokąd patrzą siwe oczy
Może powiedzą ludzie nam?

Lecz widać, musi w kurtce szarej
Samotnie drogą swoją iść,
Jeśli mu baublis — dąb prastary
Co dzień pod stopy rzuca liść.

Kurier Wileński 1930, nr 114 (przedruk za:
„Ondyna Druskiennickich źródeł”, Grodno 1929).

Światopełk KARPINŃSKI

CZARNY MAJ

WIERSZ NA ZGON MARSZAŁKA
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Wtem śpiewające drzewa pochyliły głowy
i przeszył noc majową wiatr listopadowy.
Zdzierał liście z gałęzi i uśmiechy z twarzy.
Pierwsze krople. Łzy pierwsze. Nie stawajcie szarzy
i nie szepcacie wieści w skamieniałym mieście,
lecz czarną drzazgą w sercu w życie ją ponieście,
by atom owej chwili zawsze mieć w ukryciu,
bo przecież taka wiosna jedna była w życiu.

Pamiętasz? Wszystkie mózgi w noc się pałą.
Przed nami leżą myśli porabane z żalu,
jak woda poprzez palce, w przeszłość nam przecieka,
ojczyzna, co się zrosła z imieniem człowieka.

Już inne krajobrazy. Dziś inaczej dyszy
brzezina rozbielona wśród piaszczystej ciszy.
Inną melodię nosi w liściach grusza stara,
gdy brodzi po konary w pszenicznych pożarach.

Inaczej klaszcze słowik w jaśminach księżycu,
gdy spoza tłumy liści nocą się zachwycą.
Jestem w obcej krainie. Gdzie skieruję kroki? — :
Ojczyzna się rozdarła na Polskę i Zwłoki.

Ubogi, jak pod krzyżem na wiejskim rozdrożu,
a przecie ja nie jeden, jeno kropla w morzu.
Tak wyrósł ów dzień czarny ponad białą nocą,
serca dzwonów i ludzi w powietrzu trzepocą.
Historia bije w żyłach, w ciałach naszych krąży,
wzbiera nurtem, przez tajne pieczary się draży
i porywa i wali, jak powódź po błoni,
aż o srebrne dno duszy kropłą krwi zadzwoni.
Stój! Czy w sobie to słyszysz?

Oto wszyscy słyszą
i odkrywają głowy, by się nakryć ciszą.
Pactwo żałobnych druków, niby czarne kruki.
Pod deszczem tłum bez twarzy: głowy, buty, bruki...
I znowu się na dwoje ojczyzna rozedrze.
Patrzymy.

Milczy trumna złożona w katedrze.

Szary, jak skiba roli, jak... ziemia... kochany...
Zasklepiły się dzieje w cztery wąskie ściany.
Odchodzimy. Wzrok w ziemię. W żyzną tajemnicę.
Tak idziemy przez życie idąc przez ulicę.
Wiatr wystrzały i gromy w jedną skargę targa.
Twe imię, jak opłatek niesiemy na wargach.
Gdy w zaułku przyszłości już znikniemy tłumnie
Ono jedno nam starczy za wszystkie komunie...

Światopełk Karpiński: „Trzyście wierszy”,
Warszawa 1936, str. 37-39.

Maria JASNORZEWSKA (PAWLIKOWSKA)

POSĄG KTÓREGO JESZCZE NIE MA

W rogu krypty,
na wieńcach,
na sztandarów pękach,

przez łyzy widoczna tylko —
ale grecko piękna
kształtem swojej młodzieńczej,
i zwycięskiej głowy,
stoi dziewczyna,
posąg,
biały, marmurowy — — —
Z piersią wzniesioną,
łukiem
tryumfalnej wieści,

której krzyku
żałobna krypta nie pomieści.

Oniemiała —
a ręce jej bezsilnie zwisły...

Patrzy w Marszałka:

Jego
Victoria,
Cud Wisły!...

I cokolwiek się stanie,
cokolwiek się zdarzy,
od tej trumny już pięknej
nie odwróci twarzy.

Wiadomości Literackie, R. 12 Nr 23 (603), str. 2,
Warszawa 9 czerwca 1935 r.

Julian TUWIM

AERE PERENNIUS

Pomnik trwalszy nad spiz własnym żywotem wzniośł,
Górą trudów się wzbilł ponad Giewontu szczyt,
I nie skruszy go czas ani go przeżre rdza,
Ani stokrotny wiek skazy nie znajdzie w nim.

Nie pomogła Mu śmierć, nie wyzwolił Go zgon,
Ale skazał na straż sumień naszych i serc,
I gdy drgniemy — to On gniewnie spojrzwał spod brwi,
Głośnie bijąc we krwi, niżli Zygmunta dzwon.

Prawdę wskrzesił ze słów: cnota, honor i czyn,
Ciałem stały się znów, laur na gruzach ich wzrósł.

Stary mógłby Mu Rzym na Capitolium
Wznieść kolumnę na grób, pisząc: *Virtutibus*.

Muzo! Wieczny to rytm, w którym ku trumnie tej
Scandet cum tacita virgine pontifex!
Milcząc, módlmy się tak: wieczny, wieczny jest duch,
Jedna droga na szczyt — przez samotność i trud.

Wiadomości Literackie R. 12 Nr 23 (603), str. 2,
Warszawa 9 czerwca 1935 r.

Emil ZEGADŁOWICZ

PATRZĄC NA POGRZEB MARSZAŁKA

nie ma już więcej słów w słowniku —
roztrwoniono je doszczętnie w żałobnym tygodniu;
— — nieść by Cię wysoko — szczytami —
w wicherze — w ogniu —

ściąć by lasy sosnowe, modrzewiowe, dębowe —
ułożyć stos — piramidę ognia — Twój trup na szczycie —
— rozpłomienić tą śmiercią
nieskąpiące wielkości, niewstrzymane życie —

przysypano Cię po śmierci
przepychem miałkim ceremonialnego gruzu —
— już się nie bano Twego serca
ni Twego mózgu —

przestało serce bić, mózg przestał myśleć
(— na razie, panowie, na razie)
— mózg jest w laboratorium u profesora Rosego —
— serce w stosowanej kryształowej wazie —

a ciało w srebrnej trumnie
z trzema szybami —
— trudno się Polakom rozstać
z Twymi marsowymi brwiami —

trzykroć podnoszono trąbki do ust
— nie drgnęły blachy — nie zadrżały —
i szedł spodem kłusujący ból,
wierchem wionął strach wyszczerzony i biały —

i było trzyminutowe milczenie:
znaczy: rozpacz, znaczy: historyczne mijanie —
niejeden pomyślał: może usłyszysz
101 strzałów — może wstanie,

może krzyknie, może smagnie słowami
przez pysk jak rozpalonym żelazem —
— no i strach ludzi zdjął, psi strach —
ostatni, ostatni tym razem —

nie lękajcie się już! — nie spojrzysz w wasze czerepy —
skrytki ich brudne umiał zawsze, drwiąco, otworzyć —
rozdrapcie schedę długiego cierpienia —
odziedziczyliście — korzyść!!

wspaniały program pogrzebu — teatralny: —
stroje z rekwizytorni historii — ambasadrowie, biskupi, popi —
na początku wojsko i księża,
na końcu — chłopci!

odwróciłeś-był wczoraj, milczący, dzieje,
przenicowałeś je, odwróciłeś podszewkę, pokazałeś łaty i dziury —
i — dziś jeszcze nie! — lecz jutro! tak samo milczący —
uczynisz to płonącymi palcami gniewu po raz wtóry —

bo zostaje po Tobie coś więcej niż zwłoki,
coś więcej niżli „pamięć”, niżli „żał głęboki”,
coś co się wielką sumą w bilans życia wlicza:
(ponad splendor i łajno): czynność buntownicza!

Wiadomości Literackie R. 12 Nr 23 (603), str. 2,
Warszawa 9 czerwca 1935 r.

Allan KOSKO

EPITAFIUM

(NA ZGON JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO)

Ni chwalbą nam Jego trudzić,
Ni salwą ze snu Go budzić,
Kiru nie trzeba dzwonów
Dla zgonu.

Nie trzeba fanfar ni kantat
Człowiekowi, który
Zmienił nam amaranty
W siwe mundury.

Który po dwu wiekach polskich
Po kuli ziemskiej wojaczek
Pierwszy sprawił, że żołnierz polski
Nie był tułaczem.

Ocalić
Treść Twego słowa, i głosu —
Do serc nacerpać stali
Twych szarych oczu!

Wstawili kryształ do krypty —
Zabębnił dobośz, i urwał.
Czaru nie przerwie nikt:
MAGNI NOMINIS UMBRA.

Dziennik Poznański z 15/16 maja 1935 r.

Władysław SEBYŁA

I rozstąpiwszy się przyjęły groby
strzępy ciała spalone od wewnętrznego żaru,
a wśród żyjących uderzyły larum
trąby bezgłośne i werble żałoby.

I czekającym w czas wiosennej nocy
posępny żal zaśpiewały dzwony,
że tylko ciałem będzie pogrzebiony,
Ten, co śmiercią ostatni daje rozkaz — mocy.

Że między królów został powołany
On, co marzenie zamienił na ciało,
co Słowo z Czynem związał wolą trwałą,
ów „duch najwyższy... królem... przez miłość obrany”.

Znicz 1937 nr 5.

Józef CZECHOWICZ

JEGO CIEN

Wodą goplaną, wodą dryświacką, Wisłą,
sosen posoką, żniwnym wieczorem znojnym
święcisz krainę szerokopiersną wszystką,
cieniu z podziemia, nie do pojęcia spokojny.

Deszcze rosiły, świerszcze dzwoniły czerwcem,
szły zim zamiecie po bujnym lecie z nieba —
mundur za szybą ciągle się jeszcze niebieszczy,
a twarz ziemista, bardzo ojczysta — to gleba.

Mały pastuszek nocy majowych, księżyc,
kraty herbowe święci smugami bieli.
Słowik złowiony w jasnych promieni więzy
świat na połowę graniem promiennym dzieli.

Słowik, rocznica... Słuchać i słuchać, bracia,
przecierać oczy wawelskim zboczem wonnym:
w taką noc Polskę woda Gopla przetacza
pod cień ogromny, ongi Jej zaślubiony...

Pion R. 6 Nr 19 z 15 maja 1938 r., str. 1.

Jan LECHOŃ

DO WIELKIEJ OSOBY

O Ty, coś się na chwilę nie rozstawał z chwałą!
Pamiętam maj w Paryżu i wieczór upalny,
Gdy nie chciał nikt uwierzyć w to co już się stało
I kiedy szedłem płakać pod Łuk Tryumfalny.

Jam odtąd nigdy Twego nie wzywał nazwiska,
Lecz jak Cię dziś nie wołać, gdy Wilno się pali
I milion znów bagnetów wśród dróg naszych błyska
I słychać znów w Warszawie armaty Moskali.

Więc znowu idź przed nami, Ogromna Osobo,
I patrzaj w ciemną przyszłość przez swe oczy siwe,
A my znowu w nieszczęściu idziemy za Tobą
Ażeby znowu czynić rzeczy niemożliwe.

„Poezje zebrane 1916-1953”, Londyn 1954, str. 99.

Marian HEMAR

19 MARCA 1940

Cisza była w kościele, przerywana jeno
Płaczem kobiet. Rycerze stali nieruchomo.
Tylko im wąsy drgały w szlochu. Na ambone
Wystąpił ksiądz Kamiński, blady jak opłatek.
Przez ramię przewieszony miał bęben żołnierski,
W dłoniach pałeczki trzymał. Milczał długo. Nagle
Uderzył w bęben werblem żołnierskim — i urwał.
I zdumieli się wszyscy. Znowu dłonie uniósł
I znów zagrał na larum — na trwogę — aż cisnął
Pałeczki na kamienną posadzkę kościoła
I na katafalk zwrócił oczy i zawołał:
Panie Wołodyjowski!

Wtedy, z niewiastami,
Zapłakali rycerze. A ksiądz wołał trupa —
Panie Wołodyjowski! — wróg w ojczyźnie stanął
A ty śpisz? A ty szabli nie dobywasz? Konia,
Rycerzu, nie dosiadasz?

O, Panie Marszałku!

O Marszałku Piłsudski,
O daleki cieniu,
Błękitny, nieuchwytny,
Przeinaczony w wspomnieniu —

Szukało Cię radio po nocach
Na odsiecz ginącej Warszawie
A Tyś się nad mapą nie schylał
W tej najcięższej, najsroźszej przeprawie
Wołały Cię krzyki werblów
Milknących już, rozpaczliwych.

A Tyś miecza nie dobył.
Konia nie dosiadł.
Nie było Cię pośród żywych.

W trumnie pod wieżą Srebrnych Dzwonów,
W kamiennym lochu leży On,
Co sam za życia był jak dzwon,
Gdy w serce swoje wzięt z milionów
Serc — wszystką gorycz, wszystek żal
I wszystek hart samotnej mocy
I wszystką dumę głuchych nocy
I polskich marzeń wszystką dal.
I wszystko w sobie stopić umiał
W jednego spiżu trudny ton.
Ale nikt w Polsce nie rozumiał,
Dla kogo brzmi bezsenny dzwon,
Dlaczego lampa lśni co noc,
Do świtu, w oknie w Belwederze
I skąd się bierze owa moc,
Że prezą się — jak młodzi porucznicy —
I błędną — najstarsi żołnierze,
Gdy w oczy patrząc
Zmarszczy brwi.

O Panie Marszałku,
O Marszałku Piłsudski.

Stertami kwiaty kładli
Na belwederskim dziedzińcu —
Ziemie znosili, kopiec
Sypali Ci na Sowińcu.
Serce zanieśli na Roszę.
A ciało, jak próżną zbroję
Złożyli w krypcie Wawelu.
I wrócili — swój do swego, po swoje.
I robili wycieczki,
I biadali: Ojczyzna!
I stawiali pomniki,
I krzyczeli: puścizna!
I nagle ich było tak wielu
Przy puściznie Twojego imienia.
Tę puściznę rozrywali w tłoku —
Cały rok, dzień i noc, bez wytchnienia,
A dla Ciebie — tylko raz do roku —
Zostawiali minutę milczenia.

I tylko tej minuty — jeden raz do roku —
Można było usłyszeć, bez niczyjej komendy,
Jak w górze — coraz dalej — skrzydła biją w mroku.
To odlatał archanioł umarłej legendy.

Ale dzisiaj, w przeraźliwym blasku
Nieszczęścia, wstydu i klęski,
Serca mając trzepocące w potrzasku
I szloch w gardle dławiąc niemęski —

Gdy wydaje się w myśli beztładzie,
W beznadziejnej, nikczemnej obawie,
Że już przysły polskie sny o szpadzie,
Sny o mocy i sny o sławie —

Gdyż już tylko szukamy — czyj błąd?
Kto był winien? Jakiej komu kary?
Kto oszukał i kogo pod sąd? —
Jakby dość było takiej ofiary —

Kiedy tryumf przemocy diabelskiej,
Patrzeć każe złu twarzą w twarz —
Gdy u tej krypty wawelskiej
Niemcy trzymają straż —

Przez łyzy nawisłe u rżęs
Pytają bezradne spojrzenia —
Jaki był w Polsce sens
Jego istnienia?

Odpowiedź surowa.
Ale brzmi najprościej.
Jego testament — dwa słowa:
Nakaz wielkości.

Wielkości — to znaczy:
Większe niż los — mieć serce.
I być wielkim w rozpacz.
W nędzy i w poniewierce.

Nauczyć się — poprzez zło
I gwałt dwugłowego czarta,
Co znaczy wolność, i co
Jest, i co będzie warta.

Dzisiaj nie czas na kręte wysiłki,
Na sąd, kto winien — ci, tamci, czy inni?
Każdego błędu i każdej pomyłki
My wszyscy, wszyscyśmy winni!

Winien jest kłamca, i każdy co wierzył
Kłamcy, bo wierzyć było najwygodniej.
I każdy, co Polskę swoją miarą mierzył
I mniej miał dla niej a więcej chciał od niej.

Kto się dla siebie wymówki doprasza
Niech jeno spojrzy prawdzie w twarz:

Każde zwycięstwo jest nasze
I każda klęska jest nasza.
Nasz, wspólny, jest honor. I każdy
Grzech, każdy błąd — jest nasz.

Oto jest nakaz wielkości.
My już nie mamy wyboru.
My już nie musimy, po wieczność wieczności
Żyć według jednego wzoru.

Oto ślub nasz, Panie Marszałku,
Dziś rozbitki miotani przez fale —
Jutro będziemy wielcy —
Albo nie będzie nas wcale!

Albo stanie na gruzach Warszawy
Pomnik sławy, łuk zwycięstwa promienny,
Albo niech zatkną tam krzyż
Na grób.
Ale krzyż bezimienny.

Ażeby się nie dowiedział
Do końca świata wzrok ludzki,
Że tu leży naród, którego wodzem,
Na próżno —
Był Józef Piłsudski.

„Dwie ziemie święte”, Londyn 1942, str. 7-10.

Kazimierz WIERZYŃSKI

WYROK POŚMIERTNY

Pobladła noc doczesna. Widzę was na przestrzał
 Jak małość wam obłazi czaszkę robaczywą,
 Bledną pola bitewne, gdzie z konia obwieszczał
 Wolność i dumę waszą, i powiewał grzywą,
 Płaski mrok chce mnie urzec, mrok co obłaskawi
 Pioruny przeznaczone, by zło tropić na dnie.
 Żołnierze! Widzę trud wasz, pobici i krwawi,
 Widzę kto zdradzi pierwszy, ostatni kto padnie.

Daję wam, co się we mnie do bólu natęży
 I co zostanie potem dla was do zdobycia:
 Moje góry ogniste, gdzie błyskał z oręża
 I rozcinał nim przyszłość. Góry mego życia.

Siałem wiatry śmiertelne. Jestem czoło burzy.
 Lecę na niej, świat niosę i żyję bezdomnie.
 Mój mit kurzawę wzbija. Gromem się powtórzy —
 Biada, jeżeli pustym! Pustym dźwiękiem — po mnie.

Nie dam wtedy pardonu. Kto odstał, niech ginie.
 Jak zbójcę ześle na was wyrok po wyroku,
 Napadnie was złoczyńcą i w ciemne jaskinie
 Strąci, przeklnie i zniszczy. Uduście się w mroku.

Jeśli to będzie szatan — będzie sprawiedliwy,
 Jeśli anioł — miecz włożę do ręki cheruba.
 Konie moje, zarzyjcie! Wysoki i mściwy,
 Skazuję was na wielkość. Bez niej zewsząd zguba.

Poezje zebrane. „Wolność tragiczna”, Londyn [1959], str. 250.

Kazimierz WIERZYŃSKI

DUCH

Na wznak tam leży, gdzie wszedł między króle,
 Śpi bez oręża, niegroźny już człowiek,

Bezwładny, w ciemnej zamknięty szkatule,
 Brwią nie poruszy, nie błysnie spod powiek.

A jednak myślą, gdy dojdiesz tam kiedy,
 Mimo lat przeszłych, z największej oddali
 I z dna samego swych nieszczęść i biedy
 Spojrzysz tam — jeszcze cię ogniem przepali.

Uderzy siłą, co strąca kamienie
 Z królewskich grobów i kruszy ich zbroję,
 On zaświatowy — aż wejdzie w sumienie
 Sądzić twe własne słabości i swoje.

Bo oddał wszystko i podjął się dzieła
 W pustych przestrzeniach i w czasach bez miary,
 By z nich się ziemia świadoma ocknęła,
 Ludy i wolność i sławne sztandary.

Bo oddał wszystko, nieczuły na szczęście
 Co można oddać — i w płaszczu samotnych
 Trwał ponad klęską i trwał nieugięty,
 Przyszłość widzący wśród burz wielokrotnych.

I to wywyższa go wciąż, wyogromnia
 I w naszych nocach wciąż brzmi jego głosem:
 Polska bezsenność, wieczysta insomnia
 Nad naszą nędzą, wielkością i losem.

I nikt nie ujdzie tej sile znad niego,
 Choć na wezglowiu położył się kruchem,
 Człowiek umarły. Spójrz, duchy go strzegą,
 By nas odmierzał i sądził swym duchem.

Poezje zebrane, „Krzyże i miecze”, Londyn [1959], str. 419.

Czesław MIŁOSZ

**

Wojna była wygrana i gwiazdy spokojne.

Topolowa i polna kraina uboga uchroniła skrzydła nad chatą
 bocianie i swój chleb znaczonej znakiem krzyża.

Nikt nie miał wycinać lipowych alei ani osaczać wiosek nad ranem i wysyłać ludzi transportami na wschód.

Majsterkowie poszywający dachy słomą, wiejscy kowale, bednarze sposobiący beczki na porę kiszenia kapusty mieli pełne ręce roboty, jak i muzykanci na weselach.

Zachowana została bieda powszednia, bosonodzy pastuszkowie palili na ścierniach ogniska, gęsi gęgały na rozłogu i skrzypiały studzienne żurawie.

Czarne miasteczka okryte w dni jarmarczne wzorzystą derką i szczipiące z worka owies, w piątek wieczorem zapalały świece.

Drewniane szprychy klekotały nocą w polu i łuna szła od wieczornej zorzy, nie od przebudzonych miast.

Uczeń galicyjskiego gimnazjum, wyrobnik, panicz i gospodarski syn leżeli pod darnią zostawiając ojczyznę sprawom Króla-Ducha.

Zwycięzca, szlachcic o niepolskim nazwisku, gryzł wąż i nic nie mówił.

*„Wyszedt... na pola... żył i czarnoziemiu,
Szerokie, miłe wzrokowi wolnemu”.*

Gdybyż to jak jego ojciec układać płodozmiany, obmyślać co zrobią jutro czeladź i kumiecie!

„Sionki wysokie a glinami śliskie”

Gdybyż to mieć chociażby tyle mocy ile miał król-oracz, sędzia pod jabłoniemi!

*„Ciągle mnie wznosisz do się różo złota,
Zawsze widziana w przede dniach żywota”.*

Nie było jego państwa: żadne plemię nie chciało jego związku narodów.

„Ścigany wielkim genezyjskim krzykiem”

Nie było jego kraju: był inny kraj, który dostał za późno.

„Jestem jak żebrak zatrzymany w drodze”

A gwiazdy nad jego głową nie były spokojne, ale co w nich wyczytał, nie przydałoby się nikomu.

Trumna pod białym orłem złożona w królewskich grobach, ale serce gdzie indziej, w jego mieście, w jego stolicy.

I cóż to za spadkobierca korony Bolesławów, po którym znów bezdomność pobitych pokoleń?

*„Jak gdyby uśmiech był to, co należy
Tym świętym pieśniom — na których krew leży.*

(Cytaty z „Króla Ducha”)

Dzieła zbiorowe tom XI. Poezje. „Osobny zeszyt”. Paryż 1982, str. 74.

Krzysztof A. JEŻEWSKI

PIŁSUDSKI

Z ciemności — wiatr. Sponad pobojuwisk,
Co lizał twarz śmierci, proporce zwycięzców,
Łuny skrwawione zmierzchu, rozwicia pobrzasków,
Zagle, porywy serc, świetliste równinne milczenia.

Z ciemności — wiatr. Ten, który przemierzył
Mroki przemijania, ten spod Maciejowic, Węgrowa, Ostrołęki,
Co bryzga w twarz zagładą, pluje dymem
Wzgardy, w błoto ciska niepokalaną skrzydeł.
Ten, co przyniesie Ogień i Orędzie.
Ten, który wskrzesi Popiół.

Z ciemności — wiatr. Jemu stawić czoła.
Zamilcz Kassandro. Niech się spełnią losy.
Jesteśmy tylko kluczem, którym Nienazwany
Otwiera kolejne ogniwo Labiryntu.
Pochód przemian. Źródła, które wzbiorą rzeką.
Cóż po widzeniu? Czeluść wieków ciemna
Fala za falą zatapia błyskawicę wzroku.
Odwaga tylko. Wykuć ją z słabości.
Z niej zasiew, i płomień, i moc.

Oni idą za mną. Chcą opoki, lauru, dębowego liścia.
Głupcy. Gdybyż wiedzieli, ile kłęski w zwycięstwie,
A zwycięstwa w kłęsce.

Nie zapomnieć — przemysłać i przebaczyć

W Niemczech mieszkam od niedawna, zaledwie kilka miesięcy. Nowy kraj i jego mieszkańców obserwuję jeszcze ostrym spojrzeniem przybysza. Czuję jednak, że proces asymilacyjny już się rozpoczął: coraz mniej dziwią mnie odrębności obyczajowe, coraz naturalniejszy wydaje mi się tutejszy stopień cywilizacji i dobrobytu, z którego przecież w jakimś stopniu też korzystam. Zapewne niedługo nie będę już widział Niemców jako jednolitej całości, a raczej jako Westfalczyków, Szwabów i Bawarczyków, zwolenników chrześcijańskiej demokracji, socjalistów i zielonych. Podobnie jak oni widzą siebie samych. Wzrost znajomości Niemiec i Niemców od wewnątrz będzie się nieuchronnie wiązał z zatarciem punktu widzenia Polaka, który musi przecież ustalić swój stosunek do potężnego sąsiedniego narodu właśnie jako do całości i dla którego jego podziały wewnętrzne są sprawą drugorzędną, a często wręcz egzotyczną. Najwyższy więc czas na możliwie szerokie przemyslenie stosunków polsko-niemieckich z nadzieją znalezienia w ten sposób wskazówek pożytecznych dla siebie, a może i dla innych. Nie sądzę, by moje poniższe rozważania były szczególnie oryginalne. Być może zajmuję się wręcz wywalaniem drzwi dawno otwartych — nie miałem czasu ani możliwości systematycznego śledzenia publicystyki na temat spraw polsko-niemieckich, choćby tej, tak cennej, zajmującej sporo miejsca na łamach *Kultury*, czy też wystąpień Władysława Bartoszewskiego, Stefana Kisielewskiego i Jana Józefa Lipskiego. Do zabrania głosu skłania mnie zawodowy nawyk formułowania myśli, a także przekonanie o znaczeniu dla współczesności bagażu historii nawet tej odległej, sprzed wielu setek lat, często zapomnianej lub też nadużywanej i fałszywie interpretowanej.

Pierwszym wrażeniem, które odniosłem po przyjeździe do Republiki Federalnej — i które z czasem jeszcze się wzmocniło — była niezwykła życzliwość, z jaką spotykałem się i spotykam na każdym kroku. Życzliwość pełna praktycznej rzeczowości, odmienna może od wylewnej przyjaźni Włochów, ale nie mająca nic wspólnego z arogancją Francuzów czy chłodną wyższością Anglików. Życzliwość, której towarzyszy o wiele większe zaangażowanie i o wiele lepsza znajomość spraw polskich niż w innych znanych mi krajach. Było to dla mnie prawdziwym odkryciem, choć jechałem tu bez negatywnych uprzedzeń, a w każdym razie bez uprzedzeń, które przez wiele lat starała się we mnie wyrobić peerelowska propaganda. Ciśnienie antyniemieckiej propagandy jest ogromne. Posługując się montażem prawd, półprawd i zupełnych kłamstw buduje ona jednolicie czarny obraz zachodniego sąsiada, który był, jest i musi nadal być wrogiem Polaków; jedyny i karkołomnie uzasadniany wyjątek czyni dla oficjalnie kochających nas czerwonych Prus. Wywody różnych panów Męclewskich i Kollatów są proste i pozornie logiczne. Oto od tysiąca lat zmagamy się z germańskim niebezpieczeństwem. Na samym początku była Wanda, co to nie chciała Niemca. Zaraz potem — najazdy Sasów na państwo pierwszych Piastów, które znalazły bezpośrednią kontynuację w ekspansji krzyżackiej. Krzyżacy w naturalny sposób przekazali państwu pruskiemu, a stamtąd prosta już droga do rozbiorów, Bismarcka i Hakaty, Hitlera i Oświęcimia, wreszcie do czyhającego na nasze ziemie zachodnie Adenauera (ostatnio jakoś zaniedbanego) i dzisiejszych straszaków w postaci śląskich ziomków o dziwnie nie niemieckich nazwiskach. Skuteczności tej propagandy nie można nie doceniać, pomimo całego jej prymitywizmu. Ma przecież do swej dyspozycji wiele prawdziwych argumentów, ze straszhliwymi doświadczeniami ostatniej wojny na czele. Poprzez idiotyczne, ale wciążające produkcje w rodzaju przygód kapitana Klossa czy „Czterech pancernych” potrafi ona być przy tym pierwszym czynnikiem, kształtującym stosunek do obcych najmłodszego pokolenia. Miałem doskonały na to dowód, gdy mój sześciolatek wówczas Maciek po obejrzeniu kolejnego odcinka „Pancernych” (nie było sposobu, żeby go od tego odwieść) na moje pytanie, co należy robić z małymi chłopcami niemieckimi (pojawił się jeden z nich na filmie ku zażenowaniu pozytywnych bohaterów, przyzwyczajonych do bezpardonowego gromienia Germańca) — odpowiedział bez wahania, że należy ich zabijać. A Maciek jest z natury dzieckiem bardzo łagodnym.

Nie pociąga mnie dalsze konfrontowanie moich niemieckich spostrzeżeń z propagandą w stylu kapitana Klossa. Na rozpatrzenie zasługują natomiast prawdy, a nawet półprawdy na temat

historycznych konfliktów polsko-niemieckich. Wandą zajmować się nie będziemy — pomimo całego szacunku, jaki żywię dla legend. Zaczniemy zatem od Sasów. Nie ulega wątpliwości, że początki państwowości polskiej wykuwały się w walkach z sąsiednimi margrafami, a także z kolejnymi cesarzami, od Ottona II po Henryka V. Nie ulega też wątpliwości, że stroną nacierającą byli Niemcy. Czy jednak całą sprawę można ujmować w kategoriach jednoznacznie czarno-białych? W odległych czasach wczesnego średniowiecza wojna stanowiła nie po clausewitzowsku specyficzny, ale główny środek prowadzenia polityki. Wobec słabości czy wręcz braku dyplomacji i opinii międzynarodowej, a często wręcz i elementarnych wiadomości o przeciwniku, najazd i starcie zbrojne były jedynym sposobem ustalenia proporcji sił jako podstawy do dalszej rozgrywki politycznej. Powszechna praktyka brania łupów sprawiała przy tym, że wojna przeradzała się często w szczególną gałąź działalności gospodarczej. Nie lepiej i nie gorzej niż w wielkopolskich i śląskich puszcach zachowywali się margrabiowie i cesarze przy okazji swych sporów wewnętrznych czy też wypraw w innych kierunkach, choćby po korony longobardzką i cesarską. A kierunek wschodni nęcił swą niższością cywilizacyjną i pustką polityczną w znaczeniu chrześcijańskiej Europy, obiecując zdobycie bogactw i suwerennej pozycji. Niemiecka ekspansja w kierunku wschodnim była więc zwykłą prawidłowością historyczną i ocenianie jej w kategoriach moralnych jest takim samym błędem, jak na przykład uzalanie się nad polityczno-etnicznymi następstwami wędrówek ludów (w odróżnieniu oczywiście od opłakanych skutków cywilizacyjnych i kulturowych ciemnych wieków pierwszego tysiąclecia). Drugi zasadniczy błąd, to wywodzący się ze „Starej baśni” sielsko-siermiężny obraz naszych pradziadów, przykładnie zajmujących się rolnictwem i bartnictwem, a potrzebę agresji wyładowujących co najwyżej w ramach łowów na dzikiego zwierza. Nic bardziej fałszywego. Jakkolwiek Słowianom rzeczywiście brakło wrodzonej, a właściwie zrodzonej przez warunki, wojowniczości Skandynawów czy azjatyckich koczowników, to przecież Mieszko i kolejni Bolesławowie odpierali jakoś powtarzające się ataki, a w chwilach wytchnienia sami chętnie wyciągali rękę po cudze, nawiedzając zbrojnie a to braci Czechów i Rusów, a to Węgrów, nie mówiąc już o wyjątkowo antypatycznych Pomorzanach, którzy ani rusz nie chcieli zrozumieć, że ich przeznaczeniem jest życie w ramach państwa polskiego. Nie wiemy nic na temat trybu jednoczenia rdzennych dziś ziem polskich i nie ma żadnych powodów do przypuszczeń, że miałyby się ono odbyć wbrew ogólnoeuropejskiej prawidłowości — zupełnie bezkrwawo, na zasadzie zrozumienia historycznych konieczności przez nowych poddanych Piastów.

Poza tym, w rozsądnej ocenie całej sprawy ważną rolę powinny odegrać skutki. Za pierwszych Piastów Polska w zasadzie utrzymała swój stan posiadania na zachodzie, nie mogła skarżyć się na zabory i eksterminację. Jeszcze ważniejszy może jest czynnik czasu. Pojęcia takie jak Cydzyna, Niemcza, Głogów czy Psie Pole nabrały barw dopiero po ostatniej wojnie, w bardzo określonej sytuacji politycznej i psychologicznej. A przecież nie można zapominać, że mamy tu do czynienia z wydarzeniami sprzed tysiąca lat. Czy boczmy się dziś na Litwinów, Węgrów, Szwedów czy Turków za ich równie groźne, a o wiele późniejsze najazdy? I wreszcie kropka nad i: wyprawa — nieudana z resztą — cesarza Henryka V w roku 1109 była ostatnim atakiem z zachodu aż do czasu niezbyt krwawych operacji rozbiorowych, a na dobrą sprawę aż do 1 września 1939. Paradoksem o którym często zapominamy jest fakt, że stale cofająca się granica zachodnia w sensie wojennym była przez 700 lat granicą najbezpieczniejszą.

Teraz przeskok ku Krzyżakom, malowanym w naszej kulturze niezmiennie czarnymi barwami, przynajmniej od czasów „Konrada Wallenroda”, nie mówiąc już o „Grunwaldzie” Matejki i książce Sienkiewicza, z której większość społeczeństwa polskiego czerpie potoczną wiedzę na temat naszego średniowiecza. Czy ów jednolicie negatywny obraz Zakonu jest usprawiedliwiony? W pewnym sensie tak. Krzyżacy byli niewątpliwie wrogiem niebezpiecznym i nieustępliwym, działającym w oparciu o konsekwentny plan podboju. Stosowane przez nich metody wyróżniały się bezwzględnością nawet na tle praktyk owych czasów, co zresztą obróciło się przeciwko nim z chwilą, gdy urosło w siłę niemieckie mieszczaństwo pruskie poszukujące oparcia w Polsce, gwarantującej o wiele większe swobody i przywileje. Nie można ich natomiast obwiniać o sam fakt ekspansywności. Zakon został przecież sprowadzony przez polskiego księcia właśnie w celu podboju Prus, a raz uzyskawszy własne terytorium i suwerenność, w naturalny sposób dążył do ich umocnienia i poszerzenia kosztem sąsiadów, z których część była jeszcze poganami, a więc według ówczesnych pojęć nie zasługiwała na równoprawne traktowanie. Pozostaje tragiczna sprawa eksterminacji plemion pruskich. Wymaga ona przynajmniej dwóch uwag. Po pierwsze — współodpowiedzialność za wyniszczenie Prusów ponosi strona polska, jako inicjująca podbój i współpracująca na niektórych etapach w jego realizacji. (Trzeba tu dodać, że Prusowie, tak jak nieco później Litwini, byli sąsiadami bardzo uciążliwymi). Po drugie — owej eksterminacji nie można rozumieć w sensie dosłownym. Niewątpliwie wielu Prusów zginęło w walce, ale w ówczesnych warunkach nie mogło być mowy o wymordowaniu

całego narodu. Byłoby to niemal niewykonalne, a także nieusprawiedliwione z punktu widzenia gospodarczego. Człowiek był zbyt cennym czynnikiem ekonomicznym w pustej jeszcze Europie. A Krzyżacy byli znakomitymi organizatorami życia gospodarczego, tworząc w swym państwie jeden z wielkich cudów ekonomicznych Średniowiecza. Tak więc, nie usprawiedliwiając bynajmniej metod postępowania zakonników z czarnym krzyżem na płaszczach, negatywna ocena ich działań, wynikających z samego faktu istnienia ich państwa, nie jest usprawiedliwiona historycznie. A poza tym historia kontaktów Polski z Zakonem zamknęła się w roku 1525 i gdyby nie to, że dawne terytorium krzyżackie stało się jedną z podstaw potęgi pruskiego zaborcy, rzecz uległaby dawno zapomnieniu. Przecież inflancki odłam Zakonu nie nosi w naszej historii znaku ujemnego, bo z nami nie walczył, a przeciwnie, przyłączył swe terytorium jako lenno do Rzeczypospolitej. A natura Krzyżaków w Prusach i Inflantach musiała być taka sama.

Zwróćmy teraz uwagę, że następny moment zapalny w dziejach stosunków polsko-niemieckich przyszedł dopiero w drugiej połowie XVIII wieku. W trudnych dla Polski czasach wojen szwedzkich i kozackich z zachodu nie wyszedł żaden atak, a zbijanie politycznego kapitału przez pruskich i brandenburskich Hohenzollernów było ich naturalnym prawem — w sensie dynastycznym wręcz obowiązkiem. Fryderyk II — król-filozof, poeta i muzyk — był oczywiście jednym z największych w historii gangsterów politycznych i wyrządził Polsce wielkie i niczym niezaskuszone krzywdy. Trzeba jednak pamiętać, że podobnie postępował wobec innych sąsiadów. Rozbiory były wielką zbrodnią wobec Polski, a jak się z czasem okazało i wobec całej Europy, ze względu na wydatne przesunięcie ku zachodowi strefy wpływów rosyjskich. Włączanie terytoriów polskich do organizmów państw zaborczych w najprzyswoitszy sposób przebiegało właśnie w Prusach, gdzie system prawny był twardy, ale jednakowo obowiązywał wszystkich i gdzie wiele się można było nauczyć, jeżeli chodzi o sprawy cywilizacyjne i gospodarcze. Bardzo znamienity jest kierunek tamtejszego ruchu narodowego, rezygnujący z walki zbrojnej (powstanie roku 1848 jest drobnym epizodem w porównaniu z powstaniami listopadowym i styczniowym) na rzecz pracy organicznej, dla której pruskie ustawodawstwo stwarzało odpowiednie warunki.

Sytuację zasadniczo pogorszył dopiero obłęd nacjonalistyczny II połowy XIX wieku, mający na celu tyleż niszczenie polskości, co dostarczenie Niemcom czynnika cementującego jedność narodową, budowaną bez entuzjazmu, a czasem i wbrew woli większości nie Prusaków. Nie ulega wątpliwości, że czasy *Kulturkampf'u* i Hakaty, czasy prześladowań Grzymały i dzieci z Wrześ-

ni były okresem walki o biologiczne przetrwanie żywiołu polskiego pod zaborem pruskim, czasami bezpośrednio antycypujące najtragiczniejsze wydarzenia drugiej wojny światowej. Wtedy właśnie powstał i utrwalił się stereotyp odwiecznej i nieprzezwyciężalnej wrogości pomiędzy obydwojema narodami, który zastosowano i do interpretacji dziejów dawniejszych.

Zło największe, o natężeniu wręcz niewyobrażalnym w poprzednich dziesięcioleciach i stuleciach, przyniósł okres drugiej wojny światowej. Powody i mechanizm całkowitego odrzucenia wszelkich pojęć moralnych i nie mającego w dziejach paraleli zezwierzenia znacznej części narodu o tak pięknych i wielkich tradycjach stanowi jedną z największych i najtragiczniejszych zagadek historii europejskiej. Niezależnie od wszelkich prób rozważań, nie ulega żadnej wątpliwości, że cała odpowiedzialność za wywołanie wojny i jej przebieg spada na niemieckie państwo i na niemiecki naród. Wszelkie polskie działania w tym czasie były tylko próbami obrony, a ich skutki w żadnym stopniu nie wyrównały straszliwych strat poniesionych przez naród polski.

Niemcy musieli zostać ukarani za swe zbrodnie, szaleństwa, zaślepienie czy choćby przyzwolenie. Ukarani też zostali bardzo ciężko przez miliony zabitych i rannych, przez zniszczenie całego kraju, przez podział swego państwa i poddanie części narodu obcej władzy, wreszcie przez utratę znacznych części terytorium przedwojennego. Ten ostatni aspekt bezpośrednio rzutuje na obecne stosunki polsko-niemieckie. Według oficjalnej peerelowskiej historii przesunięcie polskich granic nad Odrę, Nysę i Bałtyk stanowiło nasz udział w zwycięstwie, było aktem sprawiedliwości dziejowej i powrotem na historyczne, niegdyś siłą zagrabione ziemie. Ten punkt widzenia przyjął się też szeroko w polskiej opinii, nawet tej najdalszej od popierania komunizmu. Na ogół przejawia się on w traktowaniu polskiej obecności na ziemiach zachodnich i północnych jako czegoś zupełnie naturalnego, czasami jednak przybiera formy przynajmniej wątpliwe, czego niedawnym przejawem było nazwanie przez biskupa chełmińskiego dziełem Opatrzności Bożej uzyskanie przez Polskę 500-kilometrowego wybrzeża Bałtyku. Oczywiście żaden polski rząd, ani komunistyczny, ani też przyszły, niekomunistyczny, nie może się zgodzić na rezygnację z ziem zachodnich. Jedno spojrzenie na mapę wystarcza do zorientowania się, czym byłby kraj zawarty pomiędzy granicą zachodnią z roku 1939 a linią Curzona. Konieczność obrony stanu posiadania, warunkującego przeżycie narodu, nie jest jednak równoznaczna z koniecznością daleko idącego fałszowania dawnej i nowej historii w celu przyznania sobie całej słuszności w sporze. Ziem zachodnich Polska nie zdobyła sobie w zwycięskiej walce. Otrzymała je kosztem wroga pokonanego od wroga

zwycięskiego, ubierającego się w szaty sojusznika i opiekuna. Celem całej operacji było danie jej zadośćuczynienia za dokonany wcześniej rabunek jej własnego terytorium, a w jeszcze większym stopniu stworzenie nierozwiązywalnego problemu w stosunkach pomiędzy Polską a Niemcami, którego najwyższym arbitrem miały pozostać i pozostają Sowiety. Klin wbity przez Stalina przed 40 laty do dziś niewiele stracił ze swej skuteczności. O konieczności utrzymania przy Polsce ziem nad Odrą i Bałtykiem decyduje więc po prostu brak jakiegokolwiek innej alternatywy, nie zaś bardzo wątpliwe racje historyczne. Przede wszystkim, ziemie te nie stanowią żadnej jednolitej całości, a związki z Polską poszczególnych ich części przedstawiają się zupełnie rozbieżnie. Sprawiedliwość dziejowa, rozumiana jako niezbyt precyzyjne połączenie czynników historycznych i etnicznych wymagała dość znacznych przesunięć przedwojennych granic Polski na zachodzie. Otóż Polsce należał się niewątpliwie cały Górny Śląsk, pewne poprawki na jej korzyść w Wielkopolsce i na Pomorzu, wreszcie Gdańsk, etnicznie niemiecki, ale związany z Polską wiekowymi tradycjami i blokujący ujście jej największej rzeki. W Prusach Wschodnich, niezależnie od spornych terenów plebiscytowych, należało z przyczyn czysto strategicznych dążyć do likwidacji całej enklawy niemieckiej. Taki mniej więcej program terytorialny zgłaszały kolejne polskie rządy od początku niepodległości po koniec wojny. Otrzymaliśmy znacznie więcej. Na południu — cały Dolny Śląsk, związany wprawdzie z Polską wieloma niemi tradycjami, ale od dawna pozbawiony polskiej ludności. Wygranie przez Stalina sporu o geograficzną interpretację nazwy Nysa włączyło przy tym do Polski spory kawałek Łużyc, które należały do niej jedynie przez parę lat za czasów Chrobrego. Na dobrą sprawę łaskawość Ojca Narodów mogła sięgnąć jeszcze dalej, po Budziszyn, w okolicach którego zachowała się przynajmniej ludność słowiańska oraz Drezno, gdzie w tamtejszej galerii ramy obrazów opatrzone są herbami Polski i Litwy. Na północy sytuacja jest jeszcze bardziej złożona. Przy niewątpliwych związkach z Polską Pomorza wschodniego i Gdańska, rozsądna granica historycznej i etnicznej polskości nie sięga zbyt daleko na zachód. Szczecin pojawia się w polskiej historii tylko w odległych wiekach XI i XII, a i to głównie jako ośrodek zacieklego oporu przeciwko ekspansji państwa piastowskiego. Inkorporacja Prus Wschodnich wiązała się głównie, jak już wspomniano, z potrzebami strategiczno-wojskowymi. Legitymista mógłby się wprawdzie powołać tu na układ Konrada Mazowieckiego z Krzyżakami, przewidujący oddawanie mu terenów zdobytych na Prusach, a także na hołd pruski z roku 1525, ale o tym, jak w Poczdamie traktowano argumenty historyczne świadczy włączenie do Sowietów północnej części Prus z Królewcem

i to nie do zainteresowanej bezpośrednio Litwy, ale wprost do Federacji Rosyjskiej. Stalin żądał tego wówczas jako satysfakcji moralnej (a gdzie zasada pokoju bez aneksji?) oraz łąał na temat potrzeby uzyskania przez ZSSR niezamarzającego portu na Bałtyku. A Królewiec co roku zamarza.

Tak więc powtórzmy raz jeszcze, że w Poczdamie przyznano Polsce pewne terytoria słusznie się jej należące, ale również i takie, które w normalnych warunkach w jej skład wchodzić nie powinny, oraz że miało to być zadośćuczynieniem za jeszcze większe straty na wschodzie. Utrzymanie tych ziem stanowi dla Polski życiową konieczność, ale posuwanie się zbyt daleko w kłamliwym uzasadnianiu ich historycznej polskości jest niesłuszne i jednoznaczne z moralną aprobatą utraty Lwowa i Wilna. Społeczeństwo polskie powinno się tu zdobyć na rozgraniczenie sfer polityki i moralności. Obrona stanu posiadania w oparciu o bieżące realia nie musi iść w parze z bezwzględnym i historycznym negowaniem racji strony drugiej. Przecież gdyby PRL posiadała chociaż cień niezależności, istniałyby w niej niewątpliwie potężne związki Lwowiaków, Wilnian czy Wołyńiaków, rozwijające działalność analogiczną do tej, którą prowadzą w RFN Ślązacy z Czają i Hupką na czele. Historyczna obecność Niemców na dzisiejszych ziemiach odzyskanych posiada bowiem wiele analogii z obecnością polską za Bugiem. Tylko niewielka część tych terenów została zasiedlona przez Niemców w wyniku klasycznego podboju (Prusy, część Pomorza) i to podboju, który wcale nie odbył się kosztem ówczesnej Polski. Klasycznym przykładem są tu dzieje Śląska, który od Polski odpadł w wyniku rozbicia dzielnicowego, następnie stopniowo dostał się pod panowanie czeskie, a wraz z Czechami pod habsburskie. Prusy zdobyły go dopiero w połowie XVIII wieku w wojnie z Austrią. Śląscy Niemcy mogą więc powołać się na tradycję sięgającą wieku XIII, a więc dłuższą niż polska tradycja na Rusi i Litwie. Posiadali oni takie samo prawo do zwalczania powstań śląskich jak Polacy do obrony Lwowa i inkorporacji tzw. Litwy Środkowej. Uzurpowanie sobie monopolu słuszności kosztem wszystkich sąsiadów (a w ówczesnych warunkach niestety przeciwników) jest zaślepieniem i stanowi rozumowanie na poziomie Kalego z „Pustyni i w puszczy”, który problem dobra i zła ujmował na przykładzie prawa własności krowy, znak pozytywny i negatywny dodając w zależności od tego, czy ową krowę zdobywa się czy też traci. W sprawie kształtowania naszych granic decydowała niestety tylko siła, tak na początku istnienia II Rzeczypospolitej, jak w latach 1939 i 1945. Nie oznacza to jednak, byśmy podobny punkt widzenia, odrzucający wszelkie argumenty partnera, musieli przyjmować i dziś, a trwanie w tym samym przekonaniu w przyszłości w najlepszym

razie może przyczynić się do utrwalenia stanu obecnego, nie zadowalającego nikogo z wyjątkiem Sowietów, ale i do nowych komplikacji, a nawet tragedii.

Osobny problem, niezależny od politycznych i moralnych legitymacji naszego stanu posiadania na zachodzie i północy, stanowi obecny stan tych ziem, sposób w jaki w ciągu 40 lat Polacy traktowali swe nabytki. Jednym z klasycznych argumentów propagandowych na rzecz rzekomych korzyści płynących z przesunięcia granic było uzyskanie, w zamian za zacofane tereny wschodnie, ziem stojących o wiele wyżej pod względem cywilizacyjnym. Nie było to dalekie od prawdy. W skład powojennej Polski weszły terytoria wspaniałe pod względem krajobrazowym, posiadające doskonale postawione rolnictwo, w znacznej części uprzemysłowione. Prawdziwą perłą wśród nabytków był Śląsk, jedna z najpiękniejszych i najbogatszych prowincji całych Niemiec, łącząca w sobie wyjątkowe walory środowiska naturalnego z bogactwem tradycji historycznej oraz wysoko rozwiniętą gospodarką. Kolejna teza peerelowskiej propagandy dotyczy zagospodarowania i rozwoju ziem odzyskanych w okresie powojennym. W tym wypadku łgarstwo jest oczywiste. Ulubione przez komunistów bezwzględne wskaźniki produkcji rzeczywiście wzrosły, co jednak wcale nie świadczy o prawdziwym postępie. Wystarczy pobeżna choćby wizyta na terenach poniemieckich, by przekonać się o ich żałonym, a niekiedy katastrofalnym wręcz stanie. Oczywiście, uzyskane przez Polskę ziemie były już poważnie zniszczone w końcowym okresie wojny i pierwszych miesiącach powojennych. Nie my zrównaliśmy z ziemią Gdańsk, Szczecin, Wrocław, Legnicę i dziesiątki mniejszych miejscowości. Wkraczająca na tereny wroga Armia Czerwona została zwolniona z wszelkich hamulców dyscyplinarnych, niszcząc i rabując do woli. Owemu prywatnemu rabunkowi towarzyszył rabunek zorganizowany, w ramach którego wyjeżdżały na wschód kompletne urządzenia zakładów przemysłowych. Posuwano się do demontażu całych linii elektrycznych. Od tego czasu minęło jednak 40 lat, powody daleko idącej dewastacji ziem odzyskanych tkwią głębiej, a odpowiedzialność za nią obciąża konto polskie. Polskim dziełem jest chaotyczna i niechlujna w ogromnej większości odbudowa zniszczonych miast oraz doprowadzenie do skraju ruiny tych, które w czasie wojny nie ucierpiały. Polskim dziełem jest zadziwiające wręcz zrujnowanie wspaniałej struktury śląskich i pomorskich wsi, jak gdyby zbyt obszernych dla potrzeb nowych mieszkańców. Towarzyszy temu katastrofalny stan większości spuścizny historycznej, wśród której znajduje się wiele zabytków o europejskim znaczeniu. Negatywne rezultaty przyniosły nawet te działania, które w normalnych warunkach powinny byłyby przynieść rozwój, czego naj-

lepszym przykładem jest klęska ekologiczna w śląskim zagłębiu miedziowym.

Dlaczego się tak stało? Odpowiedź powierzchowna, biorąca pod uwagę tylko skutki, dość rozpowszechniona wśród Niemców, wszystko kładzie na karb *polnische Wirtschaft*, niższości cywilizacyjnej Polaków i ich organicznej niezdolności do pracy konstruktywnej, która doprowadziła do zaprzepaszczenia wiekowego dorobku niemieckiego. Jest to jednak daleko idące uproszczenie. Przede wszystkim trzeba wziąć pod uwagę, kim byli ludzie, którzy przybyli na tereny poniemieckie, w jakich warunkach się tam znaleźli i w jakich warunkach przyszło im żyć i gospodarować. W ogromnej większości pochodzili z kresów wschodnich, z ziem rzeczywiście stojących nisko pod względem cywilizacyjnym, nawet jak na stosunki polskie. Trzeba do tego dodać znaczną grupę deportowanych Ukraińców. Sam szok cywilizacyjny nie wyjaśnia jednak wszystkiego, a dzieje emigracji polskiej dowodzą umiejętności dostosowania się pozornie prymitywnych grup ludzkich do jeszcze większych zmian i przeskoków. O wiele ważniejsze było wyrwanie tych ludzi z ich naturalnego otoczenia, gwałtowne zniszczenie odwiecznych struktur społecznych i układów wartości, rodzące stany apatii i braku odpowiedzialności. Władze, powtarzające nieodmiennie slogany o nieodwracalności rozstrzygnięć powojennych, robiły niewiele lub zgoła nic dla wytworzenia prawdziwych więzów tej ludności z jej nowymi siedzibami. Najlepszym przykładem jest tu zwleknięcie z właściwym uregulowaniem spraw własności nieruchomości. Poczucie tymczasowości wzmacniały stale zgłaszane pretensje niemieckie, zmierzające do rewizji postanowień poczdamskich. Jest niezwykle symptomatyczne, że indywidualne budownictwo mieszkaniowe na ziemiach zachodnich ruszyło na dobrą sprawę dopiero w latach siedemdziesiątych, po zawarciu układu z RFN i wizycie Brandta w Warszawie. W takich warunkach niezwykle długo trwało wrastanie nowych Ślązaków i Pomorzan w teren, tworzenie się lokalnych wspólnot i lokalnych patriotyzmów, tak ważnych dla wszelkiej rozsądnej działalności społecznej i gospodarczej. W wielu wypadkach nie udało się to wcale. Miasta i miasteczka ziem zachodnich mają szczególnie wysoki procent lumpenproletariatu, marginesu społecznego, pogrążonego w alkoholizmie, utrzymującego się z różnorodnej półlegalnej i nielegalnej działalności. Pamiętam, jak wstrząsające wrażenie zrobiło na mnie przed paru laty odwiedzenie kilkunastu mieszkań w Żąbkowicach na Dolnym Śląsku, w związku z poszukiwaniem pewnego adresu. Istnienie tego zjawiska na tak szeroką skalę stanowi jeszcze jedną cenę, płaconą przez kolejne już pokolenie, za brutalność przemian społecznych stojących u początków PRL. Znacznie lepiej sytuacja przedstawia się przecież

na terenach, gdzie zachowała się jeszcze ludność autochtoniczna. Tyle, że tych autochtonów jest coraz mniej. Potomkowie członków Rodła wypełniają w większości kontyngent emigrantów do RFN, których Andrzej Chylecki w swych kronikach chyba nieco powierzchownie nazywa po prostu Niemcami. Czterdzieści lat polskiej władzy ludowej zdziało tu więcej niż wieki niewoli.

Jeżeli więc nowi mieszkańcy ziem zachodnich nie stanęli na wysokości zadania, za fakt ten ponoszą częściową tylko odpowiedzialność. Lwia jej część przypada państwu i wdrażanemu przez nie od lat 40 obłędnemu systemowi. Wina władz polega tu nie tylko na zaniechaniu działań koniecznych dla integracji nowej ludności. Ziemie zachodnie były i są poddawane tym samym destruktywnym operacjom co reszta kraju i to w stopniu może jeszcze intensywniejszym, ze względu na szczególnie wysoki tam procent gospodarki państwowej w rolnictwie. W pełnym niepewności okresie powojennym ziemie zachodnie były wręcz przedmiotem rabunku ekonomicznego i kulturalnego. Mało kto dziś pamięta, ile pociągów zabytkowej cegły rozbiórkowej przewieziono ze Śląska dla odbudowy Warszawy, a fakt przetrzymywania w Muzeum Narodowym w Warszawie czołowych dzieł sztuki Śląska i Pomorza stał się czymś już niemal naturalnym w wyniku wieloletniego zasiedlenia.

Na zakończenie tej części uwag nie mogę pominąć sprawy szczególnie bolesnej i wstydlivej. Na Śląsku, Pomorzu i w Prusach Wschodnich pozostały setki i tysiące świadectw historycznej obecności niemieckiej, w postaci kościołów, zamków i pałaców, pomników i nagrobków. Stan większości z nich nie jest dziś ani lepszy ani gorszy od stanu zabytków na rdzennych ziemiach polskich (choć nigdzie poza Śląskiem nie dopuszczono się świadomej dewastacji obiektów o klasie np. gigantycznego zamku w Kamieńcu Ząbkowickim). W jednej dziedzinie podjęto jednak systematyczną akcję destrukcyjną, w której komunistyczne władze znalazły, niestety, sojuszników wśród ludności oraz wśród kleru (nie chcę napisać w Kościele). Chodzi tu o haniebne niszczenie śladów pamięci nie po niemieckiej władzy, ale po niemieckich mieszkańcach tych ziem, poprzez niszczenie nagrobków względnie przez usuwanie z nich niemieckich napisów. Istnieją przykłady traktowania w ten sposób całych cmentarzy. Szczególny wstyd musi budzić jednak widok nagrobka ze świeżo skutym napisem w starannie odnowionym kościele, jak to ma miejsce np. w Jaworze. Znam wypadek odmowy przez proboszcza udziału w ratowaniu rodzinnej kaplicy grobowej, w której pochowany jest zamordowany przez hitlerowców uczestnik spisku lipcowego 1944 roku. Znam i znacznie gorszy, wręcz niepojęty w swym barbarzyństwie wypadek innej kaplicy, położonej w centrum mias-

ta, w której przez całe lata leżały zwłoki wywleczone z rozbitych sarkofagów. Nikt nie czuł się za ten stan odpowiedzialny i zobowiązany do jego zmiany, ani władze miejskie, ani proboszcz. Zjawiska aż tak drastyczne są z pewnością rzadkie, niemniej istnieją i obciążają moralne konto całego narodu, odbierając nam prawo do protestów przeciwko niszczeniu śladów polskości na kresach wschodnich.

W moich uwagach szczególnie wiele miejsca poświęciłem sprawom niezbyt może miłym dla polskiego ucha. To właśnie było moim zamiarem. Obiegowe opinie nie wymagają obrony i uzasadnień. Dobór materiału został przy tym mocno ograniczony przez charakter i rozmiary szkicu. Nie wspominałem nawet o ogromnych korzyściach cywilizacyjnych, jakie Polska wyniosła z wielowiekowych kontaktów z zachodnim sąsiadem, o życzliwym stosunku Niemców do polskich powstań w wieku XIX czy wreszcie o wewnętrznym zróżnicowaniu Niemiec. A ten ostatni fakt, niezależnie od wstępnego założenia traktowania narodu niemieckiego jako całości, ma niebagatelne znaczenie. Różnorodnego zła Polacy doznawali przede wszystkim od Niemców wschodnich — Sasów, a później Prusaków. Rozumieli to już pierwsi Piastowie, wojując zacięcie z pogranicznymi margrafami i utrzymując najlepsze stosunki z władcami znad Renu.

Czy szkic ten ma na celu wezwanie do wstępowania do wskrzeszonego w RFN zakonu krzyżackiego, do pisania listów solidarnościowych do Hupki i Czaji, czy może wręcz do oddania ziem zachodnich? Przebóg nie! Racjonalny i uczciwy program ułożenia naszych stosunków z Niemcami musi jednak brać pod uwagę raczej strony drugiej, a także winy własne, choćby były one niewspółmierne do win partnera. Przyszłości nie można budować na nienawiści. Nie trzeba, a nawet nie wolno zapomnieć doznanych krzywd, natomiast trzeba zdobyć się na umiejętność ich wybaczenia. List polskich biskupów z roku 1966 był przejawem nie tylko chrześcijańskiego ducha pojednania i miłosierdzia, ale i dziełem wielkiej dalekowzroczności politycznej. (Warto zwrócić uwagę, że patrząc z dzisiejszej perspektywy powstał on dokładnie w połowie powojennej historii). Furia, jaką wywołał u władz nie miała też nic wspólnego z oburzeniem moralnym, a wiązała się z faktem, iż równał się on zamachowi na jeden z koronnych argumentów, stanowiących legitymację komunistycznego panowania nad narodem. Bo złe, naznaczone nieufnością i kompleksami stosunki polsko-niemieckie przynoszą korzyść tylko czerwonemu żandarmowi Europy. Jak już wspomnieliśmy, nastawiony przez Stalina mechanizm działa do dziś. Podobne mechanizmy zostały zresztą wbudowane we wzajemne stosunki pomiędzy wszystkimi prawie — oficjalnie bratnimi — narodami. Sowiety posługują się

nimi z powodzeniem i poza granicami swego imperium, choćby kokietując Grecję rzekomo szczerym poparciem w jej zadawnionych sporach z Turcją, czy też zbrojąc i szczując Irak. Aby metodzie tej zapewnić skuteczność, konieczne jest zastąpienie autentycznego patriotyzmu prymitywnym nacjonalizmem. Do tego dążą wszystkie niemal rządy krajów komunistycznych, bez wahania podporządkowujące Moskwie najistotniejsze interesy swych narodów, a jednocześnie wrogie wobec wszelkich obcych w imię fałszywej interpretacji tychże interesów. Przykłady można by mnożyć prawie bez ograniczeń. Jedynym skutecznym lekarstwem na to tragiczne nieraz w skutkach wypaczenie pojęciowe jest prawdziwa demokracja (nie tzw. ludowa), prowadząca do naturalnego obumierania konfliktów narodowych. Współczesne przykłady terroryzmu irlandzkiego czy baskijskiego przeczą tej zasadzie tylko z pozoru. Naród niemiecki — a w każdym razie jego większość — od dwóch pokoleń żyje w warunkach demokratycznych i wiele ze swych problemów narodowo-terytorialnych potrafił rozwiązać w sposób, jak się wydaje, ostateczny. Nikt w RFN nie upomina się dziś o Alzację i Lotaryngię, spór o które tak fatalnie naznaczył w przeszłości stosunki niemiecko-francuskie. Względna ostrość i aktualność problemu polskich ziem zachodnich wynika z faktu, że zrodził się on i trwa w warunkach braku demokracji, odbijających się tak na całości zagadnienia, jak i na osobistych losach tysięcy, a może i milionów zainteresowanych. Naród polski dał już wielokrotnie i wciąż daje dowody, iż dążenie do demokracji stanowi jego główne pragnienie. Byłoby paradoksem i niewybaczalnym błędem, gdyby domena stosunków z Niemcami znalazła się poza nurtem owych dążeń i miała trwać w gorszej zadawnionych kompleksów i uprzedzeń. Niemcy są i pozostaną w przyszłości sąsiadem, od którego można się najwięcej nauczyć, mogą też stać się kiedyś pomostem ułatwiającym wejście Polski do demokratycznej i zjednoczonej Europy. Wiemy dobrze, że nie są w stanie pomóc nam w tym bezpośrednio, ale daleko idąca gotowość bezinteresownej pomocy humanitarnej udowodnili w ostatnich latach. W zmienionych kiedyś warunkach niemiecka pomoc — nie polegająca już oczywiście na wysyłaniu paczek — może zadecydować o przynależności Polski do cywilizowanego świata. Naszym podstawowym zadaniem dziś jest usuwanie wszystkiego, co mogłoby tę przyszłą współpracę utrudnić, do czego konieczne jest nieszablonowe myślenie o przeszłości i teraźniejszości stosunków polsko-niemieckich.

Piotr Paweł URSYN

Dziennik pisany nocą

Neapol, 10 lutego 1985

Powinienem być w przeszłości zapisywać tematy, które co pewien czas pobudzały moją wyobraźnię, nie wychodząc poza stadium embrionalne. Po latach taki rejestr „poronień” byłby dość pouczający, może nawet w niektórych wypadkach skłoniłby mnie do prób wskrzeszenia pomysłów pozornie umarłych. Mam jednak zwyczaj, może i karygodny, wyrzucania do kosza (i wymazywania z pamięci) notatek uznanych za niezdolne do odzycia i zaowocowania. Poprawię się teraz, z okazji świeżego „poronienia”. Za namową R. zainteresowałem się historią księcia Venosy. Wiem już dziś, że nic z tego nie będzie, że znowu nie potrafię wyjść poza pomiary i opukiwanie tematu. Ale niech jego drobny bodaj ślad pozostanie w dzienniku.

Księciem madrygalistą zajmowano się wielokrotnie. Dla historyków muzyki i muzykologów był przede wszystkim „odnowicielem gatunku” pod koniec XVI stulecia; z obowiązku napomykali, że był również mordercą. Autorzy smakujący w „historiach skandalicznych” na odwrót: ledwie wspominali o jego madrygalach, aby całą uwagę skupić na morderstwie. Istnieje więc Carlo Gesualdo, książę Venosy, jako marmurowe popiersie w panteonie muzyki włoskiej. I Carlo Gesualdo, książę Venosy, jako bohater szesnastowiecznej „czarnej kroniki”, zabójca żony i jej kochanka. W *Les dames galantes* Brantôme'a występuje w rozdziale *Sur les dames qui font l'amour et leurs maris cocus* (w roli rogowca naturalnie). W Anglii wyszła o nim w latach dwudziestych naszego wieku książka *Musician and Murderer*, w której podobno granica między artystą i zbrodniarzem została

świadomie zatarta. Nie udało mi się do niej dotrzeć, zresztą nie ma to już obecnie większego znaczenia.

Pochodził ze znakomitego rodu neapolitańskiego, tytułem księżym związany z posiadłościami i zamkami w okolicach Venosy. Przez matkę był spokrewniony z papieżem Piusem IV i ze Świętym Karolem Boromeuszem. Ożenił się z Marią d'Avalos, z niemniej świetnego rodu neapolitańskiego. Był trzecim mężem Marii. Dwóch poprzednich wyprawiła szybko na tamten świat, zasłużysz na przydomek „pożeraczki mężczyzn”. Uchodziła za najpiękniejszą kobietę w Neapolu; i za wcielenie zmysłowości. Miała dwadzieścia dwa lata, gdy poślubiła sławnego już madrygalistę; po raz pierwszy wyszła za mąż w wieku lat piętnastu.

Książe Venosy był od niej starszy. Miał dwie namiętności, muzykę i polowania. Ówczesni kronikarze podkreślają zwłaszcza pierwszą. Spędzał dnie i noce w swojej „pracowni muzycznej”, w neapolitańskim pałacu koło San Domenico Maggiore. Wiele madrygałów skomponował do słów Torquato Tasso, poety z którym był zaprzyjaźniony. Zdaniem kronikarzy popełnił błąd, żeniąc się z kobietą tak piękną i pełną życia, skoro naprawdę był zdolny do jednej tylko miłości: do Muzyki. Bywało, że długimi okresami nie zaglądał nawet do małżeńskiej alkowy, gdy Maria — samotna i trawiona gniewem — słuchała dochodzących z „pracowni” dźwięków instrumentów i słów pieśni. Traktował ją jak narzędzie rzadkich „zachcianek” i dystrykcji seksualnych.

Za najpiękniejszą w Neapolu kobietę uważano Marię d'Avalos, za najpiękniejszego mężczyznę, „archanioła”, Fabrycego Carafa, księcia Andrii. Ich romans zamienił się błyskawicznie w pasję pozbawioną wszelkich hamulców. Ilekroć książe madrygalista wyprawiał się na polowania, książe „archanioł” spędzał całe noce w sypialni Marii. Zdawali się oboje nie widzieć grozy sytuacji, szczególnie Maria. Trwało to długo, dopóki pograżony w swoich madrygałach książe żył z zamkniętymi oczami. Otworzył je w październiku 1590. Upozorował wyprawę na polowanie, aby w kilka godzin po wyjeździe wrócić o północy do pałacu. Wtargnął z trzema pachołkami do sypialni Marii. Z zeznań świadków wynika, że po zamordowaniu obojga kochanków cofnął się jeszcze od progu do sypialni i z okrzykiem *Non credo esser morta!*, „Nie wierzę że jest umarła!”, rozplątał zwłoki żony krótkim mieczem. Kronikarze piszą o podwójnej zapamiętałości. O zapamiętałości zdradzonego męża, który znęca się nad trupem żony. I o zapamiętałości obojga kochanków, którzy tej nocy wiedzieli ponoć z absolutną pewnością co ich czeka i na śmierć gotowali się „w uścisku miłosnym”.

Sprawę szybko umorzono. Carlo Gesualdo uciekł z Neapolu do Venosy, w obawie przed zemstą rodziny d'Avalos i rodziny książąt Andrii. Po roku samotności w zamku warownym, roku wyjątkowo bogatym w twórczość kompozytorską, wyjechał na księżęcy dwór d'Este w Ferrarze. Ożenił się tam powtórnie z Eleonorą d'Este, bogobojną i pokorną niewiastą, i zabrał ją do swojej Venosy. Umarł mu syn z pierwszego małżeństwa z Marią d'Avalos (są podejrzenia że był synem księcia Andrii) i zaraz potem syn z drugiego małżeństwa z Eleonorą d'Este. Żył dalej, mimo powtórnego małżeństwa, samotnie ze swoją jedyną prawdziwą kochanką Muzyką, coraz płodniejszy jako madrygalista. Umarł w roku 1613. Eleonora, wkrótce po jego śmierci, wstąpiła do klasztoru.

13 lutego

Co tu ukrywać: o księciu Venosy myślałem jako wielbiciel *Kronik włoskich* Stendhala. Znał tę historię? Prawdopodobnie nie, bo gdyby ją był znał, jego pióro nie oparłoby się takiej podniecie. Nie ze względu na postać księcia Venosy, która przemawia do mojej wyobraźni. Stendhal byłby zafascynowany Marią d'Avalos — zuchwałą, opętaną, nie liczącą się z niczym miłością kobiety; namiętnością która rzuca wyzwanie śmierci, a nawet rozkwita bujniej jeszcze w cieniu śmierci. Mniejsza o to, czy prawdziwy jest stary zapis kronikarski o parze kochanków oczekujących egzekucji „w uścisku miłosnym”. Pewne jest jedno: to Fabrycy Carafa, „archanioł”, miał instynktowny odruch cofnięcia się, gdy kochankowie uprzytomnili sobie, że książe Venosy wpadł na tropy ich związku; i to Maria d'Avalos oskarżyła go o „bojaźliwą przezorność”, jakby upatrując w ryzyku własnie zwielokrotnioną stymulację miłosną. Zrozumiałby ją, ba — zachwyciłby się nią, twórca Matyldy de la Mole, który (jeśli mnie pamięć nie myli) napisał gdzieś, że „miłość jest trygiem rozważgi”. Vanina Vanini z cudownej noweli pod tym tytułem nie znosi myśli, że Ojczyzna jest jej rywalką w sercu młodego karbonariusza. Księżna Campobasso z *San Francesco a Ripa* każe zabić swego rozważnego i „zbyt wyrachowanego” kochanka francuskiego (aby zresztą później zażywać w Rzymie czci jako „wzór wszelkich cnót”). Stendhal, jak to potrafił tylko on, skierowałby w kierunku niezrównanie celnych zdaniach całe światło na „oszałałą” Marię d'Avalos, księcia madrygalistę sprowadzając do roli okrutnego i tępego rogacza, a księciu „archaniołowi” wyznaczając rolę kochanka z gatunku *povero diavolo*...

15 lutego

Manzoni, Manzoni, we wszystkich gazetach Manzoni w dwóch-setną rocznicę urodzin. „Największy powieściopisarz włoski”, „autor arcydzieła” (*Promessi sposi*) podziwianego przez Goethego, Stendhala, Hofmannsthala, analizowanego i komentowanego w niezliczonych książkach i szkicach przez włoskich historyków literatury i krytyków literackich, wkuwanego fragmentami na pamięć w szkołach włoskich. *Narzeczonech*, „historię mediolańską z XVII wieku”, wydano po raz pierwszy w latach 1825-1826; w wersji przejrzanej i poprawionej przez autora w 1840.

Czytałem *Narzeczonech* dwukrotnie, po osiedleniu się we Włoszech i ostatnio. Na małą i trochę inną skalę przydarzyło mi się to, co w dziejach stosunku do powieści Manzoni ilustrował przykład Crocego.

W szkicu z roku 1921 Croce sformułował i ładnie uzasadnił sąd admiratora z „ale”. Pochwalił słusznie doskonałą harmonię opowiadania, zachwycającą rzeczywistość w prowadzeniu wątków i rysunku postaci ręką tak pewną, że na przestrzeni siedmiuset przeszło stron Manzoni wydaje się absolutnym władcą świata swej wyobraźni przeplatanej z rekonstrukcją wypadków historycznych w Mediolanie i okolicach na przełomie trzeciej i czwartej dekady XVII stulecia. Słusznie też ocenił bardzo wysoko mistrzostwo Manzoni w opisach dżumy, wojen, rozruchów, głodu; i jego świetny pęd lombardzkiego pejzażysty. „Ale” dotyczyło supremacji katolickiego moralisty nad poetą. Croce nazwał *Narzeczonech* „dziełem oratoryjnym”, przyjmując pogląd pierwszych krytyków powieści, których raziło jej „narracyjne sklepienie”: nie „rozległy firmament nad wielokształtną ludzką egzystencją”, lecz „kopuła świątyni nad wiernymi i ich ołtarzem”.

W trzydzieści lat później Croce uderzył się w piersi i dopisał do tego szkicu krótką, jak to sam określił, *mea culpa*. Na kilka miesięcy przed śmiercią dojrzał „w katolickich uczuciach Manzoni moralną koncepcję życia w pełni do przyjęcia dla każdego wzniósłego, także nie katolickiego ducha”. To raczej Kościół mógłby się odnosić — i odnosił się okresami — z rezerwą do powieści, w której mniszka z Monzy ulega grzesznym pokusom ciała, świątobliwy Fra Cristoforo ma na sumieniu popełnione w młodości zabójstwo, a wiejski proboszcz Don Abbondio jest chorobliwym tchórzem. *Narzeczeni* są dziełem najwyższej poezji; obojętne, na takich wyżynach, czy Manzoni był wiernym synem Kościoła, czy katolikiem z ukrytymi skłonnościami do jansenizmu; był po prostu poetą o ogromnej wrażliwości moralnej; rzekoma „oratoryjność” powieści stanowiła poetycką istotę jego spojrzenia

na świat, a nie ograniczenie „rozległego nieboskłonu” do „kopuły świątyni”.

Moje wrażenia po pierwszej lekturze *Narzeczonech* były dokładnie takie same jak Crocego, z tym tylko że nie znając wtedy jego szkicu nazwałem na własny użytek powieść Manzoni „dziełem kaznodziejskim” a nie „oratoryjnym”. I świeża lektura *Narzeczonech* też popchnęła mnie do wyrecytowania *mea culpa*, choć nie tak daleko posuniętej jak u Crocego. Dziś jest to dla mnie znakomita i piękna powieść, mimo że element „kaznodziejski” czy „oratoryjny” obciąża jednak i krępuje jej poetycki rozmach. Tyle że uważam obecnie to obciążenie i skrępowanie za źródło swoistej dramatyczności *Narzeczonech*. Manzoni miał niezmiernie ostre poczucie zła w świecie i ocalenia przed nim, rozpaczliwej ucieczki od niego, szukał pod „kopułą świątyni”. Nigdy chyba, przed powtórną i pogłębioną lekturą powieści Manzoni, nie zetknąłem się w literaturze światowej z tak szczerym, autentycznym i namiętnym oddaniem się pisarza w ręce Boga. Nigdy nie słyszałem w utworze literackim modlitwy tak bezpośredniej, kazania wygłaszanego z takim przejęciem i z taką mocą.

Maisons-Laffitte, 10 marca

A więc cud (a wierzę w cudy): cud francuskiego zmartwychwstania *Innego Świata* w trzydzieści pięć lat od daty napisania książki. Jego punktem kulminacyjnym był przedwcześnie telewizyjny program *Apostrophes* Bernarda Pivot. Ponieważ nie mówię po francusku, reprezentował mnie (świetnie!) Kot Jeleński. Ale wiedziałem, że będę mógł zabrać krótko głos po polsku. Sprowadziło się to do odpowiedzi na pytania Pivot, z Kotem w roli tłumacza. Miałem natomiast w głowie przygotowaną zawczasu wypowiedź, wartą może utrwalenia na pamiątkę przynajmniej w dzienniku: „Nadzieжда Mandelsztam, wdowa po zamęczonym poecie Osipie i autorka wspaniałych *Wspomnień*, nazwała system sowieckiej cywilizacji więzienną, *tiuremnaja ciwilizacja*. Po ukazaniu się mojej książki we Włoszech znany włoski krytyk literacki Paolo Milano określił ją niemiecką definicją *Bildungsroman*. Chciałbym, aby kiedyś w przyszłości czytano *Inny Świat* jako *Bildungsroman* z odległej i zamkniętej epoki sowieckiej cywilizacji więziennej”. Wierzę także w ten przyszły cud, chociaż wiem, że go już nie zobaczę...

Telewizyjny program *Apostrophes* wzruszył mnie z jednego jeszcze względu, ubocznego lecz po jakimś wymownego. Pivot wybrał pięć książek i nadał całości tytuł *Historie wygnańców*. Jedną z wybranych książek, powieść Rogera Grenier *Il te faudra*

quitter Florence, posłużyła za coś w rodzaju motto. *Il te fandra quitter Florence*, czyli początek słynnego fragmentu XVII pieśni Raju Dantego: *Ti conviene partir di Fiorenza*. Dalsze tercyny są motywem przewodnim mojego opowiadania *Książę Niezłomny* z roku 1956: „Porzucisz każdą rzecz którą kochałeś / najbardziej; i to jest owa strzała którą łuk wygnania pierwszą wypuszcza. / Spróbujesz jak gorzki ma smak / cudzy chleb i jak ciężko jest / schodzić i wchodzić po cudzych schodach...”.

12 marca

Zaczyna się na Zachodzie kolejna zabawa w „liberalnego gołębia” kremłowskiego. W wypadku Andropowa wystarczyły dwa atuty, przekreślające z punktu piętnaście lat u steru KGB: znał podobno nieźle angielski i nad wódkę przekładał *whisky* (która mu w końcu zaszkodziła). Gołębi repertuar Gorbaczowa jest znacznie bogatszy: szeroki uśmiech (w przeciwieństwie do lisiego uśmiešku Andropowa), dobrze skrojone ubranie, młodość wolna od „reliktów” stalinizmu, umysł „technokratyczny”, towarzyska ogłada, no i, no i (karta prawdziwie atutowa) przystojna i dość elegancka żona wagi lekkiej, jeśli nie wręcz piórkowej, na tle damskiej tuszy w wysokich rejonach Nomenklatury. Pani Thatcher wpadła w ciełący zachwyt, gdy Gorbaczow zacytował w Londynie zdanie Palmerstona, że w polityce liczą się interesy a nie idee; nie tylko z uwagi na bliski angielskiemu sercu sens tego zdania, dlatego również, że na czerwonym Kremlu — *my God, my God* — znają Palmerstona. Wybitny włoski historyk literatury Francesco Flora stał się po wojnie entuzjastą ZSSR, i później senatorem z listy komunistycznej, odkrywwszy w moskiewskiej bibliotece swoje wielotomowe dzieło. Wobec „dzikiego supermocarstwa” obowiązuje na Zachodzie taryfa specjalna *ubi leones*, podszyta w głębi ducha pogardliwą rewerencją, należną silnym barbarzyńcom.

Trzy miesiące temu, podczas mojego poprzedniego pobytu w Paryżu, odwiedziłem Maksimowa. Prasa zachodnia pełna już była wtedy westchnień do „nadchodzącej ery oświeconej Gorbaczowa”. Maksimow mówił o nim „Miszka Gorbaczow” z taką naturalnością, jakby młody delfin był za dawnych czasów jego koleżką „od bitki i wypitki”. Okazało się, że rzeczywiście był. Wspiął się po szczeblach kariery w Komsomole, gdy Maksimow pracował w piśmie komsomolskim. „Chytry i cyniczny”, scharakteryzował go zwięźle Maksimow. W dzisiejszym *Corriere della Sera* Maksimow rozszerza charakterystykę z okazji świeżej introdukcji: człowiek niepozabawiony uroku, przystępny, wcale nie-

głupi; ale za czarusia w osobistych kontaktach uchodził również Stalin. „Liczy się maszyna systemu, maszyniści nie mają już na nią żadnego wpływu. Maszynistą może być filozof albo małpa, wyjdzie na jedno”. Z Maksimowem zgadzają się całkowicie w *Corriere* Etkind i Siniański, rzecz rzadka w rosyjskim Paryżu dysydenckim. Pewne nadzieje w nowym *gensseku* „reformiście” pokładają za to „naukowi znawcy” ustroju: Roy Miedwiediew i Zinowiew. Ku uciesze, ma się rozumieć, zachodnich „mężów stanu” i „sowieologów”.

Kiedy zęgnąłem się z Maksimowem po mojej wizycie u niego w grudniu, opowiedział mi o swoim pożegnaniu w Moskwie z bardzo bliskim przyjacielem przed wyjazdem do Paryża. *Dięto w tom* (pokiwał smętnie głową przyjacieli), *czto my Sowietiskij Sojuz obreczeny na pobiedu*. Oczywiście „skazani na zwycięstwo” przez zachodnich „mężów stanu” i „sowieologów”.

19 marca

Wieczorami czytam „wypisy więzienne” Adama Michnika *Z dziejów honoru w Polsce*. Książka niezwykła, mądra (nie do wiary prawie, że napisana w więzieniu!), dobrze przemyślana i doskonale skomponowana, porządkująca i objaśniająca rzeczy znane dotychczas na wrywki, jak części rozbitego obrazu. Będzie zaczytywana i tu i w Kraju, jestem tego pewien. Odegra wielką rolę w bilansach minionego czterdziestolecia. I wreszcie: nie mylę się chyba, uważając ją za odwrotną (i o ileż prawdziwszą) stronę *Zniewolonego umysłu*. Kula, Elzenberg, Malewska, Szczepański, Herbert (i obecny ciągle w tle sam Miłosz) mówią o Polsce w kleszczach Przodującego Ustroju bez porównania więcej i głębiej, niż Ketman i Murti-Bing, niż Alfa, Beta, Gamma i Delta.

Co nie znaczy, że we wszystkim się z Michnikiem zgadzam. Różnią mnie od niego dwie rzeczy. Po pierwsze, mam idiosynkrazję na punkcie rzekomej roli „ideolo” („ukąszenia heglowskiego”) w podboju komunistycznym. Po drugie, gdy on twierdzi jakby z żalem że „czas totalizmu nie sprzyja sądom wyważonym” i popycha do „jednostronności”, ja widzę duże niebezpieczeństwo w owych szacownych na pozór „sądach wyważonych” i analizach „wielostronnych”, bo często bywają wstępnym (i podstępny) narzędziem totalitarnej deprawacji.

Posłużę się przykładem literatury i to nie polskiej, skoro Michnik na ten temat bezpośrednio z mną polemizuje. Chodzi o literaturę włoską pod rządami faszyzmu. Zanim odpowiem na jego pytania, przytoczę za nim fragment rozważań Malewskiej

z lipca 1956: „Można sądzić, że przede wszystkim niedostatek *pisarstwa* przyniósł klęskę tylu pisarzom, czy raczej literatom. Mogą być pierwszorzędni literaci i drugorzędni pisarze. Z różnych powodów jakiś pisarz nie daje pełnej swej miary, lub ma tę miarę skromną i ograniczoną — niemniej jest *pisarzem*, jeśli ta miara stanowi jedno z jego życiem, jeśli nie chce on i nie potrafi rozszczepiać się na dwóch ludzi, z których jeden urządza sobie życie, a drugi pisze. W przeciwnym razie jest literatem, zdolnym czasem pisać umiejętnie, i to nie tylko pod dyktando, bez przekonania, lecz również z przekonaniem, które administrator wewnętrzny wyrobił sobie pod wpływem okoliczności i stara się nim natchnąć swoje pióro”. Nie znałem szkicu Malewskiej, poznałem go z ogromną satysfakcją teraz dopiero dzięki „wypisom więziennym” Michnika. Od bardzo dawna powtarzam z uporem maniaka dokładnie to samo: co innego pisarz, a co inne- go literat. Przed wielu laty, na kolacji u Janka Lebensteina, byłem świadkiem słownego pojedynku polskiego pisarza (Herberta) z polskim literatem (Andrzejewskim)...

Wróćmy jednak do faszystowskich Włoch. Faszyzm włoski był różaną wodą w porównaniu z komunizmem i hitleryzmem, ale stara tradycja literata (dworskiego) jest w tym kraju wyjątkowo mocna zakodowana. Wykorzystano ją z powodzeniem w cieniu „różg liktorskich”. Michnik pisze: „Herling-Grudziński zna włoską literaturę świetnie, ale czy przypadek np. Malapartego w pełni mieści się w jego kryteriach? A np. w Niemczech, czy *casus* Gottfrieda Benny nie maści czystego obrazu? Słowem: czy pospolity strach przed pałką jest ostatecznym kluczem do zrozumienia korzeni i mechanizmów ideologicznych obłędów naszego stulecia?”. Odpowiadam: tak, przypadek Malapartego w pełni mieści się w moich kryteriach (Malaparte występuje, pod nazwiskiem Malatesta, w moim opowiadaniu *Książę Niezłomny*); nie, *casus* Gottfrieda Benny nie maści czystego obrazu (zająłem się nim ostatnio nieco szerzej w moim dzienniku). „Pospolity strach przed pałką” jest istotnie, według mnie, kluczem do zrozumienia „ideologicznych obłędów naszego stulecia”.

Nie jedynym, co prawda. Niekiedy, w obrębie łagodnej stosunkowo odmiany totalitaryzmu, wystarczy korupcja. Od mojego przyjaciela Paolo Milano, włoskiego krytyka literackiego, słyszałem śliczną historijkę z tej dziedziny. Po wprowadzeniu „ustaw rasowych” we Włoszech zdecydował się wyjechać do Stanów i któregoś dnia przechodził ulicą koło Minculpopu (*Ministero della Cultura Popolare*). Z ministerstwa wyszedł właśnie sławny poeta Vincenzo Cardarelli i gorączkowo, nie oglądając się na boki, otwierał kopertę z czekiem (ministerstwo wypłacało „subwencje twórcze” zasłużonym luminarzom literatury włoskiej). Staławszy nie-

spodzianie oko w oko ze swoim dawnym przyjacielem, pomachał czekiem w powietrzu i krzyknął: „Widzisz, Paolo, do czego nas zmuszają!”. Był to, trzeba mu oddać sprawiedliwość, literat dowcipny w królestwie „czarnych koszul”.

24 marca

W mojej wypowiedzi na wieczorze poświęconym Czapskiemu wspominałem *Orła Białego*. Jerzy Giedroyc, główny inspirator *Orła*, dał mi dziś do przejrzania dwa roczniki pisma z lat 1943 i 1944.

Irak, Palestyna, Włochy — to był okres świetności *Orła*. Pamiętam z jaką niecierpliwością oczekiwano każdego nowego numeru w oddziałach, jak podawano go sobie w namiotach z rąk do rąk, dyskutując ważniejsze artykuły. Tygodnik był żywy, wojowniczy, niezależny. Długa lista publicystów: Pietrzyński, Racieński, Józef Poniatowski, Szuldrzyński, Adolf Bocheński, Gierat, Strzetelski, Ulatowski. Reporterzy Wańkowicz, Bielatowicz, Mieroszewski (tak, wtedy reporter!), Domański. Czapski o malarstwie. Poeci Olechowski, Broncel, Obertyńska, Broniewski, Kobrzyński, Międzyrzeski. 30 maja 1943 ukazał się artykuł *Sprawa Michałłowicza* z białymi plamami: po raz pierwszy dała o sobie znać angielska cenzura wojskowa. Odtąd białe plamy zadomowiły się w *Orle* na dobre, z nadrukiem „skonfiskowano”. Konfiskowano, rzecz jasna, wszelkie uwagi krytyczne o „potężnym sojuszniku”, łącznie z artykułem o dzieciach ewakuowanych z ZSSR, którym niedawno Jan i Irena Grossowie poświęcili ciekawą książkę.

Po wojnie postanowiono *Orła* utrzymać, najpierw krótko w Brukseli, potem — aż do świeżego zgonu — w Londynie. Decyzja była lekkomyślna, żywy niegdyś tygodnik dogorywał czterdzieści blisko lat pod tlenowym namiotem. Są pisma niezdolne do przeżycia albo zamkniętego okresu historycznego, albo śmierci swego założyciela i redaktora. *Orzeł* przestał być dawnym *Orłem* po demobilizacji wojska, jak *Wiadomości* przestały być dawnymi *Wiadomościami* po odejściu Grydzewskiego.

W roku 1945, po ukończeniu kampanii włoskiej, posłano mnie z oddziału liniowego do Rzymu na stanowisko kierownika działu literackiego w *Orle*. Pamięć podsuwa mi szereg znamiennych i godnych odnotowania epizodów z czasów urzędowania w mundurze za biurkiem w zarekwirowanym przez wojsko gmachu *Banca Nazionale del Lavoro*. Mój pierwszy konflikt (były i następne) z redaktorem Pietrzyńskim dotyczył Józefa Mackiewicza.

Przyniosłem do redakcji wstrząsającą relację Mackiewicza *Ponary*, „Baza”, ale Piestrzyński bez czytania odmachnął się od niej stanowczo, przerażony „nazwiskiem autora”; stanęło, krakowskim targiem, na druku pod inicjałami J.M. Z Niemiec odezwał się Tadeusz Borowski, proponując współpracę; niebawem jednak wrócił do Warszawy. Z Niemiec też przysłał kilka wierszy Gałczyński, z montecassińską *Pieśnią o fladze* na czele. Były drukowane. Spalił natomiast na panewce jego ambitny plan pisarsko-financeowy: przysłał mianowicie pierwszy rozdział zakrojonej na epicką skalę powieści *999 nieślubnych dzieci*; miało tych rozdziałów być tyle, ile nieślubnych dzieci, skończyło się niestety na pierwszym (niedrukowanym zresztą, w oczekiwaniu na kilka choćby kolejnych). Zjawił się Sergiusz Piasecki z opowiadaniem *Łom* (drukowanym). Wańkowicz i Bielatowicz przyprowadzili odkrytą właśnie młodą poetkę Zofię Górską (późniejszą Romanowiczową). Regularnie, jak wzorowy urzędnik bankowy, przychodził do redakcji ze swoimi tekstami Gustaw Morcinek, sztywny i starannie ubrany, z teczuszką pod pachą: Któregoś dnia nie przyszedł o oznaczonej godzinie: wrócił do Polski.

Ten ostatni epizod miał swój dalszy ciąg. Po latach, w okresie „odwilży”, spotkałem Morcinka w Wiedniu. Był człowiekiem złamanym. W PRL zrobiono go posłem ze Śląska i wypchnięto na trybunę sejmową z „prośbą ludu śląskiego” o przemianowanie Katowic na Stalinogród. W Wiedniu zamęczał mnie prośbami o spisanie okoliczności tego wymuszonego na nim wniosku poselskiego, w imię „przekazania prawdy przyszłym pokoleniom”. Przypomniat mi się Lwów pod okupacją sowiecką. Znany był tam wówczas pewien nauczyciel polski ze Stanisławowa, którego podpisano bez jego wiedzy pod ogłoszoną w *Czerwonym Sztandarze* petycją „mas robotniczych i włościańskich oraz inteligencji pracującej Zachodniej Ukrainy” do władz najwyższych ZSSR w sprawie niezwłocznego powrotu tego rejonu na łono „ojczyzny proletariatu światowego”. Błagał ze łzami w oczach swoich lwowskich znajomych, by poświadczili podpisami jego datowany akt zaprzeczenia, który w zakopanej głęboko butelce miał czekać nadejścia lepszych czasów...

Neapol, 3 kwietnia

Korespondent z Warszawy, który czytał w moim dzienniku aluzyjną lecz dość przejrzystą notę o zamordowaniu Matteottiego napisaną po odnalezieniu zwłok księdza Popiełuszki, chciałby wiedzieć jak daleko sięgają analogie i czy można z nich wyciągnąć głębszą naukę o działaniu obu systemów.

Tak się złożyło, że wpadł mi do rąk tekst referatu Denisa Mack Smitha, oxfordzkiego historyka współczesnych Włoch, *The Murder of Matteotti* na amerykańskim sympozjum *Mussolini and Italian Fascism* w roku 1982. Mack Smith podważa tezę o pośredniej tylko odpowiedzialności Mussoliniego za porwanie i zabójstwo posła socjalistycznego, tezę która głosi że Mussoliniego wolno obwiniać wyłącznie za stworzenie „klimatu moralnego” sprzyjającego zbrodni. W rzeczywistości Mussolini oparł od razu, u samego zarania faszyzmu, swoje rządy na terrorze selektywnym. Zanim doszło do zamordowania Matteottiego i śmiertelnego pobicia posła liberalnego Amendoli, ofiarą lżejszych agresji („nauczek”) padło około pięćdziesięciu posłów opozycji parlamentarnej. 1 czerwca 1924 Mussolini ogłosił w swoim *Popolo d'Italia* artykuł niedwuznacznie wzywający do „uciszenia” Matteottiego. 6 czerwca otwarcie powiedział w parlamencie, że faszyzm dojrzał do „naśladowania komunistów rosyjskich, którzy swoich przeciwników likwidują ciosem w plecy”. I po zwykłej u niego pauzie oratorskiej dla wzmocnienia efektu dorzucił, skandując słowa: „Nie zawahamy się tego zrobić, przekonacie się wkrótce”. 10 czerwca został porwany Matteotti.

Szef „faszystowskiej Czeki” Dumini (włoski kapitan Piotrowski) był w stałym kontakcie z Mussolinim, wprost lub poprzez najbliższe otoczenie Wodza. „Ekstremistą” i „narzędziem niecznej prowokacji” stał się dopiero wtedy, gdy wyszło na jaw jego profesjonalne partactwo. W terrorze selektywnym nieodzowna jest czysta robota, bez śladów i świadków. Portier kamienicy nad Tybrem, w której mieszkał Matteotti, odznaczał się dobrą pamięcią: zapamiętał numer tabliczki rejestracyjnej samochodu, parkowanego od pewnego czasu codziennie (z czterema osobami w środku) po drugiej stronie ulicy. I spalił Duminię z jego „faszystowską Czeką”, jak szofer Chrostowski spalił kapitana Piotrowskiego i jego dwóch pomocników. To są te przysłowiowe „kamyczki”, o które na równej i gładkiej drodze w dolinie zdarza się potykać terrorowi selektywnemu, zaplanowanemu skrupulatnie na szczytach władzy.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Powrót

Podczas mojego pobytu w obozie chyba tylko dwa lub trzy razy odczytywano pod koniec wieczornego apelu numery więźniów. Wywoływany nie było wolno wrócić do bloków wraz ze wszystkimi. Zostawali na placu w miejscu, gdzie stali. Zachowałem w oczach naprzód trzech ludzi stojących bez ruchu z dala od siebie, gdyż należeli do innych bloków. Opustoszały plac stawał się ogromny. Kiedy indziej padł numer tylko jednego. Wszyscy odchodząc w różne strony zwracali do niego twarze, a on w miarę oddalania się nie malał, ale jakby rósł w swoim osamotnieniu. Nie wiedzieliśmy, dokąd go później zaprowadzono, gdyż odbywało się to dopiero po zamknięciu wejścia do bloków. Od starszych więźniów z poprzedniego transportu dowiedziałem się wkrótce, co tych ludzi czekało. Szli najpierw do bunkra, a przed świtem pod mur na 11-tce.

W takie noce nasz sen, zawsze niespokojny i przerywany dręczącymi majakami, zamieniał się w nerwowe oczekiwanie, takie, jak przed nocnym wyjazdem, kiedy budzimy się co kilkanaście minut, żeby nie spóźnić się na pociąg. Wreszcie gdzieś nad ranem, na pewien czas przed pobudką, dobiegały nas odgłosy strzałów. Zawsze towarzyszył im po chwili strzał pojedynczy. Strzały słyszeliśmy jakby przez ścianę, gdyż blok 11 mieścił się w sąsiedztwie. Należałem do bloku 10-A. Moja izba była na pierwszym piętrze. Dopiero po tym strzale łaski, padającym oddzielnie, zasypialiśmy natychmiast, żeby jeszcze na godzinę czy półtorej godziny stracić świadomość, gdzie jesteśmy. Takie nagłe zanurzenie się w wilgotną i ciepłą szarość, gdzie nie straszyły już żadne zjawy, przynosiło ulgę. Nasz krótki, twardy, zachłanny sen nad ranem przywracał siły potrzebne na zbliżający się dzień.

Groził on zawsze nowymi i zupełnie nieoczekiwanymi niebezpieczeństwami. Żaden dzień w obozie nie był podobny do tych innych dni, które już minęły i nie mogły niczego nauczyć. Zdaje się, że mało kto się wyłamywał z takiego wspólnego snu.

Reakcje mojego organizmu na śmiertelne niebezpieczeństwo poznałem niedawno w trakcie transportu do obozu. Traf sprawił, że w wagonie towarowym, gdzie staliśmy stłoczeni tak gęsto, że zmarły w drodze osunął się na podłogę dopiero przy wyładunku, znalazłem się tuż przy drzwiach. Mogłem dzięki temu wdychać świeże powietrze przez szparę w deskach. Za to dobrodziejstwo przyszło mi jednak drogo zapłacić. Dla utrzymania transportowanych w lęku i odebrania im ochoty do ucieczki konwojenci z SS uciekali się do sposobu starannie obmyślanego. Staje się to zrozumiałe, gdy się zważy, że należeli do organizacji powołanej do szerzenia terroru. Pociąg, dotąd jadący z dużą, monotonną szybkością, zatrzymał się tak nagle, że rzuciło nas o ścianę. Drzwi, odryglowane z hałasem, rozsunęły się na szerokość człowieka. W otwór wskoczył SS-man z pistoletem wymierzonym w więźniów. Za nim było widać zwarte półkole strażników w hełmach z automatami na pasach, a dalej szczerze pole pozbawione nawet krzaczka. Z niemiecką dokładnością zadbano o to, żeby więźniów pozbawić najmniejszej szansy ucieczki.

Moje położenie, dotychczas bardzo korzystne, postawiło mnie teraz dosłownie twarzą w twarz z mordercą. Jeszcze nigdy nie widziałem z bliska człowieka, który zabija. W tej chwili jednak nie miałem żadnych wątpliwości. Ten SS-man, który chwycił mnie za ubranie, żeby nie zlecieć z wagonu, chciał zabić. Oczy utkwione we mnie były ślepe z nienawiści. Nie wiem, czy mnie widział. Zwrot „oczy ślepe z nienawiści” przyjmowałem dotąd jako utarte wyrażenie literackie i zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, jak rozległe doświadczenie potwierdza prawdę tych słów. Nieruchome, ogromne, wysadzone na wierzch gałki oczne tego człowieka były jakby zawleczone dymem, który przysłonił źrenice. Wtedy doznałem stanu, który bez żadnego udziału z mojej strony parokrotnie uratował mi życie. Nie wdarł się we mnie strach. Przeciwnie, opanowała mnie obojętność niemal całkowita, bez przymieszki trwogi, żalu czy nawet rezygnacji. Może z odrobiną ukrytej gdzieś w głębi ciekawości, teraz ledwie odczuwalnej, ale zdolnej się jeszcze rozwinąć.

SS-man długo nie spuszczał ze mnie swoich mętnych nieruchomych oczu, jakby się zamyślił, nie mógł sobie przypomnieć, co miał zrobić. W pewnej chwili te oczy się ożywiły i nabrały ludzkiego wyrazu. Spojrzał mi przez ramię. Kto za mną ciężko westchnął i zapewne się poruszył, bo poczułem ucisk na plecach. Może ten ktoś, na którego teraz patrzył, usiłował schować się

za innych. — *Mensch, komm* — powiedział SS-man kiwając pistoletem i nagle przeszedł we wrzask rozzdzierający uszy — *Los, los, los Mensch, aber schnell!* Odsunął mnie pistoletem na bok jak rzecz, która zawadza i wdarł się w tłum. Zaraz potem gwałtownym szarpnięciem za koszulę pod gardłem wyciągnął jednego z więźniów. Tego chłopaka zapamiętałem, gdyż tuż po ruszeniu pociągu z Warszawy usiłował rozpychając stojących wywiercić kawałkiem szkła dziurę w podłodze. Obrócił go wokół siebie, pchnął w otwór drzwi, przez chwilę wodził pistoletem za straconym na ziemię i wreszcie strzelił. Widocznie chłopak jeszcze żył, gdyż zaklekotał krótką serią karabin maszynowy. Może tylko zrobiono to dla spotęgowania strachu. SS-man zeskoczył lekko z wagonu i nie zaglądając do środka zasunął drzwi. Zazgrzytał rygiel. Pociąg ruszył.

Podobna, albo raczej dokładnie taka sama inspekcja dokonała się jeszcze raz przed wieczorem. Ten sam SS-man, z tymi samymi niewidzącymi oczami natknął się od razu na mnie i ponieważ moja obojętność upodobiła mnie do przedmiotu, potraktował mnie jak przedmiot. Odsunął mnie na bok, gdyż trafienie do drewnianej sylwetki na strzelnicy nie sprawiłoby mu przyjemności. Byłoby raczej trochę upokarzające. Jestem głęboko wdzięczny życziwemu losowi, że nie posłużono się tym środkiem zapobiegawczym po raz trzeci. Z całą pewnością byłbym runął na żwir nasypu z tej prostej przyczyny, że tym razem mój martwy spokój wyglądałby już na arogancję.

Stan takiej pustej obojętności, która tylko obserwuje zdarzenia, ale ich nie odczuwa, nie zawiódł mnie i na apelu. Wystąpił od razu, kiedy pośród numerów odczytywanych pod sam koniec wieczorowego obrzędu znalazł się i mój. *Acht-und-vierzig-achtzig!* — padło wyraźnie na trzecim czy czwartym miejscu. Potem adiutant komendanta odczytał jeszcze kilka innych numerów. Liczba więźniów, którym kazano zostać na placu, była tym razem wyjątkowo duża. Było nas aż ośmiu.

— To twój numer, ten odczytany na początku? — zapytał mnie więzień stojący obok. Nie znałem go bliżej. Spał w innym kącie izby i rzadko ze mną rozmawiał. Wiedziałem tylko, że wierzył niezachwianie w dobry obrót wszystkich strasznych spraw. I wojny, i naszego losu. Odznaczał się również żywiołową przedsiębiorczością. Odezwała się w nim i teraz.

Przed dwoma dniami dostarczono nam wreszcie obuwie. Mnie przypadły nie wiedzieć czemu wygodne, mocne, prawie nowe skórzane trzewiki. On dostał drewniaki. Patrzył teraz łakomie na moje buty, które budziły zazdrość, zresztą życziwą, całej izby. Po rozesłaniu sienników wieczorem przychodzono je obejrzyć i pomacać z nabożnym podziwem.

— Ty, słuchaj — powiedział błagalnym szeptem — oddaj mi buty. Tobie już nie będą potrzebne. Nie ruszaj się!

Zrzucił chodaki przy moich stopach i przyklęknął.

— Chłopaki, nasuńcie się! — rozkazał i kiedy kilku z najbliższych skupiło się przy mnie, zrećnie rozwiązał mi sznurówką, zzuł ze mnie buty i wsunął w nie stopy.

— Pasują, cholera — powiedział z zadowoleniem i dotknął mego ramienia. — A ty, bracie nie martw się za bardzo. Jeszcze nie wiadomo, co będzie.

Odeszli szybko, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi i może również, żeby na mnie nie patrzeć. Któryś z nich przechodząc pogładził mnie ręką po plecach. Zostałem sam. W różnych miejscach placu stało nieruchomo jeszcze siedmiu takich jak ja więźniów. Nie wolno nam było ruszyć się bez rozkazu. Wkrótce przyszedł kapo. Był to starszy, chyba już pięćdziesięcioletni więzień z zielonym winklem kryminalisty, o tłustej cerze, gęstych, siwych włosach i zawsze dużych, białych gruzłach ropy w kątach oczu. Dozorował nas parę razy przy przenoszeniu pagórka. Nie krzyczał i nie bił.

Podszedł naprzód do mnie, gdyż zjawił się z mojej strony i kiedy spostrzegł zbliżającego się SS-mana, przywołał ruchem ręki pozostałych więźniów. Ustawił nas w rząd, po czym zameldował panu Rottenführerowi, że ośmiu *Schutzhäftling*ów wywołanych na apelu czeka. Wysoki i szczupły SS-man w mundurze opiętym jak na manekinie odczytał z kartki raz jeszcze nasze numery. Kolejno powtarzaliśmy je za nim z dodatkiem: ... *meldet sich gehorsam, Herr Aufseher*. W trakcie tej kontroli podoficer SS przyglądał się nam z ironicznym rozbawieniem, uderzając wtką po cholewie buta.

Kpiny z ludzi zupełnie bezbronnych i zdanych na łaskę i niełaskę najlichszego z dozorców uprawiano w obozie nagminnie. Nie uciekali się do nich jedynie dygnitarze z samego szczytu władzy. Była to zaledwie paroosobowa grupa, stanowiąca właściwą komendę obozu. Pan komendant Hess i otaczający go stale oficerowie nie pozwalali sobie nawet na cień uśmiechu przy rzadkim ukazywaniu się skazańcom. Wynieśli widocznie ze swoich szkół dla przywódców głębokie przekonanie, że prawdziwych mocarzy winna cechować olimpijska obojętność. Opanowali ją doskonale. W ich oczach nie pojawił się nawet błysk zainteresowania, kiedy patrzyli, jak na ich rozkaz dokonywano publicznych, odstraszaających egzekucji. Wykonawców ich woli nie obowiązywała taka wstrzemięźliwość. Napawali się krzykliwie swoją przewagą.

Wydaje się, że jest to jedna z najsilniejszych potrzeb u pros-

taków, którzy posiedli władzę. Przypadła im ona najczęściej bez większego trudu, przez prostą przynależność do organizacji. Gdyby znaleźli się w niej w epoce, kiedy znajomość poprzednich, przedrewolucyjnych stosunków społecznych uległaby już zupełnemu zapomnieniu, to być może nie przejawialiby wobec ludzi im podległych żadnych uczuć. Spełnialiby swoje zadanie tak zwyczajnie jak to robi konwojent zwierząt rzeźnych czy strażnik więzienny. Oni jednak za cenę ślepego posłuszeństwa zostali dopuszczeni do udziału we władzy zaledwie przed paru laty. Zachowali jeszcze mnóstwo wspomnień ze świata, w którym reperując zepsute światło lub doręczając pocztę patrzyli na właściciela mieszkania pochylonego nad biurkiem wśród półek założonych książkami aż pod sufit. Wiedzieli, że myśli tego spokojnego człowieka pełne są tajemniczych formuł, które mogą nawet wywoływać pioruny. Wówczas nie budziło to w nich zazdrości, gdyż jeszcze sobie nie wyobrażali, że potęgę zdobywa się wcale nie przez znajomość tych formuł. Życie im dostarczyło później aż nadto przekonujących dowodów. Bo oto stał przed nimi ten sam człowiek z za biurka, ale teraz trząsł się z zimna w pasiaku z pokrzywy; miał te same okulary, ale teraz osadzone krzywo na czerwonym nosie; oczy również były te same, ale już się nie gubiły w wysokich przestrzeniach, tylko z psią uległością patrzyły na pana Hauptsturmführera w oczekiwaniu, gdzie skieruje swoją trzcinę — w stronę tych, którym wolno będzie jeszcze trochę pożyć, czy też tych, którzy umrą za godzinę. Uśmiech zwycięskiej kpiny kwitował taką metamorfozę zgodnie z naturą rzeczy.

Kapo idący na czele naszej ósemki nie nadążał widocznie za podoficerem, gdyż odstęp między nim i nami ciągle się zwiększał. Kiedy wydłużył się o kilkanaście kroków, kapo podniósł dłoń do nosa jakby dla otarcia kataru i zasłaniając usta powiedział śpiewnie: *Zur Mutter, zur Mutter*. Uszliśmy znowu parę kroków, kiedy wysmarkał się hałaśliwie i powtórzy: *Zur Mutter, hast du gehört?* Tym razem już wyraźnie kierował ten przyspiew do mnie.

— *Zur-Mut-ter, zur-Mut-ter!* — przeciągał słowa. — Rozumiesz? Nie odzywaj się. Idziecie do domu. Powtórz innym. Powtórzysz?

— *Jawohl*, powtórzę — odpowiedziałem prawie nie otwierając ust. Kapo przyspieszył kroku. Podbiegając poszliśmy za nim. Herr Rottenführer stał przy otwartych drzwiach. Wciąż się uśmiechał ze złośliwym rozbawieniem.

Prawdopodobnie łatwe do odgadnięcia znaczenie tego uśmiechu tak zajęło moją uwagę, że zupełnie nie mogę sobie przypomnieć budynku, do którego mieliśmy wejść. Odkrywam to teraz z prawdziwym zdumieniem, gdyż pamięć z tych czasów dotąd nie

sprawiła mi zawodu. Odtwarzała wszystko, co chciałem, z zadziwiającą wiernością. Kiedy dla sprawdzenia jej sprawności znalazłem się znowu w mojej izbie na sienniku drugim z kolei od drzwi i poczułem od tyłu ciało Józka, murarza z Marymontu, a od przodu kościste plecy Aleksandra, urzędnika z ulicy Słowackiego, gdyż kładliśmy się do snu zawsze bokiem, aby się zmieścić we trzech na jednym sienniku, to już nie musiałem niczego więcej domagać się od wyobraźni. Ukazywała mi pożądaną obraz tak wyraźnie, jakbym oglądał go naprawdę.

Rysowała mi chociażby kształt drzewa, na które długo w noc patrzyłem przed zaśnięciem. Występowało ono ostro w świetle lampy umieszczonej nad wejściem do bloku. Drzewo gubiło już liście. Roniło je albo powoli, jakby ktoś niewidzialny zrywał je w zamyśleniu jeden po drugim, albo szybko, jakby nagle wpadał w irytację i rozrzucał całą garścią. Dotąd mam w oczach ciemne i gładkie konary, które się wyłaniały z coraz rzadszego listowia. Ich rozgałęzienia były wyłaczane po brzegach ciepłym światłem. Zachowały to lśnienie jeszcze przed rankiem, kiedy w oczekiwaniu na apel wybiegaliśmy z bloku i na parę minut, zanim rozległ się sygnał, zbijaliśmy się w ciasną gromadę, żeby nie tracić wyniesionego z izby ciepła.

Nie wiem, czemu w tym przypadku pamięć mnie zawodzi. Może działały tu jakieś mądre odruchy świadomości, które postarały się, żebym do tego zamknięcia na noc, zapewne ostatnią w życiu, wszedł jak w czarną dziurę bez kształtu i rozmiaru. Nie zachowałem nawet wspomnień dotykowych, chociaż ten zmysł mam dosyć wrażliwy. Zupełnie nie mogę przywołać wrażenia, jakiego musiałem wówczas doznać, kiedy szukałem po omacku miejsca, gdzie mógłbym usiąść. Nie wiem, czy był to chłód cementu, czy szorstkość drewnianej podłogi, czy miękkość grubej warstwy trocin, jaką zapamiętałem z nocy spędzonej w stajni na ulicy Szwoleżerów przed wywiezieniem pustymi ulicami na Dworzec Zachodni. Nie zdaję sobie również sprawy, jak z zewnątrz wyglądał ten „bunkier”, w którym zamknięto nas na noc.

SS-man w drzwiach znowu nas policzył, dotykając każdego witał, kiedyśmy go mijali. Kapo po drugiej stronie odprowadził mnie wzrokiem pełnym przyjaznego porozumienia. Za chwilę huknęły drzwi obite blachą i zapadła zupełna ciemność. Długo staliśmy tak cicho, że nie było słychać naszych oddechów. Czarność nigdzie się nie rozrzedziła, okien zatem nie było. Wreszcie ktoś westchnął i to przywróciło nam poczucie rzeczywistości. — Trzeba by usiąść — odezwał się ktoś z nas głosem zadziwiająco spokojnym. — Niczego przecież nie wystoimy.

Odnaleźliśmy się dotknięciem rąk, zeszli blisko siebie i nie

odrywając dłoni od ubrań kolegów usiedli. Może pamięć nie przechowywała zetknięcia z podłogą dlatego, że szukaliśmy przede wszystkim własnych ciał, które były zdolne obdarzyć nikłym ciepłem. Tak przecież przywieraliśmy do siebie po wyjściu na dwór przed apelem, żeby zmniejszyć dreszcze wstrząsające ciałem. Tym razem jednak nawet przytulenie się plecami i nogami nie uspokoiło nam drgania mięśni. Odczuliśmy to chyba wszyscy, gdyż ktoś zaczerpnął głośno powietrza jakby się dusił, a ktoś inny zaśmiał się krótko i cicho jakby zaszczołał. Nikt nie przerwał milczenia. Po pewnym czasie ledwie słyszalny szepot zdradził, że jeden z nas się modli. Odmawiał zapewne zdrowaśki, gdyż szmer zabarwiony był miękkim poświstem: „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, błogostawiona...”.

Uznałem, że nie wolno mi dłużej zwlekać z wiadomością udzieloną mi przez kapo. Sam nie wierzyłem jej zupełnie. Przypuszczałem, że nasz kapo w długim życiu obozowym doszedł do mądrości, która nakazywała obdarowywać nadzieją skazanych na śmierć, aby nie było im tak strasznie czekać na egzekucję. Był to nie tylko akt obozowego miłosierdzia czy też dopełnienie koleżeńskiego obowiązku, ale także protest, na miarę sił, przeciw oficjalnemu okrucieństwu, wyrażonemu jeszcze na ostatek w kpiącym uśmiechu SS-mana. Sądziłem, że ten wieloletni więzień zatrudniony przy egzekucjach zawsze postępował w ten sam sposób i kiedy odprowadzał do bunkra wyczytanych na apelu, to udzielał im obozowej ostatniej pociechy, czegoś w rodzaju zapowiedzi wiecznej szczęśliwości, jaką kapłan przynosi umierającym. W tej sytuacji zdradzenie się z wątpliwościami byłoby występkiem.

— Proszę posłuchać — powiedziałem, kiedy cisza coraz silniej nabrzmiewała strachem. — Kapo mi powiedział, że to najgorsze nas wcale nie czeka, gdyż mają nas jutro zwolnić do domu. Kazał mi wam to powtórzyć.

Milczenie, jakie nastąpiło po tych słowach, już nie było podobne do poprzedniej ciszy. Ciała przyciśnięte do siebie na chwilę zakrzepły w bezruchu, aby natychmiast odprężyć się i poruszyć.

— O, Boże... — wyszeptał któryś z nas i powtórzył to parę razy z coraz większym zdumieniem. — O, Boże, Boże...

Kilku naraz, jakby na dany znak, głęboko wciągnęło oddech. Po czym odezwali się chyba wszyscy. Mówili naprzód szeptem, potem półgłosem, chociaż nikt nie mógł nas usłyszeć. Za ścianami budynku, nawet gdyby przepuszczały dźwięki, rozciągał się obszar zupełnie martwy, gdyż w nocy obóz oświetlony był ostrymi lampami w ten sposób, że żaden z budynków ani żadne z drzew nie dawały cienia. Przez plac nie przechodził też nikt, kto nie był zapowiedziany poprzednio i wtedy każdy jego krok śledziły powolnym ruchem lufy karabinów maszynowych z wież strażni-

czych. W naszych ciemnościach byliśmy wyłączeni z tego niezwykłego świata, ale nie mogliśmy o nim zapomnieć. Nie pozwalał nam podnieść głosu nawet w chwilach wielkiej emocji. Po zduszonych, namiętnych pół-szeptach i pół-okrzykach poznałem, że wszyscy przysunęli się jeszcze bliżej i że wszystkie głowy zwrócone są w moją stronę. Pytania, wypowiedane naraz z różnych stron, były do siebie podobne. Naprzód brzmiało w nich tylko radosne zdumienie. Potem zaczęły się pojawiać ostrożne tony niedowierzania. Nie świadczyły jednak o prawdziwej wątpliwości. Raczej oczekiwano mego zaprzeczenia. Chciano w ten sposób zdobyć już nie nadzieję, ale pewność. Przekonywałem się jeszcze raz, że nic tak łatwo nie przychodzi ludziom bliskim zagłady jak nadzieja. Nawet tak mało godna wiary jak nasza.

— Kapo ci to powiedział? Naprawdę? Kiedy? — pytano. — Przecież kapo nic nie mówił... Szedłem za tobą i nic nie słyszałem... Słuchaj, ty, czyś ty sobie tego nie wymyślił?... Przysnaj się... Powiedz... Po co miałbyś kłamać?... Nie pomieszało ci się we łbie ze strachu?

— Kapo nic nie mówił, — odpowiedziałem — ale kapo śpiewał. Na pewno słyszeliście, że śpiewał. Zaczął nucić półgłosem, kiedy zwolnił kroku, żeby oddalić się od SS-mana. Śpiewał: *zur Mutter, zur Mutter, zur Mutter...* Potem zapytał mnie, także nucąc, czy go dobrze zrozumiałem. Dodał, że *zur Mutter* znaczy *nach Hause* i kazał mi to wam powtórzyć. Przecież pamiętacie, że szedłem tuż za nim. Byłem pierwszy w szeregu.

Znowu nastąpiła długa cisza. Ktoś poszukał po omacku mojej głowy, objął mnie mocno za szyję i przytulił twarz do mego policzka. Była mokra od łez. Ktoś inny poszukał mojej ręki i mocno po męsku ją ucisnął. Po ruchu wokół mnie mogłem się domyślić, że wielu z nas również poszukało dłoni albo ramion kolegów.

— No, bracia — odezwał się ktoś w ciemności — no, bracia, wszyscy jak tu jesteśmy, no, psiakrew.

Nie wiem, jak spędzilibyśmy tę noc, miotani nadzieją i zwątpieniem i dotrwali do otwarcia drzwi, gdyby się nie zdarzyło coś zupełnie niespodziewanego. Nagle bardzo donośnie i ostro odezwał się ktoś, kto od dawna musiał się trzymać od nas oddzielnie. Głos jego dobiegał gdzieś z głębi pomieszczenia. Był nasycony gniewem i wstrętem.

— Proszę pana — pierwszy raz od wejścia do ciężarówki, która mnie wraz z pojmanymi na Żoliborzu zawiozła do koszar Szwoleżerów, ktoś nazwał mnie panem i to dla wyrażenia pogardy — proszę pana, czy się pan zastanowił, co pan robi? Gdyby sądzić po sposobie mówienia, to można by pana wziąć za inteligenta. A to, proszę pana, na ogół świadczy o poczuciu odpowie-

działności. Bardziej rozwiniętym niż u prostaków. Tak, proszę pana. Toteż chciałbym zapytać, czy też panu nie wstyd?

Milczenie wywołane tym wystąpieniem nie trwało zbyt długo. Przerwał je zgiełk wielu głosów, już teraz nie zdławionych przez strach.

— O co ci chodzi? — wołano. — Czego ty chcesz? Modliłeś się? To módl się dalej. Teraz to masz już za co podziękować Bogu. Coś ty tam sobie znowu wymyślił? Mów. No, gadaj!

Odpowiedział ze wzburzeniem bliskim wściekłości, że on nie pozwoli się nabrać. Nie jest taki głupi. Przecież to jest zwykłe, ordynarne i na dodatek podłe kłamstwo.

— Ten pan — w słowo „pan” wkładał tyle odrazy, ile mógł zmieścić — ten pan zmyślił sobie wszystko od początku do końca. I jeszcze na dodatek uważa się z pewnością za wzór szlachetności. Prawda, że uważa się pan za wzór szlachetności? Uważa pan, że zasługuje na wdzięczność tych biedaków? Tymczasem okazuje im pan pogardę, uwłacza pan ich ludzkiej godności. Nie rozumiecie, że on wami głęboko gardzi? Naprawdę nie rozumiecie? Zaraz wam to wyjaśnię.

Teraz wolno, dobitnie, jak nauczyciel w szkole dla dzieci zapóźnionych w rozwoju tłumaczył kolegom, na czym polega ohyda postępków „tego pana”. Oto „ten pan” powziął zamiar wyjątkowo obrzydliwy. Postanowił ich zwyczajnie oszukać podsuwając jakieś idiotyczne myśli. Jak głupcom! Jak skończonym głupcom! A oni, właśnie jak głupcy, zamiast przygotować się w skupieniu do tego, co nastąpi, natychmiast bez namysłu, bez chwili rozważenia uczepili się złudzeń, zupełnie niewiarygodnych złudzeń, zaczęli się pocieszać obłąkanymi nadziejami. Może ich zapewnić, że kapo niczego nie mówił. On sam był całkiem blisko, siedł przecież trzeci w szeregu i nie słyszał ani słowa. To *zur Mutter*, nawet śpiewane, byłoby mu z pewnością wpadło w ucho. Nie było żadnego *zur Mutter*. Wszystkie to jest nędznym i w tych warunkach zbrodniczym wymysłem.

Zdaje się, że nie zmieniam prawie niczego z tej gwałtownej, zacieklej przemowy. Mocno wryła mi się w pamięć. Wraz z uniesieniem rosnącym w miarę mówienia i dochodzącym chwilami do krzyku.

— Trzeba nie mieć sumienia, żeby to zrobić. Ani szacunku dla człowieka. Ani nawet zwykłej litości dla niego w ostatnich godzinach życia!

Kiedy tak siedząc z dala od nas wywodził w ciemności, to po brzmieniu głosu zbyt starannym, przeznaczonym dla interesantów sposobie wyrażania się poznałem mówiącego. Nie należał do mojego bloku. Był, jak mi się wydaje, w sąsiednim. Spotkałem się z nim kilka razy koło studni przy myciu misek i zamieniłem

kilka słów. Mówił głównie o sobie. Twierdził z niezachwianą pewnością, że wkrótce, lada dzień, lada dzień proszę pana, będzie zwolniony z obozu, gdyż jest wysokim urzędnikiem w Warszawskim Magistracie, bodajże w samym biurze prezydyalnym. Rozumie pan, że nawet Niemcom na takich specjalistach jak on zależy. Bez specjalistów nie można przecież rządzić. Niemcy, jak mało kto, umieją docenić fachowców. Są dobrze z tego znani. Sam pan przyzna, prawda?

Przysuwał do mnie twarz z blisko osadzonymi szarymi oczami i nie spuszczał ze mnie wzroku. Chciał, żebym podzielał jego nadzieję, żebym ją nawet umacniał. Toteż robiłem to zawsze.

— Oczywiście — przytakiwałem. — Z całą pewnością. Dostanie pan zwolnienie bardzo niedługo. Może się pan nie niepokoić.

Aby go utwierdzić w przekonaniu, że nie żywię również żadnych wątpliwości, przypominałem mu swoją prośbę.

— Odwiedzi pan, rzecz prosta, moją rodzinę. Adres pan przecież zna. Podawałem panu już kilka razy. To o parę ulic od pana. Pan nie zapomni?

— Na pewno, na pewno — zbywał mnie krótko i już bez słowa odchodził. Widocznie byłem mu potrzebny tylko dla podtrzymania w nim wiary. Po kilku krokach jednak powracał. Znowu miałem blisko twarzy jego ogromne krzaczaste brwi i szczecinę czarnych, nisko zarastających czoło włosów.

— Zrobię, co będę mógł — zapewniał mnie z powagą jakby już zza biurka — ale proszę mi darować, jeśli nie dotrzymam obietnicy. Nie wiem zupełnie, jakie obowiązki po powrocie na mnie spadną. Proszę nie mieć do mnie żalu.

Na placu, kiedy wywołano jego numer, nie pomyślał ani przez chwilę, że oto nadeszło zwolnienie, na które oczekiwał z taką niezachwianą pewnością. Zrazu po rozpoznaniu go miałem ochotę mu o tym powiedzieć, ale szybko poniechałem tego zamiaru. Byłbym go rozdrażnił jeszcze bardziej. Był głęboko przekonany, że z Oświęcimia wyjdzie w drodze wyjątku, wskutek zabiegów poczynionych bardzo wysoko, może aż u samego Himmlera, że więc będzie przypadkiem zupełnie wyjątkowym, co potwierdzi zwolnienie tylko jego samego i nikogo więcej. Obecność na liście wśród aż ośmiu wywołanych mogła świadczyć tylko o tym, że te starania się spóźniły, że ułaskawienie ugrzęzło gdzieś wśród papierów, zawieruszyło się na dnie pieczętowanej co dzień szuflady w lśniącym biurku. Zdarzają się przecież — wiedział to dobrze z własnej praktyki — takie straszne zaniedbania. U Niemców? Bywa to również i u Niemców. Myśl, że ratunek przyjdzie o parę dni, może nawet o parę godzin za późno, była czymś tak trudnym

do zniesienia, że musiał ją zagłuszyć. Łatwiej to było uczynić sporem niż modlitwą. Dlatego wystąpił ze swoim oskarżeniem tak namiętnie.

A może posądziłem go wówczas niesłusznie? Przecież równie dobrze można było przypuścić, że występując tak brutalnie przeciwko mnie, starał się mi pomóc, oderwać myśl skazanych od egzekucji? Nigdy nie wiadomo, jakie siły odzywają się w ludziach w takich okolicznościach. Bohaterstwo u lękliwych, trwoga u odważnych? Jakiegokolwiek były pobudki jego zachowania, to wywarły skutek natychmiastowy. Krag ciał wokół mnie zacisnął się nagle. Poczujęm ze wszystkich stron łokcie i kolana. Kilka rąk chwyciło mnie za ramiona, jedna szarpała kurtkę na piersi.

— Powiedz prawdę! — czułem na twarzy zdyszane oddechy. — Nie kłamałeś? Nie wymyśliłeś tego sam? Kapo ci to rzeczywiście powiedział?

Kazano mi się zaklinać na wszystko, co mam najdroższego w życiu, czego pragnę jeszcze doczekać jeśli będzie mi dane wyjść stąd cało. Błagano, żebym nie zmyślał, gdyż ciężko mi będzie znieść spojrzenia kolegów pod murem. Oczu przecież nie zawiązywano. Grożono mi nawet, gdyż trudno przewidzieć, co mogą zrobić ludzie doprowadzeni do rozpacz. Ich cierpliwość już się wyczerpała. Prawie nie odpowiadają za siebie. Przecież powinieniem to zrozumieć.

Zapewniałem ich z całym przekonaniem, gdyż mówiłem prawdę, że wszystko to istotnie usłyszałem od kapo i od siebie nie dodałem ani słowa. Dziesiątki razy powtarzałem, co mi powiedział podśpiewując nasz opiekun. Kapo zasłużył na to, żeby go nazwać opiekunem.

— *Zur Mutter* — nuciłem nawet naśladując jego sposób przemycania wiadomości. — *Zur-Mut-ter, zur-Mut-ter, nach-Ha-u-se, zur-Mut-ter...*

— *Zur Mutter?* — Dopytywali się zachłannie. — Mówił naprawdę — idziecie *zur Mutter?*

— Mówił *zur Mutter* — powiedziałem żarliwie.

Wtedy odrywali się ode mnie i zwracali do tego niedowiarka, który siedział samotnie w ciemności. Przekonywali go namiętnie i nawet obelżywie. Żądali stanowczo, żeby poniechał głupiego oporu i uwierzył wraz z wszystkimi. Próbowali nawet grozić mu, jak mnie poprzednio, nie ruszając się zresztą z miejsca. On jednak nie zamierzał ustąpić. Spierał się z zaciekłością, która przybierała formę prawdziwego zapamiętania, jak w nieprzytomnej walce. Odzywało się ono najsilniej wtedy, kiedy domagał się, aby mu pozwolono w ciszy i skupieniu przygotować się do tego, co już wkrótce, może za godzinę, nieuchronnie nastąpi. Wykrzykiwał to

głosem aż ochrypiłm ze wzburzenia. Jego podniecenie udzielało się innym. Krzyczeli również.

Musiało to nam zabrać dużo czasu, gdyż gwar wciąż nie tracił nasilenia aż do chwili, kiedy rozległ się szcęk zamka. Wtedy urwał się nagle. Drzwi otworzyły się na całą szerokość i do środka wdarło się ostre światło latarki elektrycznej. Biała smuga omiotła naprzód nas, zbitych w gromadkę nieopodal drzwi, a potem wyluskała z głębi, spod samej ściany skurzonego we dwoje naszego opozycjonistę.

— *Austreten!* — rozległ się rzeński i zadowolony głos SS-mana. *Aber schnell Leute, und einer nach dem anderen, verstanden?*

— Macie wychodzić jeden za drugim i to szybko — przetłumaczył sprawnie ktoś za mną. Wydało mi się, że pospieszył tak z chętną pomocą ów skłócony z nami wszystkimi urzędnik magistracki. Trudno było przypuścić, że chciał w ten sposób przypodobać się SS-manowi. Jakież jego względy mógłby pozyskać? Również chyba nie pokierował nim odruch służbistości. Zapewne uległ impulsowi występującemu często przy egzekucjach. Chciał, żeby to, co ma się stać, stało się jak najprędzej. Skazańcy przed wykonaniem wyroku okazują zazwyczaj raczej niecierpliwość niż chęć przedłużenia życia.

Wychodziliśmy pojedynczo w odstępie trzech kroków, jak nam rozkazano. Znowu byłem pierwszy. Niebo było jeszcze nocne i gwiazdy złościły się za białą jasnością światła obozowego. W powietrzu czuć już było mroźną świeżość poranka. Nie można się było jednak domyślić godziny. Podoficer, wciąż złośliwie uśmiechnięty, jakby miał wziąć udział w dobrej zabawie, świecił nam kolejno latarką prosto w twarz, cofając się jednocześnie wraz z każdym z nas. Wciąż był na przedzie i mógł mieć nas na oczach. Kiedy zdjął światło z mojej twarzy, dostrzegłem jego zęby w ustach rozchylonych drwiną, jaką się widuje na twarzy podrostka, który przygotował dobry kawał. Jednocześnie ktoś niewidoczny z drugiej strony uściśnął mnie mocno za ramię. Kapo idąc wraz ze mną poruszał ustami w bezgłośnym: *nach Hau-se*. Tak samo odpowiedziałem mu: *Dan-ke*. Po wyjściu wszystkich podoficer odwrócił się i żywym, wesołym krokiem ruszył przed siebie. Kapo zaczekał i zamknął nasz szereg. Szliśmy szybko. Za chwilę weszliśmy w rodzaj ciasnego podwórza i wyrosła przed nami czerwona ściana śmierci pokaleczona pociskami. Wprost przed nią na samym środku odsunięty o parę metrów stał na rozczapierzonych nóżkach z podniesioną lufą stary karabin maszynowy. Zapasowe magazynki, ułożone starannie jeden na drugim, lśniły szarą emalią. Obsługi jednak nie było. SS-man prowadził nas wzdłuż ściany przed karabinem. Zwolnił manifestacyjnie kroku i stanął, kiedy znalazł się na krawędzi ściany. Wtedy obrócił do

nas twarz i długo się nam przyglądał. Może oczekiwał, że któryś z nas zachwieje się i upadnie. Ponieważ nic takiego się nie zdarzyło i karnie dreptaliśmy w miejscu, więc zachichotał głośno i zamiast oczekiwanego *Halt!* zawołał: — *Weiter, weiter gehen, Leute!* Po krótkim marszu zatrzymaliśmy się przed wielkim barakiem, już nam dobrze znanym. Co sobotę stawaliśmy tutaj na kilka minut pod chłodnym prysznicem, a potem siadaliśmy rzędem na drewnianych stołkach, aby poddać się gołeniu i stryżeniu głowy. Nazywaliśmy tę szopę naszym salonem. Podoficer zatrzymał się przed wejściem. Kapo podbiegł i otworzył drzwi. Życzliwym szturchnięciem zachęcił do wstąpienia do środka. SS-man policzył nas, znowu dotykał kolejno każdego ręką w brązowej rękawiczce. Po jego stwierdzeniu: — *Acht. In Ordnung!* — kapo stanął na progu, popatrzył na nas z jawną życzliwością i cofnął się, żeby zamknąć drzwi.

Zostaliśmy sami. Tym razem staliśmy w długim, zaniedbanym budynku z rzędami zawieszonych wysoko pryszniców po obu stronach pod belkami na stropie i dwoma drewnianymi stołami na środku. Światło odrutowanych lamp pod sufitem wydawało się nam bardzo ostre. Zapewne dlatego, że dotąd zawsze w czasie kąpieli ginęło w kłębach pary. Łaźnia była zupełnie pusta. Oprócz nas nie było nikogo.

Zachowałem w pamięci, że dopiero teraz oczekiwanie stało się bardzo męczące, pełne niepokoju, czy starczy siły, żeby nie upaść. Nie zamieniliśmy ani słowa. Staliśmy tak, jakeśmy weszli jeden za drugim w karnym szeregu i czekaliśmy bez ruchu na to, co się z nami stanie. Tak działa prawo strachu. To samo prawo, które kazało tysiącom ludzi kopać dla siebie rowy i potem stawać na ich brzegu bez krzyku ani nawet bez łez ciekących po policzkach. Przecież, jak zeznawali wykonawcy tych mordów, matki wtedy uciszały dzieci, żeby nie wywołać gniewu rosnących i grubych mężczyzn w hełmach z automatami przygotowanymi do strzału. Od chwili, kiedy usłyszeliśmy na placu apelowym nasze numery, wyzbyliśmy się nawet tych nędznych resztek samodzielności, która pozwalała na własną rękę wykonywać czynności niekaralne, jak choćby obmyć się lodowatą wodą ze studni przed staniem na apel. Teraz już nie umielibyśmy się zdobyć nawet na wyjście z szeregu. W taki stan bierności pod wpływem strachu popadają, jak przekonałem się później, nie tylko kilkusetosobowe grupy ludzkie. Okropniej i obrzydliwiej wygląda to, kiedy terror w takie odrętwienie wtrąca całe narody. Wtedy czekają one martwo, tak jak my, aż ich los się dopełni.

Nasz los dopełnił się tak, jak nie mogliśmy przypuścić w najzuchwalszych marzeniach. Wrota w głębi otworzyły się na oścież i ukazał się w nich wachman kierujący łaźnią. Był to gruby i dość

niezdarny Niemiec z Gdańska, mówiący wcale nieźle po polsku. Podobno, jak się zwierzał ukradkiem starszym więźniom, uciekł do wolnego miasta z „polskiego korytarza”, żeby nie pójść do wojska.

— No, i widzicie — pokazywał „gapę” na mundurze — na co się to przydaje uciekać przed własnym losem.

Teraz u progu wziął się pod boki i wyszczerzył zęby w szerokim przyjaznym uśmiechu. W tej pozycji czekał, aż dwóch więźniów idących za nim ustawi stoły po obu stronach łaźni i stanie za nami. Wtedy roześmiał się hałaśliwie i śmiał się długo.

— No, rozziewajta się chłopaki, psza wasza macz! — zawołał — będziemy was obmywać, żebyście czyste wlażyły pod piezynę do waszych bab, *aber schnell, Leute*, prenko, prenko!

Uformowaliśmy, jak zwykle, pasiaki w kostkę i ułożyli je rzędami pośrodku izby obok obuwia. Przy nachyleniu się po-czułem świdrujący ból w lewym oku. Dopiero teraz przypomniałem sobie, że od paru dni doznawałem coraz częstszych bólów w czole. Zaczęło się to rankiem, kiedy rozbieraliśmy dom na terenie włączonym do obozu i wiał ostry wiatr, naprawdę przejmujący do szpiku kości. Nie mogliśmy chować się na dłużej za burzone ściany, gdyż kapo, ten od Gärtnerkommando, został ostrzeżony, że z okien kancelarii Ludwig der Böse, blady i skrzywiony pisarczyk z oddziału Hitlerjugend odbywający tu praktykę, wytrwale szpieguje pracujących przez wojskową lornetkę. Ból atakował skokami. Gdy mnie dopadł, miałem wrażenie, że oko wyłazi mi z orbity. W dzień, przy pracy, było z tym jeszcze pół biedy. Prawdziwa, ciężka bieda przychodziła w nocy i objawiała się w postaci wciąż ponawianych zażartych ukąszeń, jakby jakiś szczególnie złośliwy owad wdarł mi się pod czaszkę i nie mógł się wydostać. Od paru nocy już wcale nie mogłem zasnąć. Pilnowałem się, żeby niecierpliwym ruchem czy jękiem nie zbudzić kolegów. Teraz, kiedy ten ból znowu zaczął mnie kąsać, zdałem sobie sprawę, że zupełnie go nie odczuwałem od wywołania mego numeru.

Stanęliśmy rzędem pod prysznicami i kiedy wachman sprawdził, że woda jest dostatecznie ciepła, weszliśmy pod bijące ostro z góry strumienie. Mimo zupełnie wyjątkowego położenia przysługiwały nam, jak co tydzień, tylko trzy minuty kąpieli. Szef łaźni, chociaż tak nam życzliwy, na pewno zdumiałby się niezmiernie, gdyby przyszła nam ochota choćby o minutę przedłużyć czas przewidziany w obozowym regulaminie. Szedł swoim kaczym krokiem pośrodku szopy i sprawdzał, czy myjemy się porządnie. Zatrzymał się o jakieś dwa czy trzy prysznice ode mnie.

— Co ty tam chowasz, głupi chłop? — zawołał. — Chodź tu do mnie, ale już i prenko, pokaż.

Wezwany, wysoki i dorodny chłopak z jasnymi włosami, może 19-toletni, wyszedł spod prysznic. Spozstrzegliśmy wszyscy, że kiść lewej ręki ma dziwnie zgiętą i obrzmiałą. Spuchlizna już zachodziła sinością.

— Mój kapo wczoraj uderzył mnie deską — tłumaczył się z zawstyżeniem, jakby to on był winien temu, co się stało. Odznaczał się na pewno niezwykłą odpornością. Przez całą noc w bunkrze nie zdradził się nawet syknięciem.

— Oj, niedobrze, chłopie — stęknął wachman — my stąd nie wypuszczamy chorych. U nas nie ma chorych. Są same zdrowe. To nie lazaret. Jak zara przyjdzie doktor, ty się tak okręcaj przed nim, żeby nie zobaczył.

Nie zdołaliśmy jeszcze porządnie się wytrzeć, kiedy rozległ się gorliwy krzyk szefa łaźni: — *Achtung!* Do budynku weszło dwóch oficerów SS zajętych rozmową z przyjaznym dotykaniami się po ramionach i spoglądaniem sobie w oczy. Jeden z nich, z nieodzowną trzcinką, wysunął się do przodu.

— *Ein Moment, bitte* — przerwał koledze. — *Entschuldigen Sie mich.*

Nie kazał nam ustawić się w rząd, ale podchodził do stojących na baczność i ruchem trzcinki kazał się przed sobą okręcać. Po czym, nie wiedząc czemu, podnosił nam szpicrutą członki i odprawiał pod ścianę. Na moją twarz zakrzepłą z bólu nawet nie spojrział. Złamaną rękę dostrzegł jednak natychmiast. Z zupełną obojętnością kazał chłopcu stanąć oddzielnie.

— *Zurück!* — rzucił wachmanowi i znowu zwrócił się z uprzejmym uśmiechem do towarzysza, aby wysłuchać do końca jego opowiadania. Wyszli tocząc przerwana pogawędkę. Byli syci, wypoczęci, zaróżowieni od porannego chłodu, pachnący po świeżym ogoleniu dobrą wodą kolońską. Nie musieli się odwoływać do żadnych rasowych teorii, aby nie widzieć w więźniach ludzi. Podział świata na panów i niewolników, na tych, którzy bez większego trudu odnoszą wszędzie zwycięstwa i tych, którzy skazani są na klęskę i zagładę wydawał im się zupełnie naturalny. Mieli za sobą już *drôle de guerre* z przyległościami, czyli tryumfalnymi defiladami po pokonanych stolicach Europy. Czekali ich wkrótce najazd na Rosję, ubiegającą się o łaskawe względy, spieszącą z dostawami materiałów niezbędnych dla wojny. Zaludniali ją także wygłodniali „podludzie”, nadający się niejako z natury rzeczy do podboju i skolonizowania. Zresztą, nie oni mieli ją zdobywać. Oni porządkowali podbity świat jako czołówka nowego ładu. W obozie zaprawiali się do przyszłych wspaniałych zadań.

Po ich wyjściu wachman brutalnie pchnął okaleczonego więźnia do jego kostki pod ścianą i z okrzykiem: *Schnell, schnell!*

rozkazał mu się ubrać znowu w pasiaki. Swoje pocziwości zachowywał tylko dla wypuszczanych z obozu. Nie rozumiał, że to rozróżnienie nie ma większego sensu, gdyż los wypuszczonych na „wolność” był także przesądzony w jego wysokim urzędowym niebie. Ten niemiecki chłop spod Gdańska, na poły spolszczony, wyniósł z dotychczasowych doświadczeń nawyki myślenia, z których nie umiał się wyzwolić. Dla niego więźniami byli tylko ci, których otaczały mury z cegły albo zasieki z drutu kolczastego. Może z takim prostym i zdrowym poglądem na świat zginął w śniegach nad Wołgą albo w piaskach nad Wisłą. Miejsc gdzie można stracić życie jest mnóstwo na tej ziemi, kiedy toczy się wojna czy też kiedy władzę sprawują ludzie miotani wiecznym strachem przed utratą panowania.

— Za mną! — odezwali się zza swych stołów funkcyjni w pasiakach, kiedy chłopak ze złamaną ręką stanął w pobliżu wejścia. — Przynieść sorty obozowe.

Stanęliśmy w kolejce naprzód do stołu, gdzie szczęściarz przydzielony do administracji obozu odbierał odzież więzienną. Robił to szybko, gdyż na sorty składało się ledwie kilka sztuk: kurtka z winklem i numerami, spodnie, skarpetki, drewniaki. Jednak mojego sześcianu nie wziął mi z rąk, żeby go rzucić niedbale pod ścianę.

— Gdzie masz buty? — popatrzył na mnie z groźbą w oczach. — Sprzedałeś? Oddaj papierosy.

— Nie sprzedałem. Nie mam — pokazałem mu obie dłonie. — Oddałem na placu koledze.

— Dlaczego?

— Myślałem, że nie będą mi już potrzebne.

Przyjrzał mi się uważnie i w oczach mieszało mu się politowanie z lekkim podziwem. Wreszcie skinął głową, zrobił znak na liście i rzucił drewniaki za siebie.

— Przechodź — powiedział z lekkim uśmiechem — ale żebyś zapamiętał na dłużej, komu zawdzięczasz życie...

Kiedy mijałem stół, wyciągnął nogę i kopnął mnie boleśnie w goleń.

— Uśmiechnij się do mnie i powiedz: — dziękuję, moja kochana. Po niemiecku to brzmi: *danke schön, mein Liebchen.*

W tej kpinie nie było wesołości. Zrobiłem co kazał. Przy następnym stole inny więzień, także młody, zmęczony i zepsuty, bo za pracę w cieple SS-mani kazali wybrancom płacić uległością dość obrzydliwą, rozpakował z paczki związanej sznurkiem moje ubranie i kazał mi pokwitować odbiór. Nie brakło nawet chusteczki do nosa. Wszystko przechowało się w takim stanie, w jakim oddaliśmy je rozbierając się w łaźni, wraz ze śladami błota i ru-

dymi plamami krwi. Dopiero za rok, przy dalszych zwolnieniach, zwracano garnitury jakby wyszły z pralni. Nawet kapelusze odprasowywano troskliwie na główce.

— Zegarek dostaniesz w Schreibstube — powiedział mi na odchodnym. Jak nie stuknęś po drodze, to chodź.

Zegarek chodził istotnie. Pisarz w mundurze SD nakreślił go, kiedy podpisywałem zobowiązanie, że nigdy i nikomu nie zdradzę nic z tego, co poznałem w obozie, gdyż inaczej czeka mnie powrót dla poniesienia zasłużonej kary. Ten urzędnik musiał również przed wojną przebywać, na naszych terenach, gdyż przetłumaczył nam tekst przyrzeczenia poprawną polszczyzną.

Przed biurem czekał na nas młody podoficer SS, również ironicznie uśmiechnięty. Widocznie był to przyjęty sposób bycia. Ten nasz nowy opiekun z twarzą rumianego podrostka całym swoim zachowaniem starał się nam dać do zrozumienia, że nie powinniśmy się zbytnio martwić rozstaniem, gdyż nie będzie ono trwało długo. Z uznaniem przyjął, że nakrycia głowy trzymaliśmy w ręku. Kazał nam iść za sobą. Ruszyliśmy do wyjścia.

Opowiedziałem we wspomnieniu nazwanym „Pagórek”, co przyszło nam jeszcze przeżyć, zanim opuściliśmy obóz zatopiony w gęstej, białej mgie, która rankiem napłynęła od rzeki i wilgotnych, jeszcze nie całkiem zamrzniętych łąk. Nie było mi łatwo znieść jeszcze raz to wyjście poza druty i majaczące wysoko we mgle wieże strażnicze, odczuwam zatem wyraźną ulgę, że już poprzednio dokonałem tych porachunków i nie muszę do nich powracać.

Drogi do stacji kolejowej Auschwitz nie umiałbym opisać. Być może dlatego, że wszystko teraz działa się jak po wypiciu kieliszka wódki na głodny żołądek. Obrazy zachodzą na siebie i jedne zacierają się zupełnie, a inne występują z taką wyrazistością, że mogę je przywołać w pamięci bez żadnego wysiłku. Widzę na przykład kilka par nóg stąpających z wysiłkiem po kamieniach bruku. Widocznie SS-man prowadził nas nie chodnikiem, ale krawędzią jezdni jak aresztantów.

Na brudnym dworcu było ledwie parę osób. Ubrane były biednie i starały się nas nie widzieć, jak stoimy pośrodku poczekalni z ogolonymi głowami i kapeluszami w ręku. Widocznie podróżni należeli do ludności miejscowej, dobrze już obznajomionej z tym, co się dzieje za drutami. W czasie mojego uwięzienia parokrotnie przywożono do nas na krótkie parodniowe „przeszkolenie” grupy robotników z miasta i okolic. Nie umieli widocznie przystosować się na czas do nowego pojmowania dyscypliny pracy.

Nasz konwojent po pokazaniu zaświadczenia z obozu nabył dla nas zbiorowy bilet do Warszawy, wręczył go wraz z doku-

mentem przewodnim pierwszemu z brzegu spośród nas, jako od tej chwili naszemu Gruppenführerowi, wyjaśnił krótko, że ci ze zwolnionych, którzy już otrzymali z domu dozwolone 20 złotych zapłacili nimi za pociąg, po czym popisał się żartem, który obmyślał zapewne od dawna. Podniósł rękę do czapki, wygiął się w eleganckim wojskowym ukłonie i rzucił z wyszukaną uprzejmością: *Auf Wiedersehen!*

Po jego odejściu staliśmy bezradnie zbici w gromadkę, nie bardzo wiedząc, co dalej robić, skoro zabrakło tego, który wydawał rozkazy. Ledwo jednak zamknęły się drzwi za podoficerem, natychmiast podszedł do nas kolejarz niemiecki. Niewątpliwie przyglądał się nam z boku już od dłuższego czasu. Zdobyliśmy wkrótce powody, żeby go zapamiętać na dłużej, może do końca życia. Był bardzo wysoki, szczupły, z wąsem przyciętym po angielsku. Nosił dobrze skrojony granatowy mundur ze złoceniami na kłapach kołnierza. Prawdopodobnie sprawował w kolejnictwie jakiś wysoki urząd.

— Nakryjcie głowy — powiedział z gniewem czy ze wzburzeniem — i chodźcie za mną.

Wyprowadził nas na peron, gdzie stał już pociąg złożony z kilkunastu wagonów starego typu z przedziałami zaopatrzonymi w drzwi po obu stronach. Prawie bieглиśmy za naszym nowym rozkazodawcą, który szedł bardzo szybko. Otwierał i zatrzaskiwał po kolei dużo drzwi w zupełnie pustym pociągu. Wreszcie znalazł przedział, jakiego szukał.

— Wchodźcie tutaj — powiedział z nieoczekiwaną życzliwością. — Będzie wam ciepło.

Kiedy posłusznie usiedliśmy na obu ławkach, rozejrzał się po peronie, sięgnął do kieszeni, rzucił między nas pudełko papierosów i pudełko zapalek i mrucząc pod nosem przekleństwa zatrasnął drzwi.

Długo siedzieliśmy bez ruchu i nie patrzyli na siebie. Wreszcie któryś z nas otworzył pudełko i wyciągnął rękę z papierosami do kolegów. Wtedy zobaczyliśmy, że mamy twarze mokre od łez. Powrót do człowieczeństwa nie odbywa się bez wzruszenia, co świadczy, że mimo wszystko żywimy dla tego wciąż pomiatanego człowieczeństwa trochę dobrych uczuć.

Czekały nas emocje jeszcze silniejsze. Pociąg zatrzymywał się często, ale mało kto do niego wchodził z pustych peronów. Dopiero przed Katowicami zaczęli wsiadać górnicy jadący do pracy. W miarę zbliżania się do miasta coraz częściej w drzwiach przedziału stawał rosły mężczyzna w wyszarzałej kurtce, w pomiętym kaszkiecie, w ciepłym robionym na drutach szalu wokół szyi. Wchodzący byli tak bardzo do siebie podobni, jakby praca pod

ziemią sama dokonywała wyboru. Każdy z nich rzucał wzrokiem na ławki w poszukiwaniu wolnego miejsca, ale kiedy natykał się na nasze ogolone głowy i nieruchome figury, przystawał na chwilę przy wejściu, mocno zamykał za sobą drzwi, przechodził przez przedział uważnie, aby się nie otrzeć o nasze ściśnięte kolana i kierował się ku wyjściu. Po drodze jednak kładł na kolana któremuś z nas termos wyjęty spod pachy, a następnie śniadanie zawinięte w gazetę. Dopiero po tym z taką samą spokojną stanowczością otwierał drzwi wagonu, żeby w biegu pociągu przejść do sąsiedniego przedziału. Musieli znacznie wcześniej od nas, zamieszkałych w Generalgouvernement, osiąść wiedzę o państwie, które ich wchłonoło w trakcie paru tygodni, gdyż niemal wszyscy zachowywali się podobnie. Zanim dojechalśmy do Katowic, mieliśmy na kolanach po parę termosów i zawiniątek ze śniadaniem. Znowu długo nie patrzyliśmy na siebie.

W parę lat później, kiedy dość niespodziewanie dla samego siebie zacząłem praktycznie zajmować się sztuką, która mogłaby być największą ze sztuk uprawianych przez ludzi, gdyby umiała rozmawiać z nimi o sprawach ważnych, myślałem o spłaceniu górnikom długu wdzięczności. Teatr, w którym aktor dzieli się z widzem radością i goryczą życia, wspólnie buntuje się przeciw przemocy, domaga się sprawiedliwości, wyszydza podłość, kpi z głupoty, zamyśla się nad dziwnością istnienia i wśród tych dostępnych wszystkim „rzeczy ludzkich” odnajduje myśl, że zapewne najprawdziwszą formą bohaterstwa, godną mężczyzny, jest najzwyczajniej dobroć, wydawał mi się tą odmianą sztuki, którą miałbym prawo przedstawić tym ludziom bez zawstydzenia. Tak się jednak nie stało. Może dlatego, że nie umiałem pokonać piętrzących się przeszkód. Trafiłem zresztą na złe czasy. Między ludzi zdumionych niezwykłością życia i ludzi spragnionych rozmowy o jego tajemnicach wdarły się oddziały urzędników z nakazami, zakazami, przepisami, cennikami i skutecznie zapobiegły porozumieniu. Potem przyszły lata czarnych mundurów, orderów na mundurach, białych pióropuszków, skandowanych okrzyków: „Niech żyje” i zaległego rachunku nie udało mi się spłacić. Nie jest bardzo przyzwoite obarczanie innych obowiązkami, których się nie spełniło, ale może ktoś obdarzony prawdziwą odwagą podejmie próbę, czy nie uda się teatrowi porozmawiać z ludźmi dojeżdżającymi wczesnym rankiem pociągami do Katowic i podzielić się z nimi uczciwie tymi wszystkimi trudnymi sprawami, które się składają na nasz wspólny los. Może w ten sposób udałoby się teatrowi odzyskać utraconą godność.

Zetknięcie z górnikami niemal zupełnie zatarło mi w pamięci dalszą drogę do Warszawy. Z szarości, przez którą usiłuję się przedrzeć wyłania się tylko pyszczek SD-mana, który parokrotnie

z taką samą starannością sprawdzał nasze świadectwo zwolnienia i liczył nas, tykając palcem w grubej czarnej rękawiczce. Za nim, kiedy tak stał pochylony na rozstawionych krzywych nogach, sterowało dwóch olbrzymich drabów w ciężkich hełmach z błyskawicami SS, trzymających palce na spustach automatów. Z ich grubych, bezwłosych twarzy, uciętych tuż nad brwiami brzegiem hełmu biła bezbrzeżna pogarda dla tych siedmiu numerów z ogolonymi głowami trzymających przykładnie ręce na kolanach. Wychodzili objając się o nasze nogi.

Bliskość granicy z Generalną Gubernią zapowiedziało wydalenie, które uświadomiło nam, że wracamy do prawdziwego życia. Na jednej ze stacyjek jeszcze w Reichu do naszego przedziału wdarła się tęga kobieta, okutana w parę chustek, w butach z chlewami na pękatych łydkach.

— No, wy tam, rekruty — krzyczała od razu we drzwiach — coście się tak porozsiadali, nasuńta się, macie dosyć miejsca!

— *Aber schneller, Leute!* — rozległ się groźny ryk i spoza jej pleców ukazał się Bahnschutz w swoim czarnym mundurze i czarnej furażerze. Ci strażnicy kolejowi rekrutowali się z szumowin różnych narodowości, Litwinów, Ukraińców, Niemców Nadwołżańskich, i odznaczeni się w służbie niemieckiej dziką brutalnością. Ten miał karabin zawieszony luźno na szyi, a w rękach dwa ogromne kosze zakryte płótnem. Wsunął kosze do przedziału wprost na nasze nogi i kiedy oswobodził ręce, wymierzył głośnie uderzenie w wypięty zad baby, jakby wzbijał pierzynę.

— *Gut Glück, Lodzia* — krzyczał dławiąc się śmiechem jak czkawką — *du bist aber eine Hure*, kurwa psza twoja macz! *danke schön!*

Volkslistę podpisał zapewne gdzieś w Rumunii, na Ukrainie, na Litwie, jeśli już nie w Wolnym Mieście Gdańsku. Salutował wielką łapą przytkniętą do furażerki, kiedy pociąg ruszył. Kobieta rozsiadła się wygodnie między nami, przysunęła do siebie oba kosze, zakryła je grubą warstwą swoich spódnic, zsunęła chustkę z czoła, przeżegnała się starannie i dopiero wtedy zaczęła wodzić po nas oczami. W miarę jak nas oglądała zupełnie bez skrępowania jednego po drugim, twarz jej nabierała wyrazu rozbawienia. Górna warga z włoskami zroszonymi potem zaczęła drgać. Wreszcie wybuchnęła piskliwym śmiechem, którym zapewne witała wszystko, co ją dziwiło, jeśli nie wywoływało strachu.

— O, Jezu! — chustką wycierała załzawione oczy. — O, ty mój dobry Jezu! Ale też was wygolili, moje ludziska, ale dobrali się wam do skóry.

Widać te słowa powiedziane odruchowo wzbudziły w niej jakieś domysły, bo urwała nagle, wyprostowała się i popatrzyła na nas z otwartymi ustami.

— Wszędzie was tak oskrobali, co? Nie ma się czego wstydić — wyraźnie zadreślała ją ciekawość. — Powiadają, że teraz już nie zostawiają ani na chłopach ani na babach jednego włoska. Włosy potrzebne są im na materace. Dobrze przecież grzeją, nie? Szczególnie, jak przyciągnąć włos do włosu tam, gdzie trzeba.

Popatrzyła na nas zalotnie i roześmiała się znowu.

— Jak tam u was jest, chłopaki? Powiedźcie. Śmieszne, co? Nigdy jeszcze takiego nie widziałam. Ciekawe byłoby popatrzeć.

Obejrzała nas z rzeczowym zainteresowaniem i twarz jej przybrała wyraz szyderczy.

— E tam, niewiele u was miałabym do patrzenia! — drwina na jej twarzy zamieniła się w wyzywającą wrogość. — Cóż to tak siedzicie, jak te drewniane czopy w kapuścianej beczce? Możecie tacy niedotykalni? Obraziłam na honorze jasnie panów dziedziców? Nawet nie łaska odpowiedzieć, jak ktoś po przyjaźni do was zagada?

Nikt z nas się nie odezwał. To wtargnięcie zwykłego życia było zbyt gwałtowne. Trzeba było czasu, żeby się z nim oswoić, toteż wszyscy zupełnie jednakowo przyjęliśmy jej zachowanie. Patrzyliśmy na nią z obojętnością, która mogłaby zaskoczyć kogoś, kto nie przeszedł przez teren obozów i koszar. Wdrażają one zadziwiająco szybko zbiorowe odruchy uczuć niemal jak zwrot głowy przy komendzie: Na prawo patrz!, albo wysunięcie na przód prawej stopy przy komendzie: Spocznij! Nie chcieliśmy tej kobiety obrazić. Po prostu jeszcze nie umieliśmy się właściwie zachować. Dla niej jednak nasz sposób bycia był niezrozumiały i tym samym obraźliwy. W późniejszym życiu często przychodziło inteligentom doznawać podobnych niespodzianek w zetknięciu z nowymi dygnitarzami. Nigdy nie było wiadomo, co ich może dotknąć. Podobnie było i w tym wypadku. Handlarka tym naszym milczeniem poczuła się zelżona i postanowiła nie darować obrazy. Obejrzała każdego z nas z osobna od stóp do głów z pogardliwie skrzywionymi ustami.

— Głodomory! — powiedziała przeciągając samogłoski. — Chcecie, to zaraz zobaczycie.

Wysunęła spod ławki jeden z koszy, odchyliła trochę lnianej płachty, wydobyła bochenek pyłowego chleba i pięto kielbasy. Rwała rękami chrupiące, świeże pieczywo, zagryzała kielbasą i głośno żując patrzyła na nas wyzywająco. Kiedy to nie wywarło zamierzonego skutku, gdyż wciąż patrzyliśmy na nią z pełnym spokojem, rozchyliła kaftan na piersiach i wyciągnęła płaską butelkę. Przyjrzała się jej pod światło, wybiła dłonią korek i nie spuszczając z nas oczu zaczęła pić wódkę wielkimi łykami z odchyloną głową. Opróżniła butelkę prawie nie odrywając jej od ust.

— Dobrze wam tak wytrzebieńcy, bezjajowce przekłete —

powiedziała z zadowoleniem. Czego też człowiek nie napatrzy się na tym świecie? Czasami to nawet trudno uwierzyć.

Już starała się na nas nie patrzeć, kiedy nasuwała chustkę na twarz i usadawiała się wygodnie do snu. Szerokie ziewnięcie, które przeżegnała krzyżykiem, mogło oznaczać równie dobrze mściwą pogardę jak raptowne zobojętnienie. Wielu ludźmi na świecie nie warto zaprzętać sobie głowy!

Gdybyż tak można było ułatwić sobie życie? Spotkanie z tą kobietą, która zupełnie bez udziału świadomości spełniała być może ważne zadanie, gdyż dożywała wyniszczoną i wygłodzoną Warszawę, nasunęło mi myśli, z którymi nie uporałem się do tej pory. Dostrzegłem, że ziemię zamieszkują dwa rodzaje ludzi całkowicie od siebie różnych, chociaż nazywanych wspólnym imieniem. Ludzie? Tak, z pozoru są do siebie podobni. Jednakowo są zbudowani, tak samo odczuwają głód i strach, chronią się przed upałem i mrozem, doznają radości, kiedy wstaje letni poranek i zapowiada pogodę, popadają w zmartwienie, kiedy od szarego świtu siąpi uporczywy deszcz i zamienia polne drogi w grząskie bajora. Nie różnią się także w doznawaniu uczuć wspólnych całemu naszemu rodzajowi — namiętności miłosnej, tkliwej i ofiarnej miłości do dziecka, lęku przed śmiercią. Ale w pewnym miejscu ich wspólne drogi rozchodzą się tak dalece, że już nigdzie nie mogą się z sobą spotkać. Jednych ta ich droga prowadzi do miejsc oznaczonych wyrazami: wolność, honor, lojalność, wierność danemu słowu, obrona słabych, litość dla pokonanych i każdy z tych wyrazów mieści w sobie dramatyczną historię i przekazywany przez nią kodeks postępowania. Przeważnie rozważa się go na nowo i przyjmuje dobrowolnie. Drogi innych nie wiodą wcale szlakami udeptanymi przez poprzedników. Ci ludzie odmiennego gatunku nie mają przed sobą utartych dróg. Nikłe i wkrótce gubiące się ścieżki każą im się przedzierać przez gąszcz i wykroty wydarzeń, które nie układają się nigdy w historię, gdyż oni sami nie posiadają trwałej pamięci. Może każdego ranka witają wschodzące słońce z takim radosnym zdumieniem jak ptaki albo z takim chrząkaniem zadowolenia jak zwierzęta.

Jedno ze spojrzeń, jakie rzuciła na nas w przystępie wrogości ta kobieta z wagonu przypominało mi spotkanie z moich leśnych wędrowek. Przekraczając prawie zarośniętą drożynę natknąłem się niespodziewanie na lochę z małymi. Stała nieruchomo o parę kroków ode mnie z gromadką centkowanych warchlaków i nieodzownym wyrośniętym już pasierbem. Całe stado zakrzepło bez ruchu jak ona. Różniło się tylko od niej w zachowaniu tym, że wszystkie młode zwierzęta patrzyły na nią, kiedy ona patrzyła na mnie. W jej małych oczkach z jasnymi rzęsami było tyle

zimnej i nieubłaganej wrogości, że nie można było wątpić, iż zabije w obronie swoich leśnych praw do sytego i swobodnego życia. Nie spuszczać jej z oczu zszedłem zwierzętom z drogi i skoro tylko ukryłem się za najbliższą sosną, usłyszałem gwałtowny ruch stada, które ruszyło w las.

Otóż właśnie wtedy gdzieś z samego dna duszy wysunęło się czy też wysłiznęło we mnie podejrzenie, czy przypadkiem nie jestem niewolnikiem mojego dziedzictwa historycznego, jak dożywający już swego wieku wszędzie po świecie żałośni arystokraci w swoich zimnych i zapuszczonych zamkach, gdy ludzie znacznie bardziej wolni ode mnie są podobni do tej kobiety, postępującej zgodnie z naturą. Z czasem te niepokoje raczej się pogłębiły. Narody, które niemal cudem wróciły do swoich przedwojennych siedzib cywilizacyjnych, aby wieść w nich życie wolne i dostatnie, zupełnie nie umieją docenić wyjątkowości swego losu. Zaczęły przerażająco przypominać Rzymian ze schyłkiem ich dziejów. Zupewnie tak samo jak oni i te ocalałe narody nie mogły sobie wyobrazić że najeźdźcy, kiedy zawładną ich krajem, będą rozbijać młotami posągi, palić zboże na pniu i wycinać do korzeni winnice. Nie zdawały sobie sprawy, że jeśli nie wystąpią w obronie palonej książki czy wyrąbywanego sadu, to zginą w piwnicach szkół zamienionych na katownię albo będą pędzić życie niewolników pozabawionych na zawsze nadziei. — Nie chwycę wtedy za broń, aby ją obrócić przeciwko innemu człowiekowi — powiadają rośli i młodzi ludzie z tych szczęśliwych narodów i powierzają losowi nadchodzącą przyszłość. Przyniesie im nową cywilizację, rozsumną i dobrotliwą, czy też przeciwnie?...

W siedzibie Gestapo, mieszczącej się w gmachu byłego Ministerstwa Oświaty na ulicy Szucha, zameldowaliśmy się zaraz po przyjeździe do Warszawy około godziny czwartej po południu. Urzędowanie już się skończyło. Nie było słychać krzyków badanych na śledztwie ani widać wywlekanych z gabinetów omdlałych ciał. Podoficer dyżurny wziął od nas pismo przewodnie i kazał nam czekać w holu. Czekaliśmy bardzo długo. Co pewien czas schodami wiodącymi na pierwsze piętro schodził ciężko oficer w długich butach, z czarnymi patkami na kołnierzu. Niemal z reguły na nasz widok zatrzymywał się na podeście górującym nad naszą ławą i po obejrzeniu nas przelotem zstępował z kilku stopni, aby przyjrzeć się nam z bliska. Po zatrzymaniu się przed nami o kilka kroków nakazywał nam ruchem ręki powstać, po czym lustrował nas kolejno wzrokiem poszukując na twarzach śladów pobytu w Auschwitz. Widocznie nasz wygląd nie przeczył temu, co wiedział o obozie, do którego kierował swoich jeńców, jeśli nie umierali przy badaniach lub nie podlegali natychmiastowemu rozstrzelaniu, gdyż w jego oczach zapalał się błysk złośliwej ra-

dości. Był to jakby odruch bezwarunkowy. Pojawił się automatycznie u wszystkich tych czterech czy pięciu gestapowców, którzy się do nas zbliżyli.

Wydaje się, że można by na podstawie tego doświadczenia, zresztą jednego spośród wielu, ustalić cechy ludzi, stanowiących tylko pewną odmianę tego rodzaju, jaki przedstawiała z całą okazałością szmuglerka z przedziału. Być może nawet, że w ewolucji człowieka stali od niej o jeden stopień wyżej. Znali przecież takie słowa jak wierność, obowiązek, duma, ojczyzna. Nadawali im jednak odpychające znaczenie. „Wierność” zamieniła się w „wierność wodzowi”, obowiązek znaczył przede wszystkim „obowiązek ślepego posłuszeństwa jego rozkazom”, duma zamieniała się w prostacką pychę „nadczołowieka”, „ojczyzna” nakazywała nienawidzić i mordować wszystkich dookoła, którzy różnili się rasą, narodowością czy poglądami. Nasza epoka wyrzuca z siebie wciąż nowe pułki janczarów w hełmach z przyłbicami, z tarczą w lewej ręce i z pałką w prawej. Utrzymują przemoc na rozległych obszarach ziemi. Po zmasakrowaniu opornych dogasa w ich oczach złowroga łuna upojenia zwycięstwem nad pokonanymi, którzy zostali zdani na ich łaskę i niełaskę. O zdżiczeniu obyczajów dzisiaj mogłoby świadczyć i to, że zwyciężeni są zdani tylko na niełaskę.

Podoficer, który podszedł do nas niedbałym krokiem, aby udzielić pozwolenia na udanie się do domów nie powstrzymał się od nagminnej złośliwości. Wskazał mianowicie na zegarek, że jest już wpół do ósmej i przypominał, że od ósmej obowiązuje godzina policyjna i że dla powracających z obozu byłoby szczególnie niebezpieczne, gdyby patrol przyłapał ich na ulicy po tej porze. Pobiegłem co tchu na plac Zbawiciela, skąd odchodziła 15-ka. Tramwaj był na przystanku. Zaraz ruszył. Spojrzałem na zegarek, aby stwierdzić z lękiem, że do godziny policyjnej zostało ledwie piętnaście minut. Ulice były już zupełnie bezludne i w tramwaju byłem jedynym pasażerem. Podszedłem więc do motorniczego, stanąłem za jego plecami i powiedziałem: — Wracam z obozu, przetrzymano mnie na Szucha umyślnie długo, boję się, że nie zdążę na czas do domu. — Zwrócił do mnie ukosem wąsatą twarz niemłodego i zmęczonego człowieka. Zapewne prowadził tramwaj ulicami Warszawy i wtedy, kiedy wybuchały pociski, trasę przesłaniały dymy i trzeba było często zatrzymywać się, żeby uprzętnąć z jezdni rozbite działka przeciwlotnicze czy trupy końskie z podniesionymi w górę kopytami, i także wtedy, kiedy pierwszy wagon nosił wielką tablicę *Nur für Deutsche* i należało tramwaj natychmiast zatrzymać na widok łańcucha żandarmów przegradzającego ulicę, aby pasażerowie z drugiego wagonu zdążyli skoczyć do uchylnych życzliwie bram.

— Nie ma strachu — powiedział obrzucając mnie uważnym spojrzeniem — zdążymy. Gdzie pan chcesz wysiąść?

— Daleko, aż na Słowackiego, tuż przed pętlą — odpowiedziałem.

— No, to pojedziemy, jak trzeba, tylko trzymaj się pan dobrze.

Przesunął korbę na największą szybkość. Mknęliśmy martwymi ulicami bez zatrzymywania się na przystankach. Tramwaj kołysał się, jakby miał wylecieć z szyn.

— Było bardzo strasznie? — prawie wykrzykiwał wśród przeraźliwego jazgotu starego wozu i pisku szyn.

— Strasznie! — odpowiedziałem mu też krzykiem.

— Dostaną oni jeszcze za swoje, jak pan mnie tu widzisz! — zapewnił mnie z nieubłaganym przekonaniem i wyciągnął rękę do uścisku. — Może Bóg da kiedyś się spotkać. Nigdy nie wiadomo. Pryskaj pan do siebie, ale nie nadwyreżaj nóg. Masz jeszcze trzy minuty. Jesteśmy na miejscu.

Ledwie zdążyłem zawołać: — Dziękuję!, kiedy ruszył z demonstracyjnym hałasem. Robiąc koło na pętli pożegnał mnie długim dzwonieniem. Przemknęło mi wówczas przez głowę, że powinienem wprowadzić od razu jasność do moich podziatów. Nie wolno mi było ani na chwilę zapomnieć, że przerażająca różnica między dwoma gatunkami człowieczeństwa nie biegnie wcale granicami warstw społecznych ani obszarami wiedzy, ale że przeprowadza ją jakaś niewidoczna tajemnicza rzeka, której działanie budzi podziw i grozę.

Przekroczyłem jezdnię, wpadłem między małe domki z ogródkami ulicy Harcerskiej, wypalanej później do fundamentów w czasie Powstania, i stanąłem przed drzwiami własnego mieszkania. Odruchowo sięgnąłem do kieszeni palta i nie zdziwiłem się wcale, że znalazłem w niej klucze w tym samym miejscu, gdzie zwykle. Wszedłem cicho, gdyż nie wiedzieć czemu, w bezmyślnej radości, chciałem sprawić niespodziankę moim domownikom. Mieszkanie było ciemne i ciche. U progu przypomniałem sobie, że naprzód zanim się pokażę, powinienem sprawdzić, co się stało z korektą, którą zostawiłem na biurku. Po omacku zatem dotykając poręczy schodów i starając się nie wywołać trzaskania stopni wszedłem na piętro. Dopiero po zamknięciu drzwi zapaliłem światło.

Nie darmo prawdziwi artyści przy zmaganiach się z oporną materią sztuki wyznają ze skrucą, że najbujniejsza fantazja nie dorówna rzeczywistości. Dla mnie ta rzeczywistość skomponowała zakończenie, jakiego by nie wymyślił pisarz posiadający wyjątkowy dar ironii. Po przebudzeniu o 5-tej rano waleniem kolbami we drzwi i wrzaskach *Alle Männer raus!* ogarnąłem się byle jak i wybiegłem na podwórze, gdyż świeżo zostałem redaktorem jed-

nego z wczesnych pism podziemnych i poprzedniego wieczora dostałem szpalty do korekty i przełamania. Przy jeszcze małym doświadczeniu okupacyjnym uległem obawie o życie najbliższych i aby zapobiec wtargnięciu żołdaków do domu, nie schroniłem się w schowku przygotowanym na strychu. Wybiegłem wprost pod karabiny niemieckich lotników, uczestniczących w obławie na Żoliborzu. Teraz, po powrocie z Oświęcimia, miałem powód do podziwu dla wspaniałych kpin losu, kiedy zastałem rozłożone szpalty tak, jak je zostawiłem. Nawet z piórem leżącym pośrodku.

Z całym przekonaniem na widok tej przerwanej roboty odważałem się losowi uśmiechem. Mniej swawolnym, gdyż złagodziła go wdzięczność za wprowadzenie w sprawy ludzi walczących i zostawienie mi swobody wyboru, po której stronie mam się wypowiedzieć.

Bohdan KORZENIEWSKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ • PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie

W A W E L PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Pamięć

— Warto by odślonić jakąś tablicę pamiątkową — powiedział Kogut.

— Kiedy ja nic nie pamiętam — zmartwił się Lis. — A ty? — zwrócił się do mnie.

— Ja pamiętam różne rzeczy, czasem to, czasem owo, ale przeważnie nic takiego.

— Na przykład co?

— Wyleciało mi z głowy.

— Najlepszy dowód, że tablica pamiątkowa jest konieczna — stwierdził Kogut. — Bez niej niczego nie pamiętacie.

— Ale w jakiej sprawie tablica, kiedy każdy z nas nie pamięta czego innego?

— Nie szkodzi. Odślonimy tablicę pamiątkową *in blanco*.

— To znaczy?

— Na okaziciela. My wmurujemy tablicę, a każdy kto na nią spojrzy wspomni sobie, co będzie chciał. Najważniejsze, żeby była tablica.

Jak pomyślano, tak zrobiono. Wmurowaliśmy piękną tablicę. Na niej wyryty napis: „Ku pamięci” i trzy kropki.

Ładnie to wypadło. Nazajutrz wróciliśmy, żeby zobaczyć jak działa.

Przed tablicą stało dwóch.

— To panowie wmurowali tę tablicę?

— My. Ładna, co?

— Prosimy z nami.

Zaprowadzili nas do urzędu. Nie był to urząd pocztowy.

— Panowie wmurowali tablicę ku pamięci tego, czego nie trzeba.

— Niekoniecznie, przecież tablica jest ku pamięci czego kto chce.

— My dobrze wiemy, czego kto chce.

— Ale to mogą być rozmaite rzeczy. Nie wszyscy chcą tego samego.

— My już dobrze wiemy, czego wszyscy chcą.

— Wobec tego my całkiem przeciwnie.

— Co przeciwnie?

— Przeciwnie do tego, co panowie myślą, że myśmy myśleli.

— My już wiemy, co wyście myśleli.

— No właśnie. To my akurat odwrotnie.

— Co odwrotnie?

— Odwrotnie niż to, co panowie mają na myśli, że myśmy mieli na myśli.

— Acha, to znaczy przyznajecie się, żeście mieli na myśli?

— Tak, ale co innego.

— Bez wykrętów. Żeby pomyśleć co innego, trzeba najpierw pomyśleć to.

— Co?

— To właśnie, czego nie trzeba.

Musieliśmy im przyznać rację, chociaż byliśmy niewinni. Logika jest logiką.

Wypuścili nas, pod warunkiem, że w ogóle nic nie będziemy myśleć. W drodze powrotnej przechodziliśmy koło tablicy. Ale tablicy już nie było.

— Myślisz coś? — zapytał mnie Lis półgłosem.

— Ja? Skądże — odpowiedziałem głośno: — Może Kogut?

— Ja myślę... — zaczął Kogut, też głośno.

— To lepiej przestań — przerwał mu Lis szeptem.

— Dlaczego? — sprzeciwił się Kogut głośno. — Ja sobie tylko myślę, że dobrze by było wmurować tablicę pam...

Nie dokończył, ponieważ Lis łapą zamknął mu dziób. Kogut jednak uwolnił się energicznie.

— O co chodzi?! — zawołał, stając w miejscu. — Ja tylko proponuję, żeby wmurować tablicę pamiątkową na pamiątkę tablicy pamiątkowej!

Nie zdążyliśmy wyrazić naszego stosunku do tej propozycji, bo podeszło do nas dwóch.

— Nie stać i nie robić zgromadzenia — powiedzieli. — Przechodzić, przechodzić!

No tośmy przeszli, przeszli.

Sławomir MROŻEK

— Młotkiewicz, przecz, radł jest ku panu cięgo kto
— My dobre wiemy, czego kto chce
— Ale to mogą być rozmaite rzeczy. Nie wszyscy chcą tego
— My już dobre wiemy, czego wszyscy chcą
— Wtedy to my całym przeciwie

Wiersze

Jacek BIEREZIN

TYLE RZECZY

Tyle rzeczy których nie zrobiłeś
Tyle wierszy których nie napisałeś
Słońce wschodzi i słońce zachodzi
Są jeszcze kobiety które cię kochają
Tadeusz Kościuszko i Romuald Traugutt
robią powstania w twoich wierszach
W koszarach podchorążych na razie panuje cisza
Adam Mickiewicz romansuje na Krymie z Karoliną Sobańską
która jest agentką carskiej policji
Aleksander Wat opowiada ci znane wschodnie historie
Księżę Józef skacze na koniu do nieznannej ci rzeki
„Kto ty jesteś? Polak mały.
Jaki znak twój? Orzeł biały”.
W Polsce objęty ochroną gatunkową
Orzeł — gwiazdozbiór równikowy
ciągnie za sobą Herkulesa Węża
i Rimbauda który wyrusza właśnie statkiem pijanym
w podróż do kresu swojej nocy
Pomieszały ci się czasy i historie
W połowie drogi do Canossy zawracasz
do La Manchy lub do Warszawy
gdzie Maurycy Mochnacki detronizuje cara Mikołaja
a Zbigniew Herbert pisze raport z oblężonego miasta
Jest przy tobie jesień Pora płonących wierszy
Między tobą a damą kier wyrosło lato
Żurawie ciągną na południe
Pocieszasz się starymi zakłęciami
Wsiadasz z Jazonem na statek Argo
lub wyruszasz z Cendrarsem transsyberyjską koleją
Kartezjusz mówi ci w Paryżu „Cogito ergo sum”
Kant idzie na swój codzienny spacer

ale nie zauważa cię w bocznej alejce
Niebo gwiaździste jest w tobie
Prawo moralne nad tobą
Jesteś z dziewczyną w parku w Sceaux
Przed bramą jecie naleśniki z rumem
Potem idziecie alejkami pachnącymi deszczem
wzdłuż stawu z zielonymi kaczkami
Gdzieś niedaleko mieszka duch Curie-Skłodowskiej
I jest ten park niebo liść klonu i woda
Jest jeszcze bezgraniczna ziemia
Tyle Ameryk do odkrycia
Tyle rzeczy do zrobienia na które nie starczy tchu
Tyle wierszy do pomyślenia na które nie starczy odwagi
Tyle krwi do przelania
Własnej

Jacek BIEREZIN

Paryż, listopad 1984

Jacek BIEREZIN

W NASZYCH CZASACH

W naszych czasach
w których nie mamy czasu
by zatrzymać chwilę
poeci ponawiają pytanie
kto da świadectwo czasom
które dla radzieckiego żołnierza
oznaczają zegarek zdjęty z ręki
żywego lub umarłego
według ojców kościoła i świętej księgi
stworzonego na obraz i podobieństwo
W naszych czasach
w których czytamy oficjalne sprawozdania
z procesu morderców świętego księdza
i tysięcy sumień
i naprawdę nie wiemy już
czy jest to proces morderców czy ofiary
W naszych czasach
w których przebrała się
miara krzywdy w czasie
i krew obecna w żyłach wiersza

nie będzie już świadectwem czasów
 słuchamy nawoływań
 nieprawdziwych proroków
 do spokoju pokoju rozważi
 albowiem terror rodzi terror
 i królestwo nasze nie jest z tego świata
 A przecież spokój panuje w Warszawie
 wisielczy spokój panuje w Warszawie
 rozważni stają się powoli Armią Zbawienia
 inteligenci mogli zostać tylko krótkowidzami
 a działalność charytatywna zastępuje działanie
 Oddalony o czas
 pokonywania dużych przestrzeni
 modłę się by po naszych czasach
 nie pozostali tylko katastroficzni poeci
 i miasta umierające w wierszach
 Modłę się o kamień do ręki
 o celność dla oka
 o nienawiść
 prostą jak tragedia grecka
 czystą jak miłość
 o nienawiść
 która przecież także kiedyś umiera
 by dać świadectwo czasom

Jacek BIEREZIN

Paryż, marzec 1985

STAŃCZYKÓWNA

DIALEKTYKA I SZTUKA

Ważą się losy twego dorobku artysto
 Jeżeli powiesz Tak
 natychmiast zyska na wadze
 Jeżeli powiesz Nie
 od razu straci

Jeżeli powiesz Tak
 nareszcie staniesz się
 lepszy od gorszych
 bo gorsi będą ci
 co powiedzieli Nie

Jeżeli powiesz Tak
 docenią cię referenci
 w imieniu szerokich mas
 Jeżeli powiesz Nie
 malowałeś dla snobów
 pisałeś dla cmokierów
 komponowałeś dla podobnych sobie
 robiłeś filmy pod gust
 prozachodni

Jeżeli powiesz Tak
 wydawca nie odważy się
 powiedzieć Nie
 Jeżeli powiesz Nie
 czyżbyś nie słyszał
 że są trudności z papierem
 drukarnią kolportażem
 przędzą i paliwem
 siłą roboczą i produkcją mięsna
 żarówkami Reaganem paszą i klimatem

Jeżeli powiesz Nie
 już od wczesnej młodości
 szedłeś drogą krętą
 Jeżeli powiesz Tak
 twoja droga do prawdy
 nie mogła być prosta

Jeżeli powiesz Nie
 sam z własnej woli
 skreśliś swoje nazwisko
 a cenzor w tym przypadku
 wyręczy cię tylko
 Jeżeli powiesz Tak
 zaznasz wolności
 uświadamiając sobie konieczność
 cenzury

Jeżeli powiesz Nie
 odbierzesz sobie głos
 w sprawie przyszłości
 Jeżeli powiesz Tak
 będziesz miał możliwość
 powtarzać to słowo
 jutro pojutrze zawsze

na każde nowe żądanie
tym sposobem
zachowując sobie
prawo głosu

STAŃCZYKÓWNA

Jan WINCZAKIEWICZ

ŁOBODOWSKI

*Oj, Łobodo, atamanie Łobodo,
wierność sprawie przegranej przyplaciłeś życiem,
innym pachną czeremchy nad dniprową wodą,
a ty, gorzki, daleki,
bez drzew i bez rzeki,
trwasz uparty w kamiennym Madrycie.*

*Zadzwoniły na pociechę gitary,
kastanietami zagrała gazela,
a tobie dumki w uszach,
śpiew cerkiewny, wiejska kapela
i ten wiatr prastary,
co po stepach huczy i w duszach.*

*Toledo to nie miasto, to katedra.
Sewilla jest kobietą.
Jak nie ulec Hiszpanii, gdy się jest poeta
i gdy — wybacz, wybacz, Ukraino —
do gardła same ci płyną
słowa boże, i miłosne, i to wino,
które z tobą popija Cervantes de Saavedra.*

*Ale ten rycerz złoty to nie święty Jerzy,
ani Gabriel archanioł z kijowskiej ikony.
To kaptan iberyjski, matador,
i to on, krwią i słońcem namaszczone,
cieniutką szpadą
w serce twoje skołatanie mierzy.*

Jan WINCZAKIEWICZ

Archiwum polityczne**Obserwatorium**

Przypadki stosowania przemocy fizycznej wobec księży, ostatnio w Krakowie; prowadzona przez wszystkie ogniwa partyjne i całą prasę oficjalną kampania przeciw „garstce polityków w sutannach” czy „przedstawicielom wojującego, nietolerancyjnego kleru”, do którego zaliczono obecnie również papieża; przygotowywanie przez rząd posunięć zmierzających do uniemożliwienia parafiom i diecezjom działalności kulturalnej i społecznej oraz pracy z młodzieżą; ograniczenie przydziałów papieru dla prasy katolickiej; zagrożenie „Więzi” i „Znaku”: polityka dobrych stosunków z Kościołem zapoczątkowana zimą 1978 roku dobiegła końca.

Ta zasadnicza zmiana nastawienia władz PRL zarysowała się już ubiegłej jesieni, w tezach Biura Politycznego na XVII Plenum KC PZPR. Zamordowanie księdza Jerzego Popiełuszki przez trzech oficerów MSW, z przyzwolenia co najmniej kilku innych, zmusiło jednak kierownictwo partyjne do przyhamowania realizacji nowego kursu, by uniknąć oskarżenia o bezpośrednią odpowiedzialność za zbrodnię. Śledztwem w tej sprawie i procesem zabójców zapłacono zatem za uratowanie deklamacji o porozumieniu i o szacunku dla praworządności przed ostateczną kompromitacją zarówno w oczach dyplomacji zachodniej, jak i w samym kraju. Albowiem, jakkolwiek wydaje się to zdumiewające, urzędowa retoryka pozostała w jakiejś mierze wiarygodna nawet dla niektórych przywódców „Solidarności”, działaczy opozycji i przedstawicieli hierarchii kościelnej. Pokazały to wymownie ich reakcje na potępienie przez władzę morderców księdza Popiełuszki. Dopiero proces toruński odebrał — acz, jak zobaczymy, nie wszystkim — żywione dotąd złudzenia, gdy stał się procesem

samej ofiary, a wraz z nią — kilku członków Episkopatu i księży. Uwerturą narastającej odtąd crescendo kampanii antykościelnej.

Intencje, jakie przyświecają przy tym kierownictwu partyjnemu nie są tajemnicą. Ich zmiennym przejawem jest zaatakowanie papieża jako wykonawcy antypolskiej rzekomo polityki prezydenta Reagana, uzależnionego nadto od episkopatu zachodnioniemieckiego, który ma reprezentować w Watykanie kardynał Ratzinger, „syn bawarskiego żandarma”. Czegoś podobnego nie czytaliśmy chyba w prasie PRL od pierwszej połowy lat 50-tych. Nic dziwnego: właśnie owe lata propaganda partyjna wynosi przebieg do godności epoki wzorcowej pod wszystkimi niemal względami i szuka w nich natchnienia do różnych inicjatyw, mających pozwolić na „wyjście z kryzysu” — nie kryzysu gospodarki polskiej, rzecz jasna, ale kryzysu władzy PZPR. Najnowszym tego przykładem były obchody trzydziestej piątej rocznicy „porozumienia” zawartego w imieniu rządu przez trzech prominentów PZPR z przedstawicielami Episkopatu Polski. Prezes Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego oświadczył z tej okazji m.in.: „Miejscu katolicyzmu, chrześcijaństwa, Kościoła w socjalizmie kształtować trzeba w oparciu o ducha i generalną linię porozumienia z 1950 roku [...] w perspektywie zarówno dotychczasowego doświadczenia w tej dziedzinie, jak i zadań, które stoją przed nami [...]”.

Żadna to perspektywa. Rok przed zawarciem „porozumienia” wypełniły posunięcia władz ograniczające zakres działalności Kościoła — m.in. etatyzacja „Caritasu” i utworzenie — aby rozbić jedność kleru — ruchu „księży patriotów”. Zaś lata 1950-1953 stały pod znakiem aresztowań duchownych, którzy nie chcieli uczestniczyć w tej ponurej farsie uniemożliwiania działalności duszpasterskiej, dekretu o obsadzaniu stanowisk kościelnych, procesu biskupa Kaczmarka i uwięzienia kardynała Wyszyńskiego. Do tych stalinowskich tradycji odwołuje się zatem obecna polityka państwa wobec Kościoła.

Ale warunki są dziś całkiem inne. Kościół ma siłę i autorytet większe niż kiedykolwiek, a PZPR jest słabsza niż była. Większe niż w przeszłości jest też uzależnienie gospodarcze od Zachodu i dyktowana tym konieczność liczenia się w pewnym zakresie z opinią międzynarodową. Wszystko to nie powstrzyma zapewne władzy od uderzenia w Kościół. Sprawia jednak, że uderzenie takie — jeśli nastąpi — będzie inne niż to z lat 50-tych. Mało prawdopodobne, by było atakiem czołowym. Oczekiwać należy raczej oskrzydlenia, wypierania z zajmowanego obszaru, ograniczania zakresu działań nie zakazanych prawnie, dzielenia na dobrych i złych, izolowania „wysp klerykalnego awanturnictwa” —

przy akompaniamencie nieustannego zaklinania się na zasady konstytucyjne, wolność sumienia i wyznania oraz poszanowanie swobód religijnych.

Władza marzy o odtworzeniu stalinowskiego modelu stosunków między państwem a Kościołem. Ale w swym realizmie zadowoliliby się zapewne, przynajmniej na początek, wymuszeniem na Episkopacie ustępstw, które doraźnie uważa za najważniejsze, by później postawić mu nowe ultimatum. Odniesć zwycięstwo raczej groźbą niż siłą, przekonać przeciwnika, że jest się gotowym użyć środków ostatecznych, a zarazem skłonny do porozumienia, pokonać go przeto i zdeorientować — ten zabieg, konsekwentnie stosowany przez ekipę generała Jaruzelskiego, pozwalał jej dotąd osiągnąć założone cele przy względnie oszczędnym gospodarowaniu przemocą, wprawdzie wolniej, niż gdyby działała szturmowo, ale za to sprowadzając do minimum ryzyko eksplozji. Obecnie próbuje się powtórzyć to wobec Kościoła.

Sądząc po natychmiastowej reakcji kardynała Macharskiego na torturowanie księdza Zalewskiego oraz po replice „Adama Białego” na ataki przeciw papieżowi — udostępnionej zachodnim agencjom prasowym w obawie, że zostanie zdjeta przez cenzurę — Episkopat Polski zdaje się rozumieć, że jedynie stanowcza obrona własnych pozycji może zmusić władzę do zawarcia rozejmu. I że nie zakulisowe przetargi, nie spotkania kardynała Glempa z generałem Jaruzelskim — do czego nawołuje PRON — ale tylko pełna mobilizacja opinii krajowej i międzynarodowej może pomóc Kościołowi polskiemu w obronie niezależności, jaką zdobył po roku 1956, a zwłaszcza w okresie minionego dziesięciolecia.

„Narastające zniecierpliwienie” władz — termin generała Jaruzelskiego — uzewnętrzniło się jednak nie tylko w rozpętaniu walki z Kościołem. Jak stwierdza tenże autor: „Jeszcze wiele odcinków naszego życia społecznego i gospodarczego, naukowego i kulturalnego wymaga uzdrowienia. Będziemy je leczyć. Jak wiadomo, nie nadużywamy leczenia metodą operacyjną. Chcielibyśmy jak najmniej z niej korzystać. Oferta porozumienia — na gruncie nadrzędnych celów narodu i socjalistycznego państwa — jest wciąż aktualna. Gdy jednak nie będzie doceniana nasza cierpliwość, dobra wola, gdy będą powstawały czy narastały szkody i straty, nie zawahamy się przed zaostreniem niezbędnych praworządnych decyzji”. Stosuje się to przede wszystkim do szkolnictwa wyższego, które zazna wkrótce rygorów nowej ustawy. Będzie ona istotnym regresem nie tylko w stosunku do ustawy z 1982 roku, przygotowanej w jej zasadniczym zrybie w okresie „Solidarności”, ale nawet w porównaniu ze stanem wcześniejszym, gdyż wprowadzi niczym już nie ograniczoną dyktaturę instancji partyjnych i administracji. Ale groźby i szantaże generała

Jaruzelskiego stosują się również do instytutów PAN, wydawnictw, teatrów — do wszystkiego, co zachowało jeszcze jakąś, choćby szczątkową autonomię. Walka z Kościołem jest więc tylko odcinkiem — acz na pewno najważniejszym — wojny ze społeczeństwem, która weszła obecnie w nową fazę.

Od 13 grudnia 1981 roku głównym celem władzy było zniszczenie „Solidarności” i związanych z nią środowisk inteligentnych. Kościół usiłowano zneutralizować lub zgoła przeciwstawić podziemi. „Solidarność” nie przestała jednak istnieć ani cieszyć się autorytetem społecznym — dowodem sukcesu apelu o bojkot wyborów do Rad Narodowych — choć jako organizacja uległa znacznemu osłabieniu. Uczenie się nielegalnej działalności związkowej, konieczny warunek przyszłego odrodzenia, przebiega powoli, a niekiedy — z oporami, co sprawia, że w wielu przedsiębiorstwach struktury „Solidarności” zamaryły. Ale nadal istnieją i działają rozliczne instytucje podziemne: TKK, władze niektórych regionów, wydawnictwa i czasopisma poza cenzurą, niezależna oświata, kultura i nauka, organizacje polityczne. A choć część z nich nie występuje pod szyldem „Solidarności”, wszystkie pospołu należą do ruchu społecznego, który bez niej nie mógłby ani zaistnieć, ani utrzymać się, i którego jest ona nadal najważniejszym składnikiem.

Jeśli obecnie władze zrezygnowały ze starań o neutralizację Kościoła, to przede wszystkim dlatego, że nie powiodły się próby skłócenia go z „Solidarnością” i uczynienia zeń podpory reżymu. Ale również dlatego, że osłabienie „Solidarności” pozwala skończyć z ubieganiem się o jego względy. Spełniając marzenia wszystkich Grzegorzów Piotrowskich w SB i w PZPR, można więc wreszcie przystąpić do pustoszenia ostatniego obszaru, gdzie działalność kulturalna i społeczna prowadzona jest w sposób zarazem jawny i niezależny. I do tworzenia przeto warunków dla przywrócenia również w tej dziedzinie „kierowniczej roli” czyli monopolistycznej pozycji PZPR, przywróconej w ruchu zawodowym po delegalizacji „Solidarności”. Toteż ofiarami napaści są zwłaszcza ci wszyscy, którzy — za przykładem księdza Popiełuszki — głoszą i praktykują na co dzień społeczną naukę Kościoła. Jest nią też, co pokazały niedawne enuncjacje prasowe, sama ta nauka w tej mierze, w jakiej stanowi podstawę dla rewindykowania praw człowieka jako pojedynczej osoby i jako uczestnika działań zbiorowych. Walka z Kościołem jest więc politycznym i ideologicznym przedłużeniem walki prowadzonej od grudnia przeciw „Solidarności” głównie środkami administracyjnymi i policyjnymi, przy czym w obu przypadkach sięga się często po metody najzwyczajniej gangsterskie.

Raport Komitetu Helsińskiego za okres od września 1984 do

lutego 1985 przytacza fakty porwania, zabójstw w niewyjaśnionych okolicznościach, pobić przez „nieznanych sprawców”, znęcać się podczas przesłuchań nad aresztowanymi, nieludzkimi i poniżającym traktowaniem więźniów, odmów zatrudnienia. Raport wymienia też ok. 90 nazwisk więźniów politycznych. Dziś jest ich już ponad 100. W początkach marca aresztowano Leszka Moczulskiego i kilka innych osób oskarżonych o kierowanie KPN. Pod koniec miesiąca do Sądu wojewódzkiego w Szczecinie wpłynął akt oskarżenia przeciw Edmundowi Bałuce i Janowi Kosteckiemu, którym zarzuca się, że między 30 listopada 1984 a lutym 1985 kierowali regionalnym społecznym Komitetem Obrony Pracowniczości Regionu Pomorze Zachodnie. Zakończono też śledztwo w sprawie Władysława Frasyniuka, Bogdana Lisa i Adama Michnika, aresztowanych 15 lutego, podczas spotkania z Lechem Wałęsą. Proces znacznie się zapewne w najbliższych tygodniach. Oskarżonym grozi wyrok do trzech lat więzienia.

W tym pogarszającym się szybko klimacie politycznym szczególnie niepokój budzą fakty, które świadczą o utrzymywaniu się w niektórych środowiskach inteligentnych złudzeń co do polityki władzy oraz o narastającej rozterce i dezorientacji. Wzięty z osobna, żaden z nich nie jest bardzo ważny. Razem składają się jednak na migawkowe zdjęcie stanu umysłów. Oto dwaj wybitni historycy publikują artykuły w *Polityce*; w ich treści nie ma wprawdzie nic zdrożnego, ale samo korzystanie z tych łamów coś przecież znaczy. Oto artyści udają się na przyjęcie do Ministra Kultury, gdzie zastają generała Jaruzelskiego, po czym ich nazwiska ogłasza się w prasie, a zdjęcia z generałem pokazuje w telewizji. Oto znany publicysta składa wizyty Jerzemu Urbanowi, by załatwić legalizację pisma, które przed grudniem ukazywało się poza cenzurą. Tu i ówdzie — a mowa, rzecz jasna, o środowiskach opozycyjnych — grzebie się „Solidarność” bądź w imię werbalnego radykalizmu, bądź w ramach „budowania centrum”, ale zawsze — bez zastanowienia się nad konsekwencjami. Gdzie indziej głosi się konieczność zerwania wreszcie z „opozycyjnym betonem” i podjęcia „działań pozytywnych”, które miałyby polegać na przykład na zgłoszeniu, za zgodą władz, „niezależnych” (!) kandydatów na posłów w najbliższych wyborach do Sejmu.

Sytuacja gospodarcza Polski jest rozpaczliwa. Zacofanie cywilizacyjne pogłębia się z miesiąca na miesiąc, grożąc w perspektywie katastrofą ekologiczną na wielką skalę spowodowaną zanieczyszczeniem wody lub powietrza, oraz epidemią — następstwem niewiarygodnych wręcz warunków sanitarnych. Brak papieru powoduje drastyczne cięcia w planach wydawniczych — ale nie kosztem propagandy — co wraz z wieloletnim zaniedbaniem poligrafii grozi katastrofą w kulturze. Powszechne jest poczucie,

że żyje się w kraju, w którym materialne podstawy bytowania zbiorowego rozpadają się, rozsypują, osuwają w nicość. W kraju, który zostaje w tyle nie tylko dlatego, że inne idą do przodu, ale przede wszystkim dlatego, że jest ciągnięty wstecz. Zrozumiała jest zatem narastająca wśród wszystkich, którzy myślą odpowiedzialnie o przyszłości narodu, świadomość, że tak dłużej być nie może i że trzeba coś zrobić, póki jeszcze nie jest za późno.

Ktokolwiek pragnie zająć się konkretną pracą społeczną, a nie chce poprzestać na zbieraniu butelek po wodzie brzozywej w krzakach koło domu — jak pewien „opozycjonista” z PRON — staje jednak wobec dramatycznego dylematu. Wszystko bowiem dzieje się w Polsce tak, jak gdyby władza spokojnie patrzyła na walenie się kraju, licząc na to, że odruch samozachowawczy zmusi prędzej czy później wpływowe odłamy społeczeństwa do podjęcia przeciwdziałań. I że wtedy PZPR będzie mogła zdyskontować ten odruch, czyniąc zeń podstawę uznania swej „kierowniczej roli” i aprobaty prowadzonej przez siebie polityki. Tak właśnie jest w przypadkach indywidualnych: za prawo robienia rzeczy niezbędnych dla gospodarki, kultury czy nauki, władza każe sobie płacić ustępstwami. Decyzja o tym, czy w takim albo innym przypadku należy je czynić i gdzie każdorazowo leży granica, której nie wolno przekroczyć, podlega wyłącznie osądowi indywidualnego sumienia i kompetentnej opinii. Nikt nie ma prawa, bez wnikliwego zbadania stanu faktycznego, oskarżać o kolaborację kogoś, kto uczestniczy w oficjalnej imprezie, ponieważ w istniejących warunkach zmusza go do tego pełniona funkcja, nieodzowna z punktu widzenia naczelnych interesów narodowych i wykonywana w sposób z nimi zgodny. Albo kogoś, kto nie wypowiada się na tematy polityczne, by nie narazić na szwank instytucji, za którą współodpowiada, a której sprawność ma istotne znaczenie dla dobra ogółu.

Nie znaczy to wszelako, jakoby nie zachodziła ostra i dla każdego uchwytana różnica między tymi, którzy zawierają kompromisy z władzą w sprawach higieny publicznej, zanieczyszczenia środowiska, komunikacji zbiorowej, oświaty, itp., a tymi, którzy proponują rezygnację z walki o pluralizm związkowy. Między tymi, którzy usiłują poprawić, choćby trochę, warunki życia codziennego, a tymi, którzy snują wywody o „budowie centrum” czy o potrzebie posiadania „reprezentacji” w Sejmie. Między tymi, którzy nie zajmują publicznie stanowiska w sprawach politycznych, a tymi, którzy publicznie występują w obronie władzy, podając się na domiar złego za opozycjonistów. Między tymi, którzy, choć sami nie uczestniczą w działalności niezależnej, uznają prawo innych do prowadzenia jej, a tymi, którzy wzywają, by wreszcie z nią skończyć. Słowem: między tymi, którzy podnoszą poziom

wymagań moralnych, ponieważ pozostają wierni zasadom, a tymi, którzy ten poziom obniżają, gdyż zastępują zasady uznaniem „nadrzędnych celów socjalistycznego państwa”. Można wysłowić to inaczej: lokalne kompromisy z władzą, dotyczące spraw życiowo ważnych dla zbiorowości, są usprawiedliwione, jak wszelkie działania w obronie koniecznej; na jednoznaczne potępienie zasługuje natomiast wszystko, co jest wyrazem pogodzenia się z politycznym dyktatem PZPR.

REDAKCJA

O Zielonych — nie na czarno ani biało

W chwilę po zaproponowaniu redaktorowi Giedroyciowi artykułu o Zielonych prawie się przeraziłam własnej propozycji. Ze jest to partia bez spójnego programu (a może raczej ruch? — nawet na takie wstępne określenie trudno się zdecydować), że chaos i spory wewnętrzne należą do jej codziennego obrazu — o tym wie się powszechnie. Gorzej, że poza ryzykiem chwytania spraw „w biegu”, każdy kto porywa się na najprostszą analizę Zielonych, podejmuje ryzyko dodatkowe. W dyskusjach wewnętrznych, jak i we wzajemnych polemikach z przeciwnikami, uruchamia się mianowicie tak wiele emocji — czasem aż do historii włącznie — że wyłuskiwanie potem faktów z ich uczuciowej otoczki stwarza poważne kłopoty.

A jednak sądzę, że z ryzykiem czy bez, artykuł powinien zostać napisany. Nie tylko dlatego, że do względnie trwałej konstelacji politycznej w RFN wdarł się nowy instrument nacisku, który miesza atuty w grze o większości parlamentarnej. Ale przede wszystkim po to, by czytelników polskich zapoznać nieco bliżej z problematyką pełną sprzeczności, lecz zbyt często włączaną w czarno-białe schematy.

„Solidarność” i wszystkie wschodnioeuropejskie ruchy w obronie praw ludzkich uważamy za *pendant* do naszej tu działalności” — mówi mi kandydatka Zielonych do *Landtag*’u Pfn. Nadrenii-Westfalii. „Jakże to więc pogodzić — pytam — z waszymi poglądami na bezpieczeństwo, z waszym żądaniem wystąpienia Republiki Federalnej z NATO”? I tu początek kontrowersji — o czym jednak później.

Jako partia o zasięgu ogólnokrajowym Zieloni ukonstytuowali się z końcem 1979 roku. Wcześniej już wchodzili do organów przedstawicielskich na różnych szczeblach, od gmin aż po niektóre parlamenty *Land*ów. W wyborach do *Bundestag*'u w 1983 roku zdobyli szturmem 5,6 % głosów — przeszło 2 miliony — dzięki czemu stanowią dziś czwartą frakcję poselską*. Dalszy wzrost Zielonych wykazały kolejne wybory regionalne w Bremie, Hesji i Badenii-Wirtembergii. Natomiast w ostatnich wyborach do dwóch *Landtag*ów — 10 marca — Zieloni stracili nieco w Saarze, uzyskując 2,5 % głosów w stosunku do 2,9 % w roku 1980, a wzrosli w Berlinie otrzymując 10,6 % głosów w stosunku do 7,2 % w roku 1981. W pierwszym przypadku pozostali nadal poza parlamentem, w drugim nadal w nim uczestniczą, powiększając wprawdzie liczbę mandatów, ale nie w przewidywanym stopniu (niektórzy liczyli się z ich podwojeniem). Wreszcie w wyborach komunalnych w Hesji, przeprowadzonych tego samego dnia, Zieloni zarejestrowali lekki wzrost głosów. Można zatem ostrożnie wywnioskować, że owa marcowa niedziela — uważana tu skądinąd słusznie czy niesłusznie za rodzaj testu dla przyszłych wyborów do *Bundestag*'u — potwierdziła na ogół stabilizację Zielonych na obecnym poziomie, lecz zahamowała nieprzerwaną uprzednio dynamikę ich wzrostu. Czy tendencja ta istotnie się utrzyma, czy jeszcze zaostrzy, wykazać powinny wybory do *Landtag*'u w Pfn. Nadrenii-Westfalii 12 maja (a więc już po wydrukowaniu niniejszego tekstu).

Zarówno doraźne analizy, jak i głębiej pomyślane badania wykazują, że najszerszym rezonansem cieszy się partia Zielonych wśród młodzieży. Dla ilustracji jedna tylko liczba: jeśli w przekroju ludnościowym RFN młodzież kształcąca się z ukończonym 18 rokiem życia stanowi 9 % ogółu ludności — to udział tej grupy wśród wyborców Zielonych sięga 36 %. Nie sprawdza się natomiast zakorzeniona uparcie opinia o niskiej wśród owych wyborców proporcji pracowników. Udział robotników oraz różnych kategorii urzędników prywatnych i państwowych odpowiada mniej więcej rozmiarom tych grup w ogólnym przekroju ludnościowym. Nie należy jednak mylić grup wyborczych z szerokim rezerwuarem sympatyków, gdzie przeważa istotnie młodzież z warstw średnich, często szkolna lub uniwersytecka.

Partia Zielonych brała swe początki z drobnych grup miejscowych, zawiązywanych w doraźnym, określonym celu (tzw. *Bürgerinitiativen*). Ochrona skrawka zieleni miejskiej, ocalenie wiejskiej łąki, protest przeciw wdarcu się zbyt blisko nowego odcin-

* Tutejsza ordynacja wyborcza ustanawia próg 5 % ogólnej liczby głosów jako warunek reprezentacji parlamentarnej danej partii.

ka autostrady — podobne akcje nie są niemiecką specjalnością. Znamienna jednak wydaje się ich tutejsza liczebność, nie mająca chyba równej sobie w innych krajach zachodnich. Wraz z wzrostem liczbowym wzrastał się nacisk takich inicjatyw, a równocześnie rozszerzał się ich zakres. Nie tylko o wiejską łąkę już chodziło, nie tylko o sanitarną przebudowę dzielnicy, ale o zamieranie lasów, o lotnisko, o trujące gazy i radioaktywne odpady, potem już szybko o siłownię nuklearne, a w konkluzji o zderzenie wielkiej produkcji przemysłowej z ochroną zdrowia ludności.

Obserwując w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych ściśle wtedy zlokalizowane akcje, trudno było przewidzieć, że w takim tempie przerodzą się w ostrą konfrontację ekologii z ekonomią. Żadna z działających w RFN partii nie dostrzegła w porę, że ochrona środowiska tak błyskawicznie przekroczy granice niewinnej idylli, by wtargnąć na teren polityki. W niespodziewaną, zlekceważoną lukę wskakiwali Zieloni. Etapy ich scalania się można by wykrywać jedynie lokalnie, a nie globalnie, ważniejsze, że towarzyszyła już temu raptownemu rozwojowi uwaga całego społeczeństwa. Zieloni potrafili chwycić wiatr w żagle, zgrać inicjatywy miejscowe z ogólnymi już nastrojami, uruchomić sieć ekspertów, skierować cały ów strumień żądań i protestów we wspólne łożysko — i przedstawić się opinii społecznej jako partia świadomości ekologicznej.

Zakotwiczenie lokalne zadecydowało o organizacyjnych formach działalności. Zieloni głoszą zasady „demokracji oddolnej” z silnymi akcentami egalitarnymi. Mnogość i różnorodność miejscowych inicjatyw uważają za równie niezbędne dla siebie oparcie, jak reprezentację parlamentarną. Parlament, jak twierdzą, to dla nich coś podobnego do dawnego *forum*, przedstawiają tam publicznie swe poglądy i żądania. Jednak właściwe decyzje dojrzewają na niższych poziomach. Funkcje poselskie sprawują Zieloni w myśl tzw. „mandatu imperatywnego”, tzn. na podstawie ciągłych konsultacji z „bazą”. Właśnie „oddolnym” rozstrzygnięciom większościowym (przy silnym zaakcentowaniu praw mniejszości) przypisują istotne znaczenie, nie chcąc poświęcić specyfiki ruchu na rzecz partii, która już jako mechanizm kryje według nich ciągłe niebezpieczeństwo oddalania się od „bazy”. Przestrzegają rotacji posłów co dwa lata. W sumie więc uprawiają jakiś rodzaj demokracji plebiscytowej, kombinowanej z parlamentarną. Oszczędzą sobie tutaj rozważań historycznych o zasadzkach, jakie czyhały na podobne odmiany demokracji. Wymienie tylko przyziemne przeszkody, z jakimi zderzają się owe plebiscytowe ideały Zielonych, gdy „sięgają bruku”: niezliczone maratony dyskusyjne, biurokratyzacja od dołu w postaci zalewu rezolucji i antyrezolucji, poprawek i antypoprawek, a przede wszyst-

kim niebezpieczeństwo trwałych napięć we własnych szeregach. Rotacja posłów rodzi między odchodzącymi a przychodzącymi stosunki konkurencyjne i frustracje. Osoby obdarzone talentem politycznym bez przerwy nakładają sobie tłumik, by uniknąć posądzeń o „wyróżnianie się kosztem drugich”. Prawda, że wewnętrznych swarów Zieloni nie przykrywają dla fasonu sztandarem jedności. Czy jednak ta partia, mieniąca się chętnie antypartią, rozdzielana ciągłymi konfliktami, niejednolita, amorficzna i nerwowa, nie nosi w sobie zarodków samozniszczenia — pokaże dopiero przyszłość.

Wracając do źródeł, ekologia stanowiła oczywiście w rodowodzie Zielonych tylko jeden z nurtów. Na drodze od spontanicznych początków do szkiców programowych wchłaniali dziedzictwo ruchów młodzieżowych i protestacyjnych z różnych okresów i o różnej orientacji. W ich buncie przeciw społeczeństwu epoki przemysłowej znajdziemy więc pogłosy tzw. pozaparlamentarnej opozycji i „nowej lewicy”, echa rewolt studenckich, nowy wariant protestu przeciw pozornym aspektom równouprawnienia, rozbudzoną uwagę wobec spraw „trzeciego świata”, wrażliwość na problemy dyskryminowanych mniejszości, a więc cudzoziemców czy homoseksualistów. Przetwarzając po swojemu te starsze i nowsze treści, Zieloni zaakceptowali zarazem jako równoprawne formy nowe style i modele życia codziennego, wspólnoty mieszkaniowe w miastach i po wsiach, nietradycyjne sposoby zarobkowania itd. Nie odgradzają się wreszcie od różnych młodzieżowych *sub-kultur*, a zatem od całego strumienia obyczajowego, jaki napływał tu w ostatnim ćwierćwieczu z Ameryki i z Anglii, z Holandii czy Skandynawii.

Tu jednak słowo o niemieckich odrębnościach. Owa znana powszechnie młodzieżowa kontr-obyczajowość, kontr-kultura wzorów i aspiracji budzi tu — po obu stronach granic pokoleniowych — ostrzejsze niż gdzie indziej uczucia. Oczywiście również i tu wchodzi w dorosłe życie nie tyle już „młodzi gniewni”, ile „młodzi sceptyczni”, którzy zamiast burzyć i niszczyć postanowili raczej urządzić się po swojemu. Ale wciąż jeszcze stają oni przed murem tradycyjnych norm obyczajowych, bardziej niż gdzie indziej zakrzepłych, hierarchicznych, pedantycznie uporządkowanych. I tu zależność od rodziców trwa dziś dłużej, częściej z konieczności niż z predylekcji. I tutaj kontrast między zdobytą już sferą wolności osobistych a trudnościami materialnej emancypacji w obliczu bezrobocia powoduje zmienność nastrojów, od napięcia do apatii. Ale pretensje o niewydolność społecznych instytucji i gwarancji nakładają się tu dodatkowo na nieufność do poprzednich generacji, odpowiedzialnych za czasy pogardy. Prawda, konflikt często tylko drzemał, a nie wybuchał, nie został

przetrawiony do końca, ale też — wbrew licznym poglądom — nie wygasł. Osłabły spory — nie ustała niechęć. Słyszałam kiedyś uwagę, iż niemieckich Zielonych nie można porównywać z żadnymi ekologicznymi grupami gdzie indziej, gdyż sięgnęli do tradycji niemieckiego romantyzmu. Sądzę, że chodzi częściej o dzisiejszy rezonans protestu przeciw hitleryzmowi niż o romantyzm (choć istotnie abstrakcyjne myślenie ma tu upartą tradycję). Na przekór argumentom o upływie czasu, długo jeszcze konsekwencje hitleryzmu odzywać się będą pośrednio w układach i konfliktach współczesnych Niemiec. To on jest źródłem silniejszej tu pobudliwości i podejrzliwości moralnej wśród młodzieży. Także więc na tej pożywce nerwowego wyczulenia rośli tutejsi Zieloni. A młode „pokolenia sceptyczne”, w większej części niezaangażowane w bieżącą politykę, chętnie złożyły w ich ręce cały ładunek swojej podejrzliwości wobec społeczeństwa dorosłych.

Wiadomo, że w rodowód Zielonych wpłynął trzeci nurt: potężny strumień protestu antyatomowego i pacyfistycznego. W tej dziedzinie — w porównaniu np. z platformą ruchu pokoju sprzed kilku lat — coś drgnęło. Ponieważ nie chodzi tu o jeden z punktów, lecz o sprawę centralną, a zarazem o jaskrawą ilustrację wewnętrznej sprzeczności w postawach Zielonych, więc wolę przedstawić ten problem dopiero na tle ich działań w innych zakresach. Raz jeszcze proszę Czytelników o cierpliwość.

W dziedzictwie, zasygnalizowanym poprzednio w sposób raczej wywoławczy, tkwiły także elementy radykalnego ekstremizmu — do terroru włącznie. Należy zatem spytać o udział tych wątków w programowaniu Zielonych. Otóż odcinają się oni od terroru, traktując go jako „niedopuszczalną metodę walki politycznej”. Choć w ich formułach brzmią nierzadko pogłosy marksizmu, utożsamianie ich z komunistami po prostu się nie zgadza.

„Nie porusza nami już głód jedzenia — czytamy w jednym z tekstów, przytoczonych przez Waltera Hollsteina w książce o alternatywnym społeczeństwie (*„Die Gegengesellschaft”*) — porusza nami głód wolności, miłości, czułości, odmiennych form pracy i kontaktów...”.

W programie zatem proklamują Zieloni przemianę społeczną za pomocą łagodnych środków. Równocześnie jednak wprowadzają bliżej nieokreślone pojęcie „prawa do oporu” czy „cywilnego nieposłuszeństwa”, co w praktyce nie przyczynia się do jasności. Zgoda, terror potępił jednoznacznie — ale dawali się pociągać, nie raz i nie drugi, przez inne grupy w demonstracjach i w blokadach, które przechodziły w potyczki lub prawie w bitwy z policją. Wydaje się, że ostatnio Zieloni jak gdyby przemysleli sprawę i stronią od podobnych ekscesów.

Ich alternatywna wizja gospodarczej organizacji społeczeństwa tonie we mgle i abstrakcji, jest przykładem doktrynerstwa bez doktryny. Główny kierunek uderzenia to zero wzrostu gospodarczego przy priorytecie ochrony środowiska i rezygnacji z energii nuklearnej. Alternatywne modele produkcji, oparte na małych jednostkach wytwórczych lub usługowych — pomyślane w perspektywie jako powszechna norma działań gospodarczych — nie mają służyć powiększaniu zysku, lecz gwarantować jakościowy rozwój form życia codziennego wśród harmonijnego współistnienia produkcji z przyrodą. Powinny oszczędzać surowce i energię, stosować technologię likwidującą stressy, wytwarzać wysokogatunkowe, nie niszczące artykuły codziennego użytku. Jak zawsze przy powstawaniu nowych ruchów czy partii, sąsiadują tu ze sobą różne teorie. Jak wynika z moich rozmów, wielu członków, a nawet przedstawicieli Zielonych wyczuwa tę niedorzeczność. Rewolucja mikro-elektronowa naciera wielkimi krokami, paradoks chce, że i ona kieruje produkcję w stronę mniejszych jednostek. Tylko, że idzie o jednostki inne, sterowane wysoką technologią i dążeniem do maksymalnej rentowności. A zatem te partie polityczne, które działają w obronie słabszych warstw społecznych, muszą — przy milionach bezrobotnych już dzisiaj — szukać całkowicie nowych metod kompromisu w racjonalizacji, w podziale pracy, płac i zysków. Co na to Zieloni? Oczywiście przejmują klasyczne dziś postulaty skrócenia czasu pracy, współuczestnictwa pracowników w zarządzaniu przedsiębiorstwami, sprzeciwiają się ograniczaniu ochrony społecznej. Ale udaremniają te szanse proklamując odwrót od wielkoprzemysłowej produkcji. Lekceważą mechanizmy gospodarcze i siłę rynkowego myślenia. Nie bez słuszności powiedział tu niedawno jeden z wybitnych działaczy gospodarczych, że: „Zieloni chcą zlikwidować społeczeństwo przemysłowe... przy pełnym wyrównaniu płac”.

Mimo to wszystko nie wolno kwestionować zasługi Zielonych w wyniesieniu ekologii do dzisiejszej rangi. Wyłącznie dzięki nim ani koalicja rządowa ani opozycja nie może sobie pozwolić na ekologiczną beztroskę. Ekologia, włączana w projekty gospodarcze, wysunęła się na czoło regionalnych i federalnych programów politycznych, stała się jednym z głównych przedmiotów współzawodnictwa między partiami, a także motywem ogólnospołecznej dyskusji. A zatem nacisk, wpływ — tak, globalny kontr-projekt, do jakiego Zieloni aspirują — nie. Na nagłą potrzebę łączenia modernizacji przemysłowej z nową organizacją pracy Zieloni odpowiadają raczej bezradnością niż jakimś twórczym rzutem fantazji.

Wśród młodzieży uchodzą Zieloni za narzędzie nacisku moralnego. Że ich domeną jest głównie protest? głównie negacja? — „Właśnie dlatego ich potrzebujemy! — znajomi studenci odpie-

rają w rozmowie powszechnie wysuwany zarzut. — Nie są zapłatani w żadne taktyczne układy, mogą kontrolować, przyglądać fakty. Niech zostaną partią protestu i impulsów. Społeczeństwo wyżywa się na ogół w konsumpcji — oni są głosem sumienia”.

Istotnie, w ataku na korupcję nie można im odmówić konsekwencji. Bez ich udziału np. afera korupcyjna Flicka (idzie o dotacje tego koncernu dla różnych partii politycznych w zamian za ulgi podatkowe) i jej rozgałęzienia nie doczekałyby się na pewno obecnego stopnia jawności. Także w dyskusji na temat granic z Polską — by sięgnąć do całkiem innej dziedziny — od początku do końca, w ciągu długich debat, zajmowali stanowisko jednoznaczne, nie dając się zbić z tropu przez tzw. argumenty prawne, wytaczane z szowinistycznego krańca społeczeństwa i parlamentu. Przykłady podobnych funkcji naprawczych można by mnożyć.

Lecz i tu zaczęły pękać struny. Głosy sumienia zabrzmiwały fałszywie, gdy motywacja moralna zmieniła się w żądanie moralnego monopolu. W dowodzenie Zielonych wkłada się coraz częściej nowomowa strażników prawdy, sprawujących sądy nad inaczej myślącymi i bodajże nad samym państwem. Sami wpędzają się w izolację i podkopują wiarygodność całej wersji o „przebudowie społecznej za pomocą łagodnych środków”.

W tej chwili rozdziera partię Zielonych spór o sojusze polityczne. Rysował się niemal od początku, lecz nasilił się dodatkowo, gdy regionalne wyniki wyborcze wykazały stagnację we wzroście głosów. Pozostać przy funkcji nacisku czy też wchodzić do władz w koalicji z socjaldemokracją — oto problem przeciwstawiający *fundamentalistów* *realistom*. „Przejmując odpowiedzialność, odetniemy sobie możliwość nacisku, a w końcu połknie nas SPD” — mówią *fundamentalisci*. „Uchylając się od odpowiedzialności, znajdziemy się w pustce, coraz dalej od sił społecznych, potrzebnych do urzeczywistniania naszych celów” — twierdzą *realisci*. Dotąd, tam nawet gdzie ich udział mógłby zadecydować o większości, Zieloni trzymają się z dala od władzy, stosując co najwyżej metodę „tolerowania” wobec rządu mniejszościowego, jak np. w Hesji*. Obecnie wiąże się już z socjaldemokracją w niższych organach lokalnych i po raz pierwszy, w Hesji właśnie, wypowiedzieli się (choć słabą większością) za koalicją z SPD we władzach *Land'u*. Czy dojdzie to do skutku, zależy jeszcze od zatwierdzenia propozycji przez niższe szczeble, a przede wszystkim od stanowiska SPD.

* „Tolerowanie” oznacza np. głosowanie na premiera *Landtag'u*, na proponowany przez premiera budżet itd. — bez udziału w rządzie.

Wbrew pozorom w tej wewnętrznej polemice Zielonych nie chodzi o taktykę, lecz o dobrze znany z historii socjaldemokracji dylemat: wspierać państwo czy je zwalczać? Naprawiać system czy go odrzucać? Nie na darmo tutejsi obserwatorzy przypominają stary spór Bernsteina z Kautskym. Doktrynerstwo *fundamentalistów* narzuca i dalsze analogie. Trudno nie spostrzec podobieństw między zaciekłością dzisiejszych *fundamentalistów* a kampanią nienawiści, jaką rozpętali niegdyś przeciw Republice Weimarskiej niektórzy przedstawiciele lewicy intelektualnej, podkopując w ogóle zaufanie do weimarskiej demokracji.

Analogie to nie znaki równania, o powtórzeniu Weimaru nie może dziś być mowy. Tutejszy *establishment* jak gdyby się sprzyścił w zarzucaniu Zielonym, że uchylają się od rządowych odpowiedzialności. Oczywiście z chceniem (w CDU czy w SPD) bez przesady, raczej głos rozsądku szepcze: jeśli już ci Zieloni muszą być, to lepiej włączyć ich w system władzy, poskromić ich nieobliczalność. W spotkaniu oko w oko z twardymi koniecznościami wietrzeją abstrakcje.

Póki się tak nie stanie — a czy się stanie, wcale nie wiadomo — pojawiły się w grze nowe karty. Trudno dziś przewidzieć, w jakiej mierze groźba sojuszu Zielonych z SPD wzmocni w wyborach do *Land*'ów partię obecnej koalicji rządowej. Zależy to od środkowych obszarów obu wielkich bloków wyborczych: czy się Zielonych i ich wpływu na SPD przestraszą, czy też np. zechcą powierzyć im rolę korektywy ekologicznej, ryzykując własnie wmontowanie ich we władzę. W każdym razie istnienie Zielonych nie stawia obecnej koalicji rządowej przed potrzebą zmian w strategii. Wprowadza jedynie do jej propagandy tzw. tutaj „czterono-zielone przymierze” jako stały motyw, mający odstraszać wyborców.

Inaczej z SPD. W toku wzrostu organizacyjnego partii Zielonych zmieniał się kurs socjaldemokracji. Chodziło jej przede wszystkim o zatrzymanie odpływającej od niej do Zielonych młodzieży. Ustępstwo przed ofensywą młodzieżowego pacyfizmu przejawiało się najwyraźniej w odejściu SPD od aprobowanej przez nich poprzednio decyzji NATO w sprawie stacjonowania w RFN rakiet amerykańskich. Wprawdzie socjaldemokracja ani nie żąda wyjścia RFN z NATO, ani nie toleruje antyprzemysłowych pomysłów, ale jej równoczesna kokieteria wobec pacyfistycznych kierunków niepokoi nie tylko jej wyborców, lecz i członków. Przeciwnicy zwycięskiego obecnie kursu odnoszą się nieufnie do jakichkolwiek form współpracy SPD z Zielonymi, uważają, iż zagraża ona zarówno spójności sojuszu atlantyckiego, jak i socjaldemokratycznym wpływom w tych odłamach warstw średnich, które głosują zmiennie, raz na SPD, raz znów na CDU lub FDP. To-

też wbrew jedności demonstrowanej na zewnątrz, draży tę partię głęboki spór wewnętrzny. Dla socjaldemokracji wstąpienie Zielonych na arenę polityczną miało więc w sumie skutki obosieczne: z jednej strony skłoniło ją do nowych przemyśleń w zaniedbywanej przez lata dziedzinie ekologicznej, ale z drugiej strony odbierało jej do tej pory głosy, pogłębiało i pogłębia wewnętrzne rozdarcie, a w dziedzinie bezpieczeństwa wojskowego utrwała lawirowanie.

I tak docieram do stanowiska Zielonych wobec spraw bezpieczeństwa i wobec bloków. W stosunku do platformy ruchu pokoju, skierowanej wyłącznie przeciw zbrojeniom Zachodu, coś wśród Zielonych drgnęło.

Na pytanie dziennikarza *Spiegla*, czy Zieloni żądają wyjścia RFN z NATO, Petra Kelly, jedna z ich czołowych działaczek, odpowiada:

(Chodzi o) ... „rozwiązanie obu bloków wojskowych, nie jednego... o politykę, która zakłada u wszystkich pewne początkowe ustępstwa. Musiałby się rozpocząć wysięg rozbrojenia...”.

I dalej:

„Nie jesteśmy ruchem przeciw rakietom, lecz ruchem na rzecz demilitaryzacji, mającej przekraczać granice bloków, ruchem solidarności z wysiłkami, jakie podejmuje się od dołu na Wschodzie i na Zachodzie, by doprowadzić do rozbrojenia”.

Kandydatka do *Landtag*'u Płn. Nadrenii-Westfalii, o której pisałam na początku, uzupełnia:

„Ponieważ technologia amerykańska góruje nad sowiecką, sugerujemy Zachodowi pewne gesty wstępne. Ale zasady dwustronności konsekwentnie przestrzegamy. Odmawiamy udziału w jakichkolwiek demonstracjach, jeśli zwracają się tylko (jak chcą grupy komunistyczne, prosowieckie i inne) przeciw zbrojeniom zachodnim”.

W jednej z broszur znajduję zapowiedź dyskusji nad książką o realnym socjalizmie. Cytat z wstępu do książki:

„Nasz wysiłek ogarnięcia w całości istoty realnego socjalizmu miał na celu poddanie krytycznej uwadze owego nowego, zatrważającego systemu, po to, aby rozwiać wszelkie złudzenia na temat jego rzeczywistej istoty. Przy-swojenie sobie w całości tego przedmiotu wymaga niewątpliwie bezwzględnej krytyki naszych własnych złudzeń w przeszłości”.

„Realny socjalizm w bloku wschodnim czy w Chinach, na Kubie czy w Algierii opiera się na zniewoleniu, tyranii, brutalności, wyobcowaniu, technokracji” — czytam w innym tekście.

Pytam o stosunek do „Solidarności”:

„Przed stanem wojennym organizowaliśmy różne akcje w ramach „Soli-

darności z Solidarnością” — potem braliśmy udział w kolejnych demonstracjach protestacyjnych w rocznicę 13 grudnia”.

I zdanie, które na wstępie przytoczyłam:

„Solidarność i inne ruchy na Wschodzie to dla nas *pendant* do tego, co robimy tutaj...”.

Znów lektura:

„Popieramy dążenia demokratyczne w Polsce. Żądamy zniesienia stanu wojennego, zwolnienia wszystkich aresztowanych”.

W innym tekście zupełna dezorientacja. Wprawdzie... „Ręce precz od Polski!”, ale zarazem wniosek, że po to, by pomóc „Solidarności”:

„... trzeba zaprzestać po tej stronie antykomunistycznej gadaniny, walczyć z tutejszą niesprawiedliwością aż do strajku generalnego włącznie”.

W swojej książce-pamiętniku Antje Vollmer (do obecnej rotacji przewodnicząca frakcji Zielonych w *Bundestag*’u) wyraża kilkakrotnie głęboką sympatię dla Polski. Duchowna protestantka wysoko ceni rolę Kościoła katolickiego w krajach uciskanych i powołuje się na historyczne przykłady Irlandii, Polski, Nikaragui, Płd. Afryki. Protestanci bojownicy oporu — twierdzi — pozostają w swojej walce najczęściej samotni. Natomiast bojownik katolicki — Ernesto Cardenal czy Lech Wałęsa — jest częścią powstania narodowego.

Ale tuż obok najślusniejszej uwagi, że *granice bloków trzeba przekraczać przede wszystkim w myśleniu* — autorka pyta:

„Jakie znaczenie w ogóle ma dla ruchu na rzecz pokoju los poszczególnych państw narodowych?... I co z Polską? Czy świadomość narodowa jest tam postępem czy zacofaniem? Czy ruch taki jak ‘Solidarność’ przyczynia się do zniesienia bloków, czy też wzmaga wewnątrz-polityczny ucisk w ich obrębie?”.

Wybrałam te przykłady pewnego ocknienia — przemieszanego z nieznanością spraw — by wykazać mimo wszystko, że Zieloni próbują korygować jednostronność w postawach wobec zbrojeń i bloków, że nadszedł moment jakiejś refleksji. Są to próby wątpliwe, trudne do wyśledzenia w powodzi odwrotnych przykładów. Jednak są. Więc może zamiast te symptomy ignorować, trzeba raczej wziąć je poważnie — krytykując tym ostrzej niedostatek zmian.

Gdyż po pierwsze symetria protestu przeciw spirali zbrojenowej — zwróconego na Wschód i na Zachód — wygląda dotąd na figurę retoryczną. Zdobi transparenty, ale w rzeczywistości

impet emocjonalny całego ruchu kieruje się nadal tylko przeciw Zachodowi, tylko przeciw Ameryce. Po drugie wszelkie nawoływania do „posunięć przekraczających granice bloków” i wszelkie nadzieje na przeciwbrojeniowe wysiłki *od dołu* w bloku wschodnim nie wyjdą poza abstrakcję, dopóki młodzież zachodnia nie zrozumie, że to na niej spoczywa główny ciężar protestu przeciw wschodnim zbrojeniom. Skoro bowiem na Alexanderplatz w Berlinie Wschodnim wystarczy dziesięć osób z jednym transparentem, by po chwili wszelki ślad po nich zaginął — to podział pracy w protestowaniu *in Ost und West* tchnie fałszem. Po trzecie „myślenie przekraczające granice bloków” odzywa się nader nieśmiało, wciąż jeszcze tłumione przez dogmatyczną czkawkę. Rozważania na temat „postępowego” czy „wstecznego” charakteru „Solidarności” są na to przykładem typowym (choć wcale nie jedynym). Jak długo przeświadczenie o ekspansywnej i opresyjnej istocie systemu sowieckiego zamknie się w książkach, a nie przeniknie do odczuć codziennych — tak długo właśnie sprawy tamtego bloku tonąć będą w abstrakcyjnych spekulacjach.

Czy więc warto z Zielonymi mówić? Podpisuję się tu — oburącz — pod artykułem Kazimierza Garnysza w niemieckim numerze *Kultury**. Nie wiadomo czy Zieloni przetrwają jako partia, lecz przetrwa na pewno ujęty lub nieujęty organizacyjnie potencjał niezadowolenia i protestu wśród tutejszej młodzieży. Odpisanie go na straty byłoby najgorszą metodą. Artykuł Garnysza pokazuje, że każdemu z tutejszych wielkich niepokojów — od trosk o ekologię po lęk przed wojną — odpowiada w Polsce i w ogóle po tamtej stronie niepokój podobny, tyle że w nieporównanie cięższych warunkach. Jeśli stosować zasadę *pendant*, to właśnie tak: nie każdy na własnym podwórku, lecz wnikając wzajemnie we wzajemne zagrożenia.

Trzeba chyba spojrzeć i na siebie. Mamy pretensję do tutejszych zbuntowanych, że nie chcą widzieć spraw i mechanizmów po tamtej stronie — a sami zamykamy oczy na ich motywy, bo tak nam jest wygodniej. Zarzucamy im, że tkwią tylko w swoim świecie, a sami poprzestajemy na gniewie i naganach, uciekamy w rezygnację — „oni i tak niczego nie rozumieją” — i brniemy w argumenty bez sensu. Ponieważ w Polsce nie ma lekarstw, i to najprostszych — wpadamy w złość na całą tutejszą ekologię, zmartwienie, jak się nam wydaje, luksusowe. Ponieważ w Rosji czy w Czechosłowacji demonstracja pokojowa naraża na szpital psychiatryczny — skłonni jesteśmy traktować z ironią, jako zwy-

* Kazimierz Garnysz: *An die Deutschen — aus einem anderen Blickwinkel*, *Kultura*, Paris, Herbst 1984, Sondernummer deutsch-polnischen Beziehungen gewidmet.

kłe urojenia, trudności i lęki zachodniej młodzieży. Najchętniej — jak przypomina Garnysz — wysłalibyśmy ją tam na kurację. Tymczasem nigdzie na świecie ludzie nie żyją porównaniami, żyją sytuacją własną, głodnemu Hindusowi nie jest lepiej od tego, że w Etiopii głoduje się jeszcze bardziej. Oba głody są faktem społecznym, jeden nie unieważnia drugiego. Podobnie my: nie potrafimy zbliżyć ludzi na Zachodzie do codziennych trosk ludzkich po tamtej stronie, jeżeli z kolei troski tutejsze będziemy unieważniać, zamiast je włączać we własne oceny i rachuby.

A więc rozmawiać, nie spisywać na straty — to mi zostało z moich spotkań z Zielonymi.

Kamila CHYLIŃSKA

Kronika amerykańska

Wznowienie akcji militarnej w południowym Libanie przez Izrael spowodowało w początkach marca zwołanie Rady Bezpieczeństwa ONZ i wniosek delegata libańskiego o potępienie Izraela. Ponieważ wnioskowi groziło amerykańskie veto, organizacja szyickich mużłmanów, zwolenników Ayatolli w Libanie, zagroziła obecnym w Libanie Amerykanom surowymi represjami w wypadku, gdyby delegat amerykański w Radzie Bezpieczeństwa skorzystał z prawa weta. Tego rodzaju groźby w ustach szyickich fundamentalistów mają niedwuznaczną wymowę. Próba wymuszenia rezolucji na Radzie Bezpieczeństwa w drodze terrorystycznego szantażu nie miała — jak się zdaje — dotychczas precedensu. W każdym razie na akcję terrorystów Stany Zjednoczone zareagowały wysłaniem w kierunku wybrzeży Libanu dwóch statków wojennych: lotniskowca „Eisenhower” i krążownika „Mississippi” z niedwuznacznym zamiarem zbrojnej interwencji jeśli by na terenie Libanu miało dojść do polowania terrorystów na amerykańskich obywateli. Jeśli terroryści będą w dalszym ciągu podejmowali próby wymuszania tego typu groźbami decyzji na ONZ — możliwości wybuchu akcji zbrojnych na świecie będą wzrastać, a istnienie ONZ stanowić będzie zagrożenie pokoju. 12 marca, w czasie dyskusji nad rezolucją, delegat saudyjski Samir Sibabi porównał postępowanie Izraela z praktykami stosowanymi przez partię hitlerowską mówiąc: — „co prawda Hitler górował nad Izraelem jeśli idzie o indywidualne i masowe zbrodnie, za to obecnie Izrael prześcignął nazistów w brutalności. Koniec Izraela będzie nieunikniony jeżeli świat nie powstrzyma go zanim będzie za późno”. Wydaje się że kłamstwa wielu przedstawicieli ONZ należą do codziennych obrzędów, których nikt

nie zakłóca, zwłaszcza gdy głosicielami są delegaci tzw. arabskich narodów umiarkowanych, do których zalicza się Arabia Saudyjska.

Antyizraelska rezolucja odrzucona została w czasie posiedzenia Rady Bezpieczeństwa jednym głosem Stanów Zjednoczonych. Akcja antyizraelska w ONZ wyprzedziła tylko o 3 dni bunt w szeregach milicji chrześcijańskiej przeciwko całkowitemu podporządkowaniu Libanu Syrii. Obecnie wygląda na to, że sytuacja wymyka się spod kontroli zarówno Syrii jak oficjalnego rządu libańskiego, ugrupowań mahometańskich i chrześcijańskiej Falangi. Bunt milicjantów chrześcijańskich spowodował kompletną uległość rządu Amina Gemayela wobec Syrii. Tak jak dwa lata temu, tak i obecnie w czasie operacji wycofywania się wojsk izraelskich, amerykańskie środki przekazu informują publiczność w taki sposób, że wydaje się, iż jedynym państwem zagrażającym integralności Libanu jest Izrael. Bardzo mało natomiast informują słuchaczy i czytelników o państwie w państwie jakie rozbudowała w Libanie Organizacja Wyzwolenia Palestyny (PLO) a jeszcze mniej, że północna część tego kraju okupowana jest przez armię syryjską, co zapewne uzgodnione było przez prezydenta Syrii Assada z sowieckim politbiurem. Ponieważ w czasie ostatnich wydarzeń od pocisku czołgu izraelskiego zginęło w Libanie dwóch pracowników telewizji amerykańskiej CBS, kampania antyizraelska amerykańskich *mass media* nasiliła się jeszcze bardziej. Przyłączył się do niej nowojorski *Nowy Dziennik*, najważniejsze pismo polskojęzyczne na wschodnim wybrzeżu Stanów.

Firma Capital Cities Communications, właścicielka szeregu lokalnych stacji radiowo-telewizyjnych oraz kilkunastu periodyków w rozmaitych stanach, oświadczyła, że zamierza zakupić sieć telewizyjną „American Broadcasting Corporation” (ABC). Tego rodzaju próby wykupienia akcji trzech najważniejszych amerykańskich stacji: CBS, NBC i ABC podejmowano już w przeszłości. Na przeszłość w zmianie właściciela stawała Federalna Komisja do Spraw Informacji Publicznej, stosująca rzekomo bardzo surowe przepisy, mające chronić publiczność przed monopolem informacyjnym *mass media*. Na czym w praktyce działalność Komisji polegała wie prawdopodobnie bardzo niewielu ludzi. Jak się okazuje, od trzech lat właściciele amerykańskich środków przekazu telewizyjno-radiowego informują publiczność amerykańską o sprawach konfliktowych w sposób bardzo do siebie zbliżony, żeby nie rzec identyczny. Na ogół profil polityczny najpotężniejszych amerykańskich stacji można ogólnie określić jako liberalno-lewicowy. Ich stronnictwo wywołuje niezadowolenie coraz większej liczby słuchaczy i widzów, którzy chcieliby aby w świecie wolnej, niekontrolowanej przez czynniki rządowe informacji nie panował wyłącznie jeden światopogląd, sprzyjający prądom liberalnej lewicy, w którym to określeniu słowo „libe-

ralny" ma paradoksalne znaczenie zbliżone do słowa „totalitarny”. Czy wykupienie przez jakąś nową firmę jednej sieci ABC, w dodatku wcale z tych trzech nie najgorszej, rozbije dominującą pozycję lewicy w amerykańskich *mass media* — wątpliwe. Teoretycznie mogłaby to zrobić sama publiczność niezadowolona z braku obiektywnego naświetlenia wydarzeń przez TV, ale nie robi nic, ponieważ jest zbyt pasywna, a brak jest organizatorów, którzy by pokierowali taką akcją.

Alojzy Mazewski, prezes Kongresu Polonii amerykańskiej udzielił wywiadu Thomasowi Sullivanowi z pisma *The Washington Times*. Prezes Mazewski dyskutował w wywiadzie wiele omawianych już poprzednio z działaczami polonijnymi kwestii, do których należą między innymi kredyty dla PRL, zadłużenie władz warszawskich, charytatywna pomoc dla Polski. W toku dyskusji T. Sullivan rozmawiał również z prezesem na temat sprawy morderstwa ks. Popiełuszki. Na pytanie co myśli Prezes Polonii o gen. Jaruzelskim, Sullivan usłyszał odpowiedź wyrażającą głębokie wątpliwości Alojzego Mazewskiego co do osoby generała. — Historia osądzi — stwierdził — czy gen. Jaruzelskiego mamy uważać bardziej za komunistę czy za Polaka... Zabójstwa ks. Popiełuszki dokonano celem wywołania chaosu, sprowokowania demonstracji, które mogłyby sprowokować obalenie Jaruzelskiego i wybranie na jego miejsce „twardogłowego”, który by wykonywał rozkazy Moskwy co do joty — zakończył swój wywiad Alojzy Mazewski. Ponieważ w kierowniczych kołach administracji waszyngtońskiej Prezes KPA uchodzi za wyraziciela przeważającej opinii Polamerykanów, wypowiedź jego może być odczytana jako stanowisko polskiej większości etnicznej w Stanach. Prawdopodobnie wymieniona większość nie ma w tej sprawie żadnego stanowiska, ponieważ kwestie związane ze sprawowaniem rządów przez ekipę Wojciecha Jaruzelskiego mało ją obchodzą. Natomiast ci etniczni Polacy amerykańscy, którzy są choćby trochę politycznie zaangażowani, patrzą najprawdopodobniej na sprawę morderstwa dokonanego na ks. Popiełuszcze zupełnie inaczej niż prezes KPA, który powinien poinformować o tym swych rozmówców z waszyngtońskiej administracji. Dotyczy to również akcji prezesa Mazewskiego na rzecz zniesienia sankcji wobec PRL. Waszyngton i tu odniósł wrażenie, że takie jest stanowisko całej Polonii (która w ogóle nie była konsultowana) a nie jedynie osobiste stanowisko Prezesa i jego doradców.

Przewodniczący Konferencji biskupów amerykańskich rozesłał do członków Kongresu amerykańskiego list, w którym powołując się na względy moralne nawołuje ich by odmówili prezydentowi Reaganowi kredytów na budowę dalszych 21 MX-ów. Biskup Ma-

lone, przemawiając w imieniu hierarchii katolickiej w Stanach, stwierdził, że Kościół katolicki nie miesza się tu bynajmniej do polityki, mimo tego że w rzeczywistości miesza się do niej, i to bardzo. Akcja biskupów została wszczęta nie tylko w chwili gdy Kongres miał uchwalić kredyty dla Prezydenta, ale ponadto w chwili gdy Sowiety budują nowy typ rakiet SS-25 instalując je na bazach ruchomych. List o podobnej treści skierował do członków Kongresu także arcybiskup Nowego Jorku John O'Connor. Jeden z mniej reprezentatywnych przedstawicieli katolickiego duchowieństwa, jezuita ks. Armand Valery, użył argumentu, że skoro Kościół nie może zapobiec wyścigowi zbrojeń na całym świecie, to stara się mu przeszkodzić — przynajmniej tam gdzie może. A jednak wiadomo, że może tylko w krajach demokratycznych, gdzie indziej natomiast musi poczekać na otwarcie się takich możliwości powstałych pod wpływem presji opinii publicznej... Trudno to wszystko zapisać wyłącznie na konto naiwności. Na szczęście wysiłki biskupów na razie nie dały rezultatu. 21 marca Senat uchwalił kredyty na budowę 21 dodatkowych MX-ów. Pełna ich ilość ma wynosić 100. Rezolucja Senatu przeszła większością 55 głosów w stosunku do 45. W Izbie Reprezentantów wniosek prezydenta Reagana uchwalony został w kilka dni później.

Traktat pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Sowietami podpisany w 1972 roku, tzw. „ABM Treaty”, zakazywał obydwu stronom budowy obronnych urządzeń radarowych mających śledzić loty ewentualnych pocisków rakietowych z wyjątkiem stref przygranicznych obydwu krajów. Układu tego dotrzymywały do obecnej chwili Stany. Natomiast wywiad amerykański wykrył już dawno, że Sowiety zbudowały w roku 1983, albo wcześniej, rozległe instalacje radarowe w okolicach Krasnojarska, czyli około 1000 kilometrów w głąb terytorium ZSSR. W czasie swojej wizyty w Kanadzie prezydent Reagan oskarżył Sowiety o złamanie wspomnianego układu. 17 marca w programie TV na stacji WABC wystąpił Stanisław Mienszykow, jeden z ekspertów i rzeczników sowieckich w sprawach dotyczących obrony. Zapytany przez komentatora George'a Willa, jakich wyjaśnień może udzielić w sprawie postawionych ZSSR zarzutów odnośnie pogwałcenia traktatu ABM, Mienszykow odpowiedział, że urządzenia radarowe w okolicach Krasnojarska służą celom komunikacji cywilnej. Wyjaśnienia sowieckiego funkcjonariusza mijają się całkowicie z prawdą. Specjaliści amerykańscy bez najmniejszej trudności rozpoznali wojskowy charakter tych urządzeń.

Przemawiając 25 marca do grupy przedstawicieli byznasu z krajów Ameryki centralnej, prezydent Reagan oskarżył rząd Nikaragui o stosowanie „stalinowskiej taktyki masowych przesie-

dleń ludności w strefach objętych działalnością partyzantów". W ciągu ostatnich tygodni sandyniści rozpoczęli ewakuację cywilnej ludności z terenów w rejonie Jinotega i Murra, usiłując stworzyć strefy wolne od mieszkańców, którzy byli przychylni partyzantce. „Ileż razy obserwowaliśmy tego rodzaju przesiedlenia ludności — powiedział Reagan — stosowane na Ukrainie, w Wietnamie, w Kambodży, Afganistanie, Angoli, Etiopii, Kubie i w innych krajach?”. W odpowiedzi na oskarżenia Prezydenta Stanów Francisco Campbelle — radca ambasady Nikaragui w Stanach nie zaprzeczył faktom cytowanym przez Reagana. Wystąpił jedynie z kontroskarżeniem, że „uchodźcy” w Nikaragui są problemem, który stworzyło CIA, podżegając do stosowania terroru. Ostatnio minister spraw wewnętrznych Nikaragui, Tomas Borge, oświadczył, że w Ameryce Południowej nie można być prawdziwym rewolucjonistą nie będąc marksistą-leninistą. W ten sposób szef tamtejszego MSW dał definicję rewolucyjności. Jest ona prosta, zwięzła i zgodna z prawdą. Marksizm-leninizm z eksportem rewolucji nie ma nic wspólnego. Służy natomiast narzucaniu sowietyzmu.

Gen. David Watts, wysoki oficer amerykańskiego Ministerstwa Obrony oświadczył, że Stany Zjednoczone ukończyły budowę i modernizację baz w Kenii, Somalii i Omanie. Szczególnie ważna jest baza w Omanie ponieważ geograficzne położenie tego emiratu pozwala na kontrolowanie cieśniny Hormuz, która jest bramą do Zatoki Perskiej. Bazy w Somalii, Kenii i Omanie przystosowane są do przyjęcia tzw. wojsk szybkiej translokacji (*Rapid Deployment Force*). W wypadku nagłego kryzysu w Zatoce Perskiej, np. zablokowania cieśnin przez Sowiety albo przez siły krajów im podległych, zadaniem militarnym Ameryki będzie pomoc dla krajów europejskich Zachodu, poprzez interwencję zbrojną w rejonie Zatoki Perskiej i odblokowanie cieśnin dla dostaw ropy naftowej.

W czasie swej oficjalnej wizyty w Kanadzie, prezydent Reagan — poza szeregiem spraw dotyczących ochrony naturalnego środowiska — podpisał z premierem Kanady porozumienie w sprawie wspólnej budowy systemów radarowych, chroniących obydwa kraje przed atakiem nuklearnym. Zgodnie z traktatem ABM z roku 1972 budowa takiego systemu radarowego przeprowadzona będzie w rejonach niezbyt odległych od granic USA i Kanady.

Chyba zaproszony przez Departament Stanu przybył i przebywa w Stanach Zjednoczonych Jan Zakrzewski, ceniony przez swych zwierzchników nieetatowy pracownik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL. Przez kilka lat dał się poznać polskiej

publiczności jako korespondent PRL w Ameryce. Jest autorem oszczerczej książki o Stanach pt. „O Ameryce z pasją”. W swoim czasie, jako osoba niepożądana, został usunięty z Francji gdzie był korespondentem. W Warszawie wraz z Wiesławem Górnickim Zakrzewski występował szereg lat temu w radiowym programie „Peryskop”. Powody dla których Departament Stanu wybrał sobie jako gościa równie niedwuznaczną postać są zagadkowe i niepokojące.

Głównym negocjatorem w rozmowach rozbrojeniowych w Genewie pomiędzy Sowietami a Stanami Zjednoczonymi jest Max Kampelman. Wybór jego do sprawowania tej funkcji wynika stąd, że Kampelman był głównym przedstawicielem Stanów na konferencji madryckiej. Akt w Helsinkach określiła w swoim czasie *Kultura* mianem „Pieczęci” — pieczęci, którą położono na jałtańskim podziale świata i porządku jaki ów podział przyniósł. Porozumienie w Helsinkach uwarunkowane zostało tym, że Moskwa zobowiązała się przestrzegać praw obywatelskich, czyli mówiąc po prostu poszanowania swobód wszędzie gdzie sięga jej władza. Był to tzw. „trzeci koszyk” porozumienia w Helsinkach. W wykonanie tych zobowiązań przez Sowiety nikt, mający trochę zdrowego rozsądku, nie mógł wierzyć i zapewne nie wierzył. W świetle tego konferencja w Madrycie, która miała dokonać przeglądu wykonania aktu podpisanego w Helsinkach była czystą komedią. To że do tej roli desygnowano Maxa Kampelmana i że funkcję tę przyjął traktując ją jak najbardziej serio, dyskwalifikuje go w oczach wielu osób jako negocjatora amerykańskiego w rozmowach rozbrojeniowych w Genewie. Czy wynika z tego, że rozmowy rozbrojeniowe z Sowietami z góry są skazane na niepowodzenie i że dlatego nie należy ich traktować serio? Niekoniecznie. Ale kontrahentem Sowietów w Genewie nie może być zawodowy dyplomata-negocjator, dla którego probierzem sukcesu jest wyłącznie pozytywny rezultat rozmów w postaci nowego podpisanego aktu, bez względu na możliwości jego weryfikacji. Kampelman, który pracowicie prowadził długie i niepotrzebne rozmowy z agitatorami sowieckimi w Madrycie w sprawach, które nie rokowały żadnych szans, dał dowód, że nie rozumie swojego sowieckiego kontrahenta. Do konferencji w Madrycie i jej wyników żaden realnie myślący polityk, a nawet zwykły obserwator wydarzeń, nie przywiązywał żadnej wagi. Był to tylko żer dla dziennikarzy. Jeśli mamy przywiązywać wagę do rozmów w Genewie, Max Kampelman nie powinien być negocjatorem Stanów Zjednoczonych tak samo jak nie mógłby być nim b. Sekretarz Stanu z okresu Cartera, Cyrus Vance. Chyba że rozmów z Sowietami w Genewie na temat wzajemnego rozbrojenia w ogóle nie traktuje się serio. W takim wypadku szefem delegacji amerykańskiej może być ktokolwiek.

W 10 dni po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego prezydent Reagan wydał oficjalną instrukcję dla władz emigracyjnych, aby Polaków, którzy przybędą do Stanów i nie zamierzają wrócić do PRL, nie zmuszać do powrotu. Innymi słowy, żeby udzielić im w tej czy innej formie azylu. Prezydent Stanów posiada konstytucyjne prawo wydawania tego rodzaju poleceń federalnym władzom wykonawczym, których część stanowią urzędy emigracyjne. Ronald Reagan zwrócił się również do sojuszników Ameryki w Europie z prośbą, żeby w podobny sposób traktowano Polaków w krajach NATO. Oczywiście prośba prezydenta Stanów do niczego ich nie zobowiązywała. Zresztą niektóre państwa zachodnie, nie związane sojuszem ze Stanami, czyniły to z własnej inicjatywy. Okazuje się jednak, że biurokracja amerykańska może bardzo skutecznie sabotować polecenia prezydenta Stanów. Od 13 grudnia 1981 roku władze emigracyjne Stanów odmówiły azylu 7.000 działaczom „Solidarności”. Dane te opublikowała prasa amerykańska, wyrażając się tym razem z sympatią o postawie Prezydenta i piętnując postępowanie „aparatu” ze służby emigracyjnej”.

Zbigniew BYRSKI

Jałta

Sydney, 25 stycznia 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Istotą koncepcji politycznej przedstawionej w artykule Zbigniewa Brzezińskiego pt. „Przyszłość Jałty” (*Kultura* nr 1/448-2/449) jest próba zmiany *status quo* Europy, wyjścia z impasu, w którym znajduje się ona od czterdziestu lat. Podstawowym elementem zaś jest postulat przejęcia przez Europę Zachodnią większej roli (a więc i większego ciężaru) w decydowaniu o losach tego kontynentu. Realizm omawianej koncepcji zależy od tego, w jakim stopniu uwzględnia ona interesy każdej ze stron w istniejącym układzie sił. Wyróżnić można cztery takie strony: Stany Zjednoczone, Związek Sowiecki, kraje Europy Zachodniej oraz kraje Europy Wschodniej. Każda z tych czterech stron musiałaby w proponowanej koncepcji widzieć swój wyraźny partykularny interes, jeśli miałaby udzielić jej poparcia. Z artykułu prof. Brzezińskiego nie widać jednak tego rodzaju interesu w przypadku wszystkich zainteresowanych. Warto więc przyjrzeć się ponownie bardziej i mniej oczywistym korzyściom, które mają wynikać z podanej wizji „przyszłości Jałty” dla każdego z czterech „partnerów” europejskiej rozgrywki szachowej:

1) Korzyści dla Stanów Zjednoczonych wydają się zupełnie bezsporne. Przejęcie większego ciężaru kosztów obrony przez kraje Europy Zachodniej było od wielu lat postulowane przez rząd amerykański, jak wiadomo z niewielkim skutkiem. Proponowane przez prof. Brzezińskiego pozostawienie na kontynencie europejskim pewnej ilości amerykańskich sił lądowych wraz z utrzymaniem i stałym unowocześnianiem rozciągniętego nad Europą amery-

kańskiego parasola atomowego, zapewniłoby ciągły praktyczny wpływ USA na rozwój wydarzeń. Tak więc dla tego najważniejszego partnera omawiana tu koncepcja ma oczywiste zalety.

2) Dla krajów Europy Wschodniej plan prof. Brzezińskiego wydaje się raczej korzystny — niewiele mogą na nim stracić. Daleko idące rozszerzenie udziału wschodnich Europejczyków w różnych wszech-europejskich organizacjach nie kryje za sobą (dla rządów satelitów ZSSR) żadnych niebezpieczeństw, szczególnie jeśli uczestnictwo to nie miałoby charakteru polityczno-formalnego, a sprowadzało się np. do roli obserwatorów lub tp. Chodzi przecież o to, aby taka rozszerzona współpraca spotkała się z aprobatą Krem-la, bez której zaangażowanie się kdl-ów w proponowany „paneuropeizm” byłoby nie do pomyślenia.

Mówiąc o krajach Europy Wschodniej jasne jest, iż chodzi tu o korzyści dla ich komunistycznych rządów, nie zaś dla zainteresowanych narodów. Jeśli idzie o te ostatnie, to plan Brzezińskiego już jako sama próba wyjścia z tragicznego pojałtańskiego impasu jest z definicji dla tych narodów korzystny. Niestety — jak wiemy — interesy narodów w tej części Europy nadal się nie liczą.

3) Przechodząc do trzeciego „partnera”, tj. zachodnich Europejczyków o wiele trudniej jest dostrzec korzyści, jakie mają dla nich wynikać z tego planu. Ponoszenie większej odpowiedzialności za obronę Europy Zachodniej wiąże się oczywiście z pokrywaniem większej części jej kosztów. Jak dobrze wiemy, kraje Europy Zachodniej od wielu lat z powodzeniem opierają się tego rodzaju amerykańskim żądaniom. Akceptacja ich oznaczałaby nie tylko znaczny ciężar budżetowy (ze swym odbiciem w obciążeniach podatkowych ludności), ale wymagałaby uznania potrzeby przyjęcia takiej roli przez te kraje. Istniejący natomiast w Zachodniej Europie stan ducha jest, jak się wydaje, całkowicie przeciwny takim postulatowi. Nie chodzi już tylko o znaczenie ruchów pacyfistycznych, drzemającą skłonność do przyjęcia statusu finlandyzacji i tego rodzaju bardziej krańcowe postawy. Wystarczy uznać ogólną krótkowzroczność, pogoń za korzyściami gospodarczymi za wszelką cenę itp.

Przechodząc zaś od kosztów do kategorii tzw. *lucrum cessans* (utraconych zysków), nie widać również co nowego zyskaliby zachodnio-Europejczycy z tak pojętej rozszerzonej współpracy z Europą Wschodnią. Mowa w tym miejscu, rzecz jasna, przede wszystkim o współpracy gospodarczej. Plan prof. Brzezińskiego nie zakłada (bo zakładać nie może) zmiany ustroju gospodarczego w krajach Europy Wschodniej. A przecież ten właśnie ustrój, odpowiedzialny za takie (a nie inne) słabości gospodarki komunistycznej w ostatecznym rozrachunku uwarunkowuje zakres możliwej współpracy z Zachodem. Po stronie importu, Zachód kupuje ze Wschodu Europy określone towary, przede wszystkim dlatego, że tylko takie kraje te potrafią wytworzyć i dostarczyć. Chroniczny brak dewiz w gospodarce komunistycznej wyraźnie ilustruje ograniczone zdolności eksportu do krajów kapitalistycznych. Nie wydaje się, aby zwiększony udział wschodnio-Europejczyków w ogólnoeuropejskich organizacjach miał szanse w poważnym stopniu zmienić ten stan rzeczy. Jeśli natomiast idzie o eksport Zachodu na rynki Europy Wschodniej, to nie istnieją w tym zakresie żadne poważne ograniczenia, oprócz zdolności płatniczej odbiorców, lub też możliwości kredytowej eksporterów. Zachód dostarcza więc krajom komunistycznym to wszystko, co gotowe są one (lub muszą) kupić i tu znowu nie widać, w jaki sposób w mechanizmie tym lub w skali zachodniego eksportu miałyby nastąpić, przy uwzględnieniu koncepcji Brzezińskiego, jakieś poważna zmiana. Nie wydaje się zatem, aby pod względem gospodarczym koncepcja ta otwierała przed Europą Zachodnią jakieś nowe, nieistniejące dotąd perspektywy.

O tym, że poczucie wspólnoty z Europą Wschodnią i zainteresowanie jej

losami jest na Zachodzie kontynentu ogólnie mówiąc co najmniej skromne, nie trzeba się tu rozwodzić. Jakie więc korzyści znaleźć może dla siebie Europa Zachodnia w omawianym tu planie?

4) Jeśli idzie o Związek Sowiecki — to, niestety, zupełnie nie widać, w jakim sensie mógłby on uznać omawiany tu scenariusz za uwzględniający podstawowe interesy „oboju pokoju”. Nie zwiększałby on w żadnym stopniu możliwości ekspansji imperium. Nie dokonałby żadnego korzystnego przesunięcia w tzw. równowadze sił. Nie zapewniałby zacieśnienia kontroli nad posunięciami europejskich satelitów Kraju Rad. Wręcz przeciwnie: kontrola ta — w miarę rozwoju „paneuropejskiej współpracy” według koncepcji Brzezińskiego — musiałaby ulec osłabieniu lub rozluźnieniu.

Historyczne doświadczenia ubiegłych czterdziestu lat wyraźnie wskazują, że właśnie całkowita kontrola nad losami swych satelitów, choćby zubożałych i zacofanych, jest dla Moskwy o wiele ważniejsza aniżeli alternatywa ogólnego nadzoru nad bogatszymi i sprawniej funkcjonującymi krajami „oboju socjalizmu”.

W trzeciej części swego artykułu prof. Brzeziński przytacza niezmiernie ciekawy dowód na to, iż plany sowieckie z okresu drugiej wojny światowej określone przez Stalina i Mołotowa były identyczne z celami wojennymi sformułowanymi przez carską Radę Ministrów w roku 1914. Biorąc pod uwagę tak wielką konsekwencję w ogólnych ambicjach i „tendencjach rozwojowych” naszego wschodniego sąsiada, na jakiej podstawie można by zakładać ewentualną zmianę sposobu myślenia przez następne pokolenie sowieckiego kierownictwa?

Dla nas koncepcja „przyszłości Jałty” wymaga dalszego rozpracowania.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia

Jerzy BONIECKI

Artykuł Zbigniewa Brzezińskiego wywołał duże poruszenie. Otrzymaliśmy szereg artykułów i listów do redakcji, w większości krytycznych. Nie jesteśmy w stanie ich wszystkich zmieścić czy choćby streścić. Zamieszczamy jedynie artykuł Jerzego Bonieckiego, który w sposób zwięzły formułuje swoje uwagi i zastrzeżenia (REDAKCJA).

POLISCHE BUCHHANDLUNG KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Kraj

Mały świadek wielkich wydarzeń

W analizach ostatnich wydarzeń polskich temat dziecka jest nieco zaniedbany. Dorośli, pochłonięci rozwiązywaniem problemów ekonomicznych, społecznych i politycznych, nie doceniają faktu, że milczącym świadkiem historii jest dziecko. Bystry obserwator, krytyczny sędzia, wrażliwy odbiorca, najbardziej bezbronna ofiara zdarzeń. *Tabula rasa*, której czystą kartę życia zapisuje nie tylko genetyka i rodzina, lecz także kultura, ekonomia i polityka kraju, w którym rodzi się i wzrasta. Wszystko to odciska trwałe ślady na osobowości dziecka, a także rzeźbi przyszłą osobowość narodu. Zgodnie bowiem z zasadą, że Jaś jest zapowiedzią Jana, dzisiejsi mali Polacy są miniaturą jutrzejszej Polski.

Warto więc zniżyć się do poziomu kilkudziesięciu centymetrów, aby spojrzeć na świat oczami dziecka, ujrzyć z jego punktu widzenia rzeczywistość, jaką „opiekun” państwo ludowe mu zgotowało i zastanowić się, jakie stąd wynikają prognozy na przyszłość.

Już w chwili narodzin dziecko polskie doświadcza na swej małej osobie licznych dowodów konstytucjonalnie przyobiecanej troski ze strony państwa¹. Przede wszystkim — rodzi się w warunkach urągających zasadom higieny i uwłaczających godności ludzkiej. Ojciec dziecka traktowany jest jako intruz i niebezpieczny nosiciel zarazków. Twarde przepisy przepędzają go nawet sprzed okien szpitala. Tam zaś, w ciasnej sali, często wręcz na łożku dostawionym w korytarzu, w poniżającym brudzie, żona jego rodzi ich wspólne dziecko. Pełna lęków, upokorzona brakiem bieżącej wody i podstawowych środków higienicznych. Darujemy sobie żenujące opisy. Stan polskich oddziałów położniczych powoduje u pacjentek głęboki stress, z którego matka i

1. „Małżeństwo, macierzyństwo i rodzina znajdują się pod opieką i ochroną Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej” — Konstytucja PRL art. 79 ust. 1.

dziecko długo wracają do równowagi. To temat do obszernej analizy dla psychologów. Faktem jest, że warunki, w jakich rodzi się polskie dziecko, są żałosną wizytówką „opiekuńczości” państwa. Nawet ilość pieluch należnych maluchowi jest przedmiotem dyskusji na szczeblu ministerialnym. Ścisła reglamentacja ma zapewne ułatwić władzy kontrolę nawet tak intymnej sfery działalności niemowlaka.

Kiedy wreszcie mały Polak wygrzebie się z infekcji wyniesionej ze szpitala, kiedy wyrośnie z reglamentowanych pieluszek i szczęśliwie uniknie zatrucia zanieczyszczonym ponad wszelką normę mlekiem, czekają go dalsze dowody szczególnego „opiekuństwa” — żłobek lub przedszkole. Przeciętą rodziną polską nie jest w stanie utrzymać się wyłącznie z zarobków ojca. Obciążona ponad miarę kobieta musi podjąć pracę zawodową, z konieczności powierzając swe dzieci instytucjom wychowawczym. Wyobraźmy sobie dziecko wyrwane z głębokiego snu o szarym świecie. Zdenerwowana matka wlece je do przedszkola. Półsenne, popłakujące stworzenie jedzie rannym tramwajem w tłumie szarych z niewyspania i poirytowanych ludzi. Potem kilka godzin w przedszkolu, znowu w ścisłości i hałasie, nad którym z trudem usiłuje panować wychowawczyni, obciążona nadmierną liczbą wychowanków. Po południu powrót do przeludnionego mieszkania, gdzie ciasnota jest następnym czynnikiem nerwicogennym. Zamiast spaceru — gonitwa od sklepu do sklepu u boku matki polującej na coś, co właśnie „rzucili”. Zamiast zabawy w parku — nużące wystawianie w kolejkach. Trzeba być dzieckiem, żeby zrozumieć, jak wymyślną torturą jest dla małego człowieka stanie w kolejce. Widzi wkoło mnóstwo nóg. Tłum dorosłych potracą go, nadeptuje, napiera. Jest duszno. Albo zimno. Ciasno. Głośno. Lub też smutnie milcząco. Płyną godziny i nic się nie dzieje. Jedynym urozmaiceniem są chwile, kiedy w zgnębionym tłumie oczekujących wybuchnie sprzeczka, ostre spięcie, eksplozja gniewu i goryczy. Wówczas repertuar słów i gestów jest dla małych obserwatorów pierwszorzędą lekcją zachowania agresywnego. Wystarczy przyjrzeć się zabawom współczesnych maluchów, aby zobaczyć czego się nauczyły w kolejkach. Jeśli wierzyć psychologom, że zabawa jest odbiciem rzeczywistości widzianej oczami dziecka, to jakże smutny świat spostrzegają mali Polacy. Tradycyjna zabawa w sklep to już nie wesołe odważanie piasku i kamyków. Dzisiejsze dzieci biją się na niby o pierwszeństwo przy ladzie, wycinają kartki żywnościowe, a wymagany asortyment w „sklepach” jakże jest ubogi! „Co pani sprzedaje?” — zapytałam pięcioletnią córeczkę znajomych. — „Mięso z kością i serek — odparła z powagą. — Ale dziś nic nie rzucili”. Łatwiej niż nam się zdaje nasze dzieci przyswajają sobie poniżającą nomenklaturę i mentalność społeczeństwa, któremu towar się „rzuca”, a nie sprzedaje.

Wyjdźmy jednak z kolejki, by nie popaść w błędny sąd, że wyłącznie trudności gospodarcze tworzą dramat polskiego dziecka. Pomińmy nawet tak ważny problem, jak ograniczenie białka

w pożywieniu, co powoduje zwolnienie procesów rozwojowych. To temat dla lekarzy. Pomińmy też problem polityki wydawniczej w PRL — brak podręczników szkolnych i dziecięcej literatury pięknej (przy ogromnych nakładach grafomanów), co utrudnia rozwój procesów poznawczych i kształtowanie wyobraźni dziecka. To także temat do osobnego omówienia. Pomińmy jednak cały problem kryzysu ekonomicznego, którego rozległe skutki dotyczą przede wszystkim rodziny, a więc dzieci, ich niezaspokojonych potrzeb biologicznych, utraconych szans rozwojowych i przedwczesnego wygnania z beztroski dzieciństwa. W tym kontekście cyniczną kpinią są słowa ministra Krasieńskiego, który poinformował zaharowanych robotników, że państwo ma szlachetne intencje nierozpieszczania swej młodzieży nadmiarem dóbr materialnych. Nie pociesza nas myśl, że niedostatek może mieć nieźle skutki wychowawcze i że zdrowo jest czasem nie dojadać, skoro okoliczności te zdają się być nie wyjątkami, lecz regułą gospodarki socjalistycznej.

Zasadnicze jednak niebezpieczeństwo, jakie zagraża polskiemu dziecku, leży poza sferą spraw materialnych, choć pośrednio jest z nią związane. Mam na myśli — mówiąc najogólniej — całą edukację moralną, społeczną, kulturową i patriotyczną, która składa się na socjalistyczny program wychowawczy realizowany w PRL. Jest to program, który zakłada nie wychowanie człowieka, lecz osiągnięcie nad nim pełnej władzy. Tresowanie małych obywateli na ubezwłasnowolniony naród-monolit, podporządkowany władzy, ufny wobec propagandy, łatwy do manipulowania, równo maszerujący w pochodzie pierwszomajowym.

O ile budowanie dobrobytu nie okazało się najmocniejszą stroną socjalizmu, o tyle problem wychowania dzieci i młodzieży potraktowano z większą gorliwością, słusznie doceniając jego wagę i czerpiąc z takich klasyków jak Engels i Lenin². A więc — drenowanie mózgów za pomocą specjalnych programów nauczania. Zatajanie prawd historycznych, aby cień skazy nie powstał na przyjaźni polsko-sąsiedzkiej. Przemilczanie nazwisk w literaturze, aby przekonać młodych Polaków, że najwznioślejszym źródłem natchnień jest rzeczywistość socjalistyczna. Nawet narodowym Wieszczołom nie darowano, że od czasu do czasu „wyrwało” im się coś, co mogło zabrzmieć jak nietaktowna aluzja do obecnych czasów. Dalej — próby oderwania dzieci od rodzinnych tradycji i religii. Indoktrynacja w harcerstwie. Pomysł szkół zbiorczych. Tysiąc szkół na tysiąclecie, z których usunięto krzyże, jako znak wstecznych wpływów Kościoła³. Ośmieszanie dawnych autorytetów i zastępowanie ich nowymi. Nawet poczciwy święty Mikołaj okazał się wrogiem klasowym, na jego miejsce przymaszerował lojalny Dziadek Mróz. Następnie — stopniowe

2. Winiak Jan, „Rodzina i dziecko w prawie polskim”, *Psychologia wychowawcza*, PWN, 1980, str. 438.

3. Jak wyżej, str. 449.

zmiany w kalendarzu, usuwanie świąt kościelnych i narodowych, huczna celebracja nowych rocznic i dat. Akademie, pochody, wiece. Nawet piosenki przedszkolaków, pełne kucia młotem i machania sierpami. Nasz język ojczysty zubożały w hasłach i sloganach, okaleczony przez dziwolągi nowomowy, wyszargany w jałowym przelewaniu z pustego w próżne. Zatruta kłamstwem rzeka słów, jakimi zalewa nas propaganda od lat 40. Cenzura wobec wszelkich przejawów niezależnego myślenia. Dyskryminacja opornych. Przywileje dla podporządkowanych. Próby stworzenia nowej moralności i nowej kultury, która — inspirowana przez obcą ideologię — nie dopasowała się do narodu jak złe uszyte ubranie.

Cała ta koronkowa akcja tresowania niewolników miała zresztą zbyt wiele słabych punktów. Między innymi niezdolność utrzymania stałych autorytetów, co powoduje brak autorytetu w ogóle. Chaos w pojęciach moralnych prowadzi do kryzysu moralności. Nagradzanie występku i karanie niewinności zaciemnia sprawę dobra i zła. Nadużywanie prawa prowadzi do bezprawia. Kłamstwo usankcjonowane publicznie nie sprzyja wychowaniu w prawdzie i poszanowania słowa.

Wszystko to jest niebezpiecznym narzędziem w rękach ustroju i mogłoby trwale okaleczyć osobowość polskiego dziecka, gdyby nie wytrwała opozycja rodziny. Dom rodzinny znów stał się schronieniem polskości, kultury i człowieczeństwa. Nieraz już tak bywało w naszych dziejach, w latach zaborów, okupacji, niewoli. Prawda historyczna, wypędzona ze szkół, przetrwała w rodzinie. Zapomniane nazwiska, pominięte wartości, tęsknota za Polską, ojczyzną ludzi wolnych — wszystko to powróciło w edukacji rodzinnej. Rodzice prowadzili swe dzieci pod inne pomniki, na inne groby. Komentowali rzeczywistość na zgoła odmienny sposób, niż to czyniła szkoła, czy środki masowego przekazu. Krzyże zdjęte w szkołach wisiały wciąż w domach rodzinnych. Potężnym sojusznikiem rodziny okazał się Kościół polski, który, wyproszony obcesowo ze szkół, natychmiast znalazł nową formę realizowania swej misji nauczycielskiej i wychowawczej. Zorganizowano solidną katechezę, która wypełniła niebezpieczną lukę w moralnym wychowaniu dzieci i młodzieży. Kościół wskazywał na wartości, które potrafią się same bronić w każdych czasach. Imponujący autorytet Prymasa Wyszyńskiego kreował Go na duchowego przewodnika narodu. Gdy portrety socjalistycznych idoli spadały z hukiem, co pewien czas zastępowane nowymi, Prymas Polski cieszył się niezmiennym szacunkiem i zaufaniem społeczeństwa. Problemy rodziny i wychowania dzieci były centralnym tematem prymasowskiego programu obrony narodu. Największa zaś eksplozja popularności Kościoła i umocnienie jego autorytetu nastąpiły po wyborze polskiego Papieża.

Tak więc rodzina polska wsparta przez Kościół dała dowody swej integracji i siły w godzinie nowej próby. Dziecko stanęło na zderzeniu dwóch prawd, dwóch przeciwnych sobie systemów

oddziaływania. Stworzyło to niebezpieczną sytuację wychowawczą, podobnie jak w rozpadającym się małżeństwie, które wprowadzie rozwiodło się, ale wciąż mieszka razem i każdy usiłuje pozyskać dziecko, by je kształtować na inny sposób. Państwo i rodzina polska są od czterdziestu lat „rozwiedzeni”, egzystują jednak w przymusowej bliskości i wspólnie wychowują swe dzieci, poddając je dwóm różnym systemom wychowawczym.

Jak zachowuje się dziecko w takiej „rozwiedzonej” rodzinie? Przede wszystkim popada w stan zagrożenia i niebezpiecznej dezorientacji. Zawsze cierpi, jest bowiem zranione w swym ufnym, prostolinijnym widzeniu świata i w nieskażonym instynkcie prawdy. Trudniej dojrzewa emocjonalnie. Wybiera oczywiście tę stronę w konflikcie, która bardziej przemawia do jego emocji. Ktoś więc musiał ponieść klęskę. Historia PRL uczy, że w ogólnym bilansie przegrało państwo. Mniej więcej co dziesięć lat, z dojrzewaniem kolejnych pokoleń, zrywał się w społeczeństwie mniej lub bardziej dojrzały odruch świadomości i buntu, co było oczywistym dowodem, że plan wychowania w PRL poniósł kolejne fiasko. Nie obyło się jednak bez sukcesów po stronie socjalizmu, który również dochował się sporej liczby wychowanków. To dzisiejsi zomowcy, zdyscyplinowane szeregi MO, wytreśowane oddziały służby bezpieczeństwa. Takim owocem wychowania socjalistycznego jest na przykład kpt. Piotrowski, lat 33, wychowanek PRL, klasyczny przykład patriotyzmu i moralności marksistowskiej.

Ogólny jednak rachunek wskazuje na sromotną przegraną państwa. Pokolenie najdłużej i najdokładniej wychowywane w PRL dało dowód najsilniejszego protestu w roku 1980. Równieśnicy Polski Ludowej stali się twórcami „Solidarności”. Dzieci indoktrynowane od kołyski okazały zadziwiającą pamięć historii, szacunek dla prawdy i upór w obstawianiu przy wartościach zgoła zapomnianych w tym ustroju, jak godność ludzka, poszanowanie pracy, sprawiedliwy podział czy wolność słowa.

Znana fotografia chłopczyka w koszulce „Solidarności” biegnącego z chorągiewką pozwala żywić nadzieję, że sztafeta została przejęta i nowe pokolenie Polaków także się nie da „wychować”. Tym bardziej, że mali równieśnicy „Solidarności” otrzymali wspólną lekcję odwagi i patriotyzmu. Byli przecież naoczni świadkami niezwykle wyjątkowych wydarzeń. Ich upokarzani dotąd rodzice objawili swym dzieciom nową twarz. Wyprostowali się pełni nadziei. Przyprowadzono dzieci pod stocznnię. Ujrzały swych zaharowanych ojców w dostojeństwie słusznej walki o godność i sprawiedliwość. Historia otarła się o ich domy. Już nie tylko w zaciszu domowym, ale głośno i otwarcie odpowiadano dzieciom na ich odwieczne pytania o tożsamość, o przyczyny i skutki — co to, dlaczego, po co. Podniesione wysoko na ramionach ojców oglądały polskiego Papieża, widziały jak wznosi się pomnik ofiarom wypadków gdańskich, szły z rodzicami w głodowych marszach w Łodzi, widziały pacyfikację kopalni „Wujek”. Były wszędzie. Płatały się pod nogami dorosłych. Patrzyły i słuchały. Razem z ro-

dzinami przeżyły szok 13 grudnia i na równi z dorosłymi — jeśli nie boleśniej — doświadczły wszystkich konsekwencji stanu wojennego. Pamiętać należy, że dziecko pozbawione jeszcze dystansu do świata, a przez niedojrzały system nerwowy bardziej wrażliwe, widzi wszystko ostrzej, dotkliwiej, w monstrualnych proporcjach. Jeśli rozstaje się z matką, odbiera to jako rozstanie na zawsze. Jeśli rozpacza, to rozpacz ta nie ma dna. Jeśli się boi, to przeżywa swój własny koniec świata. Jeśli ujrzało płaczących rodziców, działanie armatki wodnej, ludzi uciekających przed człowiekiem z pałą, to paraliżujący strach będzie wracał w dziecięcych snach latami, i nic tych zdarzeń nie wymaże z pamięci. Wiedzą o tym moi rodzice, którzy byli dziećmi w czasie okupacji niemieckiej, a dziś dowiedziały się też moje dzieci. Tylko co odpowiedzieć dziecku lat osiemdziesiątych, gdy pyta: „Mamo, a z jakim państwem my teraz mamy wojnę?”

W stanie wojennym rozwały się ostatnie resztki złudzeń co do opiekuńczej roli Polski Ludowej. Wiele pisano już o torturach, przemocy, biciu, rozlicznych środkach represji stosowanych w PRL, do bezkarnych morderstw włącznie. Trzeba jednak mówić i o tym, że twarda łapa przemocy sięgnęła także po dzieci. Bez żadnych przenośni. Jawnie i otwarcie. Kto pojmie, jaką męką jest dla dziecka rozstanie z bezprawnie więzionymi rodzicami? Jak głębokim szokiem jest wyrwanie ze swojskiego gniazda i przerażająca obcość domu dziecka, w którym niektóre dzieci zmuszone były przeczekać czas internowania rodziców. Czyż nie rozmyślną torturą było złośliwe pozostawienie dwutygodniowego niemowlęcia w zamkniętym mieszkaniu, bez opieki przez dwa dni, w dodatku informując o tym wśród kpin internowaną matkę. Maleńkie dziecko nie rozumie, lecz czuje, to zaś, co czuło niemowlę opuszczone przez dwa dni w zamknięciu przechodzi nasze dorosłe pojęcie rozpacz, bezradności i cierpienia. Przez lat czterdzieści zdarzały się wypadki traktowania dziecka jako narzędzia terroru wobec opornych („milcz, bo masz dzieci, do których możemy się dobrać”). Dziś ów szantaż osiągnął apogeum. Groźby stały się rzeczywistością. Dowodem tego jest choćby los Grzesia Przemyka i jego matki.

Wobec takich faktów mit „opiekuńczości” państwa musiał runąć raz na zawsze. Utraconej reputacji, utraconego zaufania dzieci nie da się już odbudować za pomocą cukierków rzucanych na Dzień Dziecka, czy jałmużny zasiłków rodzinnych.

Będąc świadkami wydarzeń lat osiemdziesiątych, dzieci zrozumiały więcej niż nam się zdaje. Dowodem tego jest fakt, że w okresie stanu wojennego stały się niespodziewanie partnerami dorosłych i znalazły swe własne formy protestu wobec rządów kłamstwa i przemocy. Z ich inicjatywy powstały tzw. „milczące przerwy”, którymi dzieci w niektórych szkołach warszawskich wyrażały dezaprobatę wobec gwałtu zadanego Ojczyźnie. 13 każdego miesiąca szkoła zamierała na dużej przerwie w ciszy i bezruchu. Dzieci i młodzież podjęły też samorządnie warty przy grobie Grzegorza Przemyka. W wielu szkołach potrafiły wyrazić po

dziecięcemu swój sprzeciw wobec zdejmowania krzyży. Zostało to przyjęte przez większość dzieci nie tylko jako obraza uczuć religijnych, ale jako gwałt zadany wolności. „Kazali nam zdjąć krzyż i Papieża, chociaż przedtem sami powiesili” — powiedział 8-letni Jacek z Warszawy. — „Powiedzieli, że szkoła jest państwowa i nie wszyscy wierzą w krzyż i Papieża. A szkoła jest przecież nasza, dzieci. Więc dlaczego powiesili nam swoich, państwowych świętych, Lenina i tych innych. Te obrazy też trzeba zdjąć, bo przecież nikt w nich nie wierzy”.

Można się spodziewać, że bolesna lekcja, jaką otrzymały polskie dzieci nie pójdzie na marne. Tym bardziej, że w godzinie próby i cierpienia narodu zawsze rodzą się wspaniałe wzorce wychowawcze, z których nowe pokolenie czerpać będzie inspirację i odwagę. Takim wzorcem będzie na przykład bohaterska postać księdza Popiełuszki. Należy jednak pamiętać, że jego mordercy też chcą sobie wychować następców. Jakiś procent dzieci znów padnie ofiarą systemu. Jaki to będzie procent? Kto zwycięży w następnej rundzie? Czy rodzina polska znękana kryzysem znajdzie dość siły i odwagi, by dalej walczyć o swe dzieci? Edukacja płynąca ze zdarzeń musi być uzupełniona przez solidną edukację historyczną, społeczną, moralną i kulturową. Kto ma w tym pomóc rodzinie? Czy rodzice z roku „Solidarności” nie poczują się osamotnieni przez brak takiego oparcia, jakim był dla ich rodziców autorytet Prymasa Polski? Czy tak licznie budowane dziś świątynie będą miejscem, do którego naród będzie jak dotąd przychodzić z pełnym zaufaniem po radę i obronę?

Wiele polskich dzieci wyjedzie z Polski na zawsze z rodzicami, którzy wybiorą emigrację. Wśród tysięcy Polaków opuszczających Ojczyznę każdego roku większość to ludzie młodzi, którzy są, albo będą rodzicami. Dzieci, które zostaną w kraju mają w perspektywie nerwicę, osłabienie biologiczne, przedwczesne dojrzwienie, coraz więcej smutnych rocznic do pamiętania i coraz bardziej zmęczonych rodziców. Dostaną po nas w spadku horrendalne długi, żałosne gospodarstwo w opłakanym stanie, nieopisanego chaosu we wszystkich dziedzinach życia społecznego, dumne dziedzictwo socjalizmu, dorobek czterdziestolecia. Będą dalej szarpane, indoktrynowane, poniżane i zagrożone.

Maria DAWIDOWICZ

1 stycznia 1985

WYWIAD Z PROF. ROMANEM BUSATOWSKIM

25 marca bież. roku Radio Warszawa podało, że na konferencji prasowej w ministerstwie górnictwa i przemysłu maszynowego udzielił wywiadu prof. Roman Busatowski z instytutu metalurgii żelaza.

— *Panie Profesorze, czy przeżył pan ostatnio taki kataklizm, jakim jest pęknięcie rury wodociągowej czy rury ciepłowniczej?*

— Doświadczam tego na własnej skórze. Mieszkam w bardzo dużym domu i w tym domu co najmniej 2 dni w tygodniu co tydzień nie było ogrzewania. Jest to przerażające, to co się dzieje i najgorsze to, że moim zdaniem, nie ma sposobu zaradzenia awarii. Można starać się o to, żeby te awarie nie narastały w takim tempie.

— *Po prostu nie możemy poradzić sobie z korozją?*

— Absolutnie nie możemy sobie poradzić z korozją i płacimy za dewastację środowiska, do której żeśmy doprowadzili.

— *A co my możemy zrobić?*

— Piękna jest odpowiedź, wobec tego dbajmy o ochronę środowiska, doprowadźmy do tego, żeby woda w rzekach była wodą.

— *Ale to są pobożne życzenia.*

— To są życzenia. Musimy się pogodzić z takim stanem jaki jest, nie pogarszać. Do tego trzeba przedsięwziąć środki, które by zmniejszały prawdopodobieństwo, ponieważ nie możemy uniknąć korozji, zrobmy coś, żeby ta korozja przez dłuższy czas mogła być mniej szkodliwa, nie doprowadziła do awarii.

— *Lepsze rury?*

— Nie, nie da się zrobić lepszych rur. Musimy zadbać tylko o to, żeby ta ochronna warstwa tlenku była możliwie zwarta i drugie, żeby dostawca wiedział dla kogo dostarcza rury. Żadna z hut nie wie do kogo idą rury. Czy ona pójdzie na... czy ona pójdzie dla przewodów. To trzeba zmienić i to się zmienia.

NAGRODY KULTURALNE „SOLIDARNOŚCI”
ZA ROK 1984

Komitet Kultury Niezależnej przyznał w lutym 1985 roku Nagrody Kulturalne „Solidarności” za rok 1984. Otrzymali je:

1. Stefan Bratkowski (Warszawa) — za cykl audycji kasetowych „Gazeta dźwiękowa”;
2. Adam Bujak (Kraków) — za reportaż fotograficzny z pogrzebu ks. Popiełuski;
3. Erazm Ciołek (Warszawa) — za reportaże fotograficzne o tematyce społecznej;
4. Ewa Dałkowska i Zbigniew Zapasiewicz (Warszawa) — za realizację spektaklu „Pan Cogito szuka rady” według Zbigniewa Herberta w Teatrze Powszechnym w Warszawie;

5. Tadeusz Kaczyński (Warszawa) — za przygotowanie cyklu programów muzyki i słowa w ramach „Filharmonii im. Romualda Traugutta”;
6. Jerzy Kalina (Warszawa) — za oprawę plastyczną uroczystości pogrzebowych ks. Popiełuski;
7. Krzysztof Krauze (Warszawa) — za film dokumentalny „Jest”;
8. „Na głos” (Kraków) — gazeta mówiona, przygotowywana przez Leszka Elektorowicza z zespołem;
9. Jerzy Radziwiłłowicz (Kraków) — za rolę Raskolnikowa w „Zbrodni i karze” F. Dostojewskiego (reż. Andrzeja Wajdy) w Teatrze Starym w Krakowie;
10. Jarosław Marek Rymkiewicz (Warszawa) — za powieść „Rozmowy polskie latem '83”;
11. Wiesław Saniewski (Warszawa) — za film fabularny „Nadzór”;
12. Wanda Szaad (Warszawa) — za audycję kasetową „Dezertery”;
13. Małgorzata Szejnert i Tomasz Zalewski (Warszawa) — za książkę reportażową „Szczecin: Grudzień — Sierpień — Grudzień”;
14. Andrzej Titkow (Warszawa) — za film dokumentalny „Przechodzień”;
15. Wiesław Wodyk (Gdańsk) — za utwory wokalne-elektroniczne komponowane do tekstów współczesnych poetów;
16. „Zespół 4R” — Jacek Federowicz i jego współpracownicy (Warszawa) — za historię obrazkową „Solidarność. 500 pierwszych dni”.

Nagrody są honorowe.

Tygodnik Mazowsze nr 121 z 14 marca 1985 roku.

APEL NA RZECZ CDN

Trzy litery — „ciąg dalszy nastąpi” — pojawiły się na murach miast polskich jako odpowiedź na ogłoszenie stanu wojennego. Wymowa ich była jednoznaczna: walka o wolne słowo, prawa obywatelskie i związkowe, będzie trwała do zwycięstwa. Nie też dziwne, że niezależne wydawnictwo, które powstało w styczniu 1982, te trzy litery przyjęło jako symbol i nazwę. Uznało je jako szczególne zobowiązanie, jako zapowiedź, że czytelnik będzie otrzymywał jedną książkę po drugiej mimo policyjnych rewizji i konfiskat. Wydawnictwo dotrzymało słowa — CDN do dziś opublikowało około 50 dzieł głównie z dziedziny historii najnowszej i publicystyki politycznej, a także utwory literackie, teki zdjęć i kasety z nagraniami.

To wielkie osiągnięcie w warunkach konspiracji wymaga nie tylko poświęcenia, odwagi i wytrwałości, ale także pomocy materialnej i technicznej. Niech społeczeństwo emigracyjne na Zachodzie, zawsze tak ofiarne i pełne zrozumienia dla potrzeb kraju, nie odmawia pomocy także i podziemnym wydawcom z CDN.

Sprawy wydawnicze i pomocy CDN na Zachodzie wzięło w opiekę Wydawnictwo PULS, a prac z tym związanych podjęła się Teresa Afeltowicz, były żołnierz Armii Krajowej. Korespondencje w sprawach CDN, czeki lub międzynarodowe przekazy pieniężne (wystawione na CDN Press) prosimy kierować na:

PULS PUBLICATIONS,
BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Można już wyciągnąć pierwsze wnioski z pierwszego miesiąca rządów Gorbaczowa. Przede wszystkim ten, że rząd amerykański jest zdecydowany skorzystać z pojawienia się nowego władcy na Kremlu, aby wrócić do polityki „odprężenia”. Amerykański dziennikarz George F. Will stwierdza w związku z tym jasno i zdecydowanie: „24 marca Sowieci zabili amerykańskiego oficera, ale obiecali, że z tego powodu nie będą się oburzać. Strona amerykańska obiecała wspólnie z nimi zastanowić się, w jaki sposób zapobiec podobnym „incydentom”. Odprężenie wróciło w całość okazałości” (*International Herald Tribune* z 4 kwietnia 1985).

George Will ma na myśli zabójstwo majora Artura Nicolsona, zastrzelonego na terytorium NRD przez sowieckich żołnierzy. Zgodnie z umową między zwycięskimi aliantami major miał prawo znajdować się tam, gdzie się znajdował. Oficerowie sowieccy, którzy na mocy tych umów rozjeżdżają po terytorium RFN, niejednokrotnie przekraczali swe uprawnienia, zaglądając tam, gdzie im zaglądać nie wolno. Zatrzymywano ich i odsyłano do domu. Żołnierz sowiecki nie tylko otworzył ogień do amerykańskiego majora, ale — raniwszy go — nie dopuścił do pomocy i pozwolił mu się wykrwawić.

Jurij Andropow odczekał niemal rok — do września 1983 — zanim pokazał, że zamierza nieustępliwie „bronić świętych granic ziemi sowieckiej” i oświadczył, że zestrzelenie południowokoreańskiego samolotu pasażerskiego było słuszne. Gorbaczow już w drugim tygodniu swego panowania pokazał pięć. W roku 1983 Zachód na wszelkie sposoby wybielał Andropowa, zwalając winę na nieodpowiedzialnych wojskowych. W 1985 wszyscy uważają za oczywiste, że żołnierze sowieccy dostali rozkaz, żeby najpierw strzelać i zabijać, a potem dopiero wyjaśniać, o co chodzi.

Miedzy strzałem z 1983 a strzałem z 1985 roku istnieją pewne różnice. Nie chodzi o to, że w 1983 zginęło 269 osób, a w 1985 jedna. W 1983 minęło niemało czasu, zanim władze sowieckie

oficjalnie przyznały się do zestrzelenia pasażerskiego samolotu. W 1985 roku TASS poinformował w dwa dni po zabójstwie, że „można ubolewać nad tragicznym wypadkiem, jaki zaszedł 24 marca, ale pełną odpowiedzialność za to ponosi strona amerykańska”. Po zestrzeleniu samolotu południowokoreańskiego stosunki między ZSSR a USA ochłodziły na okres mniej więcej roku. Po zabójstwie majora Nicolsona dąsy trwały sześć dni, po czym sekretarz Stanu Shultz spotkał się z ambasadorem Dobryninem dla przedyskutowania, w jaki sposób zapobiec na przyszłość podobnym „incydentom”. Prezydent Reagan, który w pierwszej chwili nazwał zabójstwo zabójstwem, oświadczył wkrótce potem, że dopiero teraz zależy mu na spotkaniu Michaiła Gorbaczowa.

W kwietniu przybyło do Moskwy czterech członków Kongresu i Gorbaczow przez trzy godziny i czterdzieści trzy minuty (zapewne łącznie z tłumaczeniem) opowiadał im o swej miłości do „odprężenia” i o tym, że „nasze narody mogą sporo zyskać na szerokiej i owocnej współpracy”. Jak zawsze, słowom generalnego sekretarza odpowiadają czyny: sekretarz jednego z kongresmenów nie dostał wizy, bo w swoim czasie napisał artykuł, który się Moskwie nie spodobał. Kilku kongresmenów na znak protestu nie pojechało do Gorbaczowa, ale czterech pojechało. Mieli rację: jeśli nie powstrzymało ich zabójstwo majora Nicolsona, to odmowa udzielenia wizy jakiemuś pismakowi w żaden sposób nie mogła ich odwieść od spotkania z Gorbaczowem.

Licząc być może na inercję „odprężenia”, młody generalny sekretarz oznajmił 7 kwietnia, że rozmieszczanie sowieckich rakiet średniego zasięgu SS-20 zostanie „zamrożone” do listopada 1985 i zażądał w zamian zaprzestania rozmieszczania amerykańskich Pershingów w Europie zachodniej. Ta „dyplomatyczna” inicjatywa Gorbaczowa nie spotkała się, jak na razie, ze spodziewanym oddźwiękiem — ani Stany Zjednoczone, ani Europa zachodnia nie chcą odstąpić od swoich planów. Ale „manewr” Gorbaczowa uznano za nadzwyczajne pociągnięcie dyplomatyczne, dowód niezwykłych możliwości intelektualnych, politycznych, dyplomatycznych i in. generalnego sekretarza. Tylko nieliczni komentatorzy wspominają, że zapomniany przez wszystkich Breżniew bezterminowo „zamrażał” rozmieszczanie sowieckich rakiet, co jednak nie przeszkodziło mu rozmieścić ich tyle, ile chciał.

Eksperci wojskowi podejrzewają, że „zamrożenie” Gorbaczowa wynika z tego, że SS-20 — rakiety sprzed osiemnastu lat — przestały odpowiadać dzisiejszym wymagom. Potrzebna jest zatem chwila wytchnienia, aby zastąpić je nowocześniejszymi.

Dyplomacja to tylko jedno z pól działania generalnego sekretarza. Do jego zmartwień — i to niebłażych — należy też gospodarka sowiecka. 9 kwietnia ukazał się w *Prawdzie* komunikat o posiedzeniu sekretariatu KC z udziałem działaczy gospodarczych: dyrektorów fabryk, przewodniczących kołchozów itp. Michaił Gorbaczow oświadczył zebranym, że „w wielu dziedzinach rok zaczął się niełatwo”. Zebrani nie byli tym zaskoczeni. Sły-

szeli już o środkach, które trzeba będzie koniecznie podjąć dla usunięcia niedostatków: „intensyfikacja produkcji”, „konsolidacja centralizacji i planowania” przy równoczesnym „rozszerzeniu praw przedsiębiorstw, kołchozów i sowchozów”... O reformach, których tak oczekują zachodni zwolennicy Gorbaczowa, na razie cicho. Zamiast reform Sąd Najwyższy wydał sądom lokalnym rozporządzenie, aby zwiększyły odpowiedzialność karną za produkcję i sprzedaż przestarzałych, nie odpowiadających stardardom i nieudanych wyrobów.

Rozszerzenie odpowiedzialności karnej, czyli zwiększenie liczby aresztowań zawsze leżało w zasięgu możliwości przywódców sowieckich. Pierwsze wyroki za złą jakość produkcji zapadły w latach 30-tych, za Stalina. Jak wiadomo, pozwoliło to zwiększyć szeregi więźniów obozów, ale na jakość produkcji nie wpłynęło. Od tego czasu przyjęło się hasło: Co sowieckie — to doskonałe!

Inaczej przecież być nie może. Chroniczny brak towarów jest zjawiskiem nie tyle ekonomicznym, co politycznym. W ostatnich czasach zjawisko to przybrało takie rozmiary, że zaczęto o nim pisać, co ma wyrzucić równie magiczny wpływ jak zaklinanie diabła. Prof. W. D. Patruszew napisał w *Izwiestiach* (5 października 1984), że obywatele sowieccy tracą rocznie „65 miliardów osobo-godzin na dokonywanie zakupów”. Profesor dodaje, że w liczbę tę nie wchodzi czas, stracony na poszukiwanie towarów, a wyłącznie czas stania w kolejkach. 65 miliardów osobo-godzin rocznie „odpowiada rocznej liczbie godzin pracy 35 milionów ludzi w gospodarce uspołecznionej”. Inny ekonomista, dr O. Łacis, obliczył, że w Związku Sowieckim w kolejkach „pracuje” niemal tyle samo ludzi, co w całym przemyśle, mianowicie 37,6 milionów (*Izwestia* z 2 lutego 1984). „Jest się nad czym zadumać” — podsumowuje O. Łacis. Rzeczywiście, sprawa jest tego warta. Wniosek jednak może być tylko jeden: przy takich kolejkach każdy produkt zostanie wyrwany z rąk sprzedawców. Co oczywiście nie przeszkodzi pościć do łagrów potrzebnej liczby winnych złej produkcji. Rzec jest nieskomplikowana, skoro wszyscy produkują towary złej jakości.

W pierwszej dekadzie kwietnia Gorbaczow zwrócił uwagę na jeszcze jedną bolączkę, powstrzymującą wytrwały marsz ku komunizmowi: alkoholizm. Biuro Polityczne KC KPZS oświadczyło, że poświęciło tej kwestii trochę czasu podczas swego kolejnego posiedzenia. W najbliższym czasie należy się zatem spodziewać specjalnych środków w walce z pijaństwem.

„Jeśli by pijacy przeczytali wszystko to, co się pisze teraz w gazetach, otrzeźwieliby” — ogłosiły z nadzieją *Izwestia* (19 grudnia 1984). — Tak twardo, otwarcie, pryncypialnie i z taką troską jeszcze przeciw alkoholizmowi nie występowaliśmy”. W oświadczeniu tym nie ma ani słowa prawdy. Skoro gazeta informuje, że pijacy liczą się na miliony, jakaś ich część niewątpliwie czyta gazety. Kampanie antyalkoholowe nigdy nie są ani twarde, ani

szczerze, ani pryncypialne. Jedyne, co można o nich powiedzieć to to, że są liczne.

Zwiększenie liczby artykułów „antyalkoholowych” i postawienie kwestii alkoholizmu na porządku dziennym Biura Politycznego związane są z raportem, jaki pod koniec ubiegłego roku sporządził sybirski oddział Akademii Nauk. Ten całkowicie oficjalny, ale zarezerwowany „do użytku służbowego” raport stał się powszechnie znany. Cyfry, jakie podaje, muszą wprawdzie w zadumę nawet Biuro Polityczne. W roku 1980 było zarejestrowanych 40 milionów alkoholików i pijaków, w tym 17 milionów przypadków klinicznych. Wzrost spożycia alkoholu przerósł wszystkie wskaźniki: z 5 litrów w 1952 roku doszedł w roku 1983 do 30 litrów. Jeśli tendencja ta się utrzyma, spożycie alkoholu wzrośnie — zdaniem autorów raportu — w roku 2000 do 50 litrów, zaś liczba alkoholików osiągnie 80 milionów. Z przeprowadzonej w 1979 roku ankiety wynika, że 99,4 % mężczyzn i 97,6 % kobiet pije regularnie. „Bezmyślne pijaństwo — czytamy w raporcie — doprowadziło do stopniowej degeneracji narodu, przede wszystkim narodu rosyjskiego... Jest to największa tragedia w naszej tysiącletniej historii”.

Raportu nie opublikowano, ale artykuły w prasie dowodzą, że jego twierdzenia są prawdziwe. W *Izwiestiach* z 4 lipca 1984 czytamy: „Alkohol zagraża naszej przyszłości”. Gazety używają nowych sformułowań: „alkoholizm niemowlęcy” (tzn. dzieci karmiących matek-pijaczek), „kultura bezałkoholowa”, „wytrzeźwienie terenu pracy”. Najbardziej wstrząsającym dowodem totalnego rozpicia jest być może żądanie zmiany technologii produkcji, jakie ukazało się w *Komsomolskiej prawdzie* z 18 grudnia 1984. Podczas gdy gnijący świat kapitalizmu buduje nowe komputery i oswaja się z technologią elektroniczną, kierownictwo fabryki tworzyw sztucznych w mieście Safonow (rejon smoleński) chce zmienić technologię produkcji plastyku, bo robotnicy w państwie najdojrzalszego socjalizmu wypijają używane do jego produkcji spirytus metylowy i klej.

Raport sybirskich akademików kończy się następującym pytaniem: „Po co z nami prowadzić wojny, skoro za 12-15 lat — kiedy połowa naszej dorosłej ludności będzie się składać z alkoholików, niezdolnych ani do pracy ani do obrony — będziemy musieli rozpaść się jako państwo suwerenne?”.

W każdym normalnym państwie raport sybirskich akademików zostałby uznany za dzwonek alarmowy. W państwie sowieckim spowodował tylko zwiększenie artykułów i partyjnych apeli przeciw alkoholizmowi. Alkoholizm jest władzy sowieckiej z wielu powodów potrzebny. Nie tylko dlatego, że napoje spirytusowe są „towarem numer jeden”. Już Orwell z genialną przenikliwością domyślił się, że jedynym powszechnie dostępnym towarem będzie w świecie totalitarnym obrzydliwy gin. W systemie sowieckim wódka jest znakiem przynależności do kolektywu: niepijący jest uważany za obcego, za odszczepieńca. Wódka daje choćby chwilę radości, której tak brak w codziennym sowieckim

życiu, odgania śmiertelny smutek, nieodłącznie towarzyszący budownictwu socjalistycznemu. I wreszcie alkohol przekształca obywateli w posłuszne państwu narzędzia i zastępuje wszelkie formy wyrażania niezadowolenia.

Wady ustroju sowieckiego można wyliczać w nieskończoność, ale za każdym razem staje się wobec tego samego pytania: jeżeli jest tak źle, to dlaczego jest tak dobrze? Dobrze w tym sensie, że dotknięty niebywałymi chorobami system dysponuje potencjałem wojskowym, równym — jeśli nie większym — potencjałowi Stanów Zjednoczonych. W jaki sposób Związek Sowiecki nie tylko nie zostaje w tyle, ale często wyprzedza w wyścigu zbrojeń przebogate Stany Zjednoczone, z trudem znośące koszty tego wyścigu?

Po pierwsze dzięki pomocy Zachodu. Około 25 % spożywanego w ZSSR zboża pochodzi zza granicy. Także *gros* maszyn przemysłowych i sprzętu pochodzi z Zachodu. Jednak handel, w którym ZSSR sprzedaje rudę a zakupuje towary przemysłowe i zboże, to tylko część zachodniej pomocy. O drugiej części możemy się dowiedzieć z paryskiego *Monde'u* z 30 marca 1985: pismo to przedrukowało raport, opisujący schemat potężnej organizacji sowieckiej, której zadaniem jest kradzież na Zachodzie niezbędnego Sowietom sprzętu, planów technicznych i patentów. Ta niezwykle organizacja nazywa się Komisją Wojskowo-Przemysłową (WPK) przy Radzie Ministrów. Kieruje nią wicepremier L. Smirnow. Komisja składa się z przedstawicieli dwunastu ministerstw, bezpośrednio lub pośrednio związanych z przemysłem wojskowym. Każde ministerstwo przedstawia swój plan potrzeb, których opracowaniem zajmuje się Wszechzwiązkowy Instytut Informacji Międzyresortowej. Zaspokojeniem zatwierdzonych „potrzeb” zajmują się następujące resorty: 1. KGB, w którym istnieje specjalny wydział „T” (techniczny); GRU (wywiad wojskowy); Państwowy Komitet Nauki i Techniki; 4. Wydział kontaktów zagranicznych przy Akademii Nauk ZSSR; 5. Ministerstwo Handlu Zagranicznego. Główną robotę biorą na siebie KGB i GRU, kradnąc ok. 74 % całej „spec-informacji” i „wzorców”.

Le Monde opublikował dokument, podsumowujący „robotę” ministerstw przemysłu lotniczego w 1979 roku: „W 1979 roku Ministerstwo dostało od służb wyspecjalizowanych 156 wzorców i 3.896 dokumentów technicznych spec-informacji. Za użyteczne dla resortu uznano 140 wzorców i 3.543 dokumenty techniczne...”. Ministerstwo podsumowuje na zakończenie, jaki miało pożytek z ukradzionych dokumentów i planów: „Zysk ekonomiczny, uzyskany głównie dzięki zdobytym gotowym zagranicznym rozwiązaniom technicznym, Ministerstwo ocenia na 48,6 mln rubli, czyli o 18,8 mln rubli więcej niż w roku 1978”.

Kontrwywiad francuski uzyskał powyższy raport ponad dwa lata temu i on to skłonił Mitterranda do wydalenia z Francji 47 sowieckich agentów na paszportach dyplomatycznych. Wiadomo, że z Francji pochodzi ok. 8 % potrzebnej ZSSR technologii, a 61,5 % kradnie się w USA.

Jednak pożytki, jakie ZSSR czerpie z Zachodu na tym się nie kończą. *International Herald Tribune* z 9 kwietnia opisuje wstrząsającą historię. Angielskie wydawnictwo „Oxford University Press” pozwoliło Moskwie opublikować „Oksfordzki słownik współczesnego języka angielskiego”. Sowieccy wydawcy przed drukiem zmienili w słowniku definicję szeregu słów. Sowieccy studenci dowiedzą się więc z oksfordzkiego słownika, że socjalizm jest „ustrojem społecznym i gospodarczym, który zastępuje kapitalizm”, a kapitalizm systemem, „który zastąpił feudalizm i poprzedza komunizm”. Imperializm z kolei to „najwyższe i ostatnie stadium kapitalizmu” itd. Obywatele sowieccy, którzy mogliby mieć wątpliwości, gdyby informacje te znaleźli w podręczniku sowieckim, przekonają się ze słownika oksfordzkiego, że mówiono im zawsze prawdę.

Najważniejszym elementem, zapewniającym trwanie ustroju sowieckiego, jest nieustanna, trwająca od świtu do nocy „manipulacja świadomością mas i wpajanie jej celowej dezinformacji”. Tak właśnie definiuje mechanizm „wojny psychologicznej” D. A. Wołkogonow, generał dywizji, filozof i profesor, autor książki „Wojna psychologiczna. Wywrotowe działania imperializmu w dziedzinie świadomości społecznej”. Niestety nie ma dotychczas książki, analizującej szczegółowo „wywrotowe działania socjalizmu” w dziedzinie świadomości społecznej, a pomogłaby ona znacznie zrozumieć zjawisko sowietyzmu.

Ostatnimi czasy np. sowiecka świadomość społeczna jest intensywnie kształcona przy pomocy „modelu wojny”. Wojna z Niemcami hitlerowskimi opisywana jest jako czas trudny, ale szczęśliwy, jako epoka, która dowodzi, że i o głodzie i chłodzie można być zadowolonym i dobrze pracować, jeśli się jest świadomym, że stanowi się część Ojczyzny, której grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Film „Mój przyjaciel Iwan Łapszyn”, który wszedł na ekrany kin sowieckich w lutym, cieszy się niebywałym powodzeniem. Cenzura blokowała go przez dwa lata, ale wreszcie puściła i do istniejących już kolejek dołączyły olbrzymie ogony przed kinami. Korespondenci zagraniczni nie mogą pojąć, dlaczego film ma takie powodzenie. Mają rację. Film nakręcił Aleksiej Herman według książki swego nieżyjącego już ojca Jurija Hermana. Historia bohatera zaczyna się w r. 1937, w którym Jurij Herman napisał opowiadanie „Łapszyn”. Czasy to pamiętne — sam szczyt stalinowskiego terroru. Bohater był — na miarę czasów — milicjantem, likwidującym bandytów. W późniejszych latach pisarz niejednokrotnie wracał do swego bohatera: ostateczny szlif dał mu w 1960 roku w powieści „Jeden rok”.

Sowieckich widzów film urzeka dlatego, że patrząc na zdjęcia, ilustrujące epokę sprzed 50-ciu lat, na rudery, wspólne mieszkania, nędzę i strach, w jakich żyli ich ojcowie, wydaje im się, że dziś wszystko już jest dobrze, bo jest lepiej niż pół wieku temu. Także ostatni kadr robi wrażenie: Łapszyn, kierujący akcją przeciw grupie bandytów, zabija herszta złodziei mimo,

że ten się poddaje i podnosi ręce do góry. Złote słowa Gorkiego „jeśli wróg się nie poddaje, należy go zniszczyć” uzyskują nową, współczesną wersję: jeśli wróg się poddaje, także należy go zniszczyć.

13 kwietnia 1985

Adam KRUCZEK

Kronika niemiecka

W wychodzącym we Wrocławiu piśmie podziemnym *Nova Republika* (wydaje *Ruch Społeczny Solidarność*) czytamy z okazji 120-tej rocznicy śmierci Lassalle'a: „Na wrocławskim cmentarzu przy ul. Ślęzkiej znajduje się grób pierwszego organizatora ruchu robotniczego w Niemczech, z którego wyrosła dzisiejsza *Socialistyczna Partia Niemiec* — Ferdynanda Lassalle'a. Na nagrobku widnieje napis: 'Ferdynand Lassalle, ur. 11 kwietnia 1825, zm. 31 sierpnia 1864'. Na grobie leży płyta z napisem: 'Ferdynandowi Lassalle'owi, wielkiemu socjaliście — PPS w dniu swego XXVII Kongresu, 14. XII. 1947'”. ■ Kanclerz RFN Helmut Kohl zaproponował władzom PRL uruchomienie wspólnego *Dziela Młodzieży* (*Jugendwerk*) do nawiązywania kontaktów i współpracy na odcinku młodzieżowym. Rząd bński i różne organizacje są gotowe zaprosić jeszcze w tym roku 10-tysięczną grupę polskiej młodzieży do spędzenia wakacji u rodzin niemieckich. ■ Ankieta zachodnioniemieckiego instytutu badania opinii publicznej EMNID: „Czy trafne jest stwierdzenie min. Genschera, że grupka funkcjonariuszy ziomkostw *haniebnie* obchodzi się z pokojową polityką RFN?” (65 % — tak; 35 % — nie) oraz „Czy trafne jest stwierdzenie Herberta Hupki, że Śląsk jest własnością Niemców?” (65 % — nie; 34 % — tak). ■ *Kurier Szczeciński* informuje, iż najbardziej poszukiwaną walutą jest od pewnego czasu marka RFN. Jej cena oscyluje w granicach 200 zł. ■ Dieter Stolze, minister stanu w *Federalnym Urzędzie Kanclerskim*: „Od czasu zawarcia układu w 1970 roku dawne niemieckie tereny na wschód od Odry i Nysy są dla Republiki Federalnej *zagranicą*”. ■ Zmniejsza się ilość Niemców wyjeżdżających z Polski na stałe do RFN. Według Weffenschmidta, ministra stanu w bńskim MSW — 80 tys. obywateli polskich niemieckiej narodowości ma trudności z uzyskaniem zgody władz PRL na przesiedlenie się do Republiki Federalnej. ■ Zachodnioniemieccy ewangelicy skłóceni: powodem kontrowersji stał się zamiar wystąpienia ze wspólnym oświadczeniem przez *Radę Kościoła Ewangelickiego* i NRD-owski *Związek Kościołów*; w oświadczeniu tym, które wydane ma być w 40-tą rocznicę zakończenia II wojny światowej, mowa jest o potwierdzeniu uznania granicy na Odrze i Nysie. Przeciwno tej części deklaracji zaprotestowali w Hamburgu ewangelicy pochodzący z terenów dawnych Prus Wschodnich („... jeżeli dojdzie do wydania tego oświadczenia, nie pozostaje nam inna droga jak odejście od tego Kościoła”). ■ Monachijska *Grupa Robocza Solidarność* zorganizowała 13 marca br. stoisko informacyjne w centrum miasta. Rozdawano ulotki protestujące przeciwko gwałtom politycznym w Polsce, na plakatach upominano się o losy aresztowanych działaczy opozycji demokratycznej — Władysława Frasyniuka, Andrzeja Gwiazdy, Bogdana Lisa i Adama Michnika; rozdawano wydawnictwa *Solidarności* w językach polskim i nie-

mieckim. ■ W 1984 roku — 286 tys. osób z RFN odwiedziło Polskę, tj. 26 % więcej niż w roku 1983. Na RFN przypało w ub. roku aż 37,5 % ogólnych przyjazdów z krajów zachodnich. ■ *Musical* Ryszarda Sielickiego *Szwejk* (libretto Aleksander Rowiński, piosenki Andrzej Nowicki) wystawiony został już przez dwa teatry w NRD (Berlin i Lipsk), a wkrótce szykuje się tam jego kolejna premiera. ■ *LOT* wznowił regularne połączenia 2 razy w tygodniu na trasie: Warszawa - Gdańsk - Hamburg i v./v. ■ *Bońskie Min. Spr. Wewn.* przeznaczyło w budżecie na rok 1985 4,2 mln marek na aktywizację życia kulturalnego różnych grup narodowościowych. Z tych pieniędzy jest np. finansowane *Węgierskie Gimnazjum* w Kastl (Bawaria), *Rumuński Instytut Badawczy i Biblioteka* (Fryburg Br.). Tylko na budowę internatu emigracyjnego *Gimnazjum Łotewskiego* w Münster (Westfalia) Bonn wydało 1,5 mln marek. Tyle samo przekazał na ten cel rząd Nadrenii-Westfalii. Ponad 1 mln marek kosztowała też Bonn budowa internatu *Gimnazjum Litewskiego* w Lampertheim-Hüttenfeld (Hesja). Polacy żądnych szkół z prawdziwego zdarzenia nie posiadają w RFN (Niemcy chcieli uruchomić polskie gimnazjum, niestety skłócenie polskich organizacji emigracyjnych położyło całą sprawę). Jedynie nauczyciele różnych kursów języka polskiego dla dzieci (zamierzająca *Macierz Szkolna*) są opłacani przez poszczególne Landy. ■ W eksporcie z Polski do Berlina Zachodniego czołowe miejsce zajmuje miedź i węgiel (400 tys. ton w ub. roku); *Polimex-Cekop* buduje elektrownię w tym mieście. Tylko wrocławskie i poznańskie *PCR-y* ciągle nie są w stanie dostarczać warzyw, owoców i przetworów do odległego o 100 km miasta. Natomiast zaawansowane są rozmowy na temat budowy w Polsce portu jachtowego nad jednym z jezior dla zachodniobierlińskich żeglarzy. ■ W siedzibie *Związku Polaków w Niemczech* — *RODŁO* w Bochum, organizacji współpracującej z reżymem warszawskim odbywa się uroczystość przekazania przez poznański *Oddział Towarzystwa POLONIA* ponad 1.000 woluminów liczącego zestawu książek na ręce prezesa *Związku* ks. Edmunda Foryckiego. W sprawozdaniu *Głos Wielkopolski* podkreśla, że w tej poniosłej uroczystości „uczestniczył również powszechnie szanowany i lubiany przez naszych rodaków konsul generalny radca Ambasady PRL w Kolonii — Kazimierz Koś”. ■ Referaty historyków zachodnioniemieckich, wygłoszone na konferencji naukowej w Leningradzie w 1975 roku, nie zostaną — wbrew solennej obietnicy gospodarzy — opublikowane. *Niemiecki Związek Historyków* powiadomił obecnie swoich członków, że Sowietci definitywnie odmówili dotrzymania danego w tej sprawie przyrzeczenia. Na konferencji leningradzkiej omawiano m.in. tło paktu w Rapallo, kwestię współpracy *Reichsuehry* z *Armią Czerwoną*, traktowanie niemieckich socjaldemokratów w okresie przedhitlerowskim przez Sowietów jako „socjalfaszystów”, wreszcie też rozbiór Polski dokonany przez Niemcy i Sowietów w 1939 roku. Przez całe lata Sowietci uciekali się do najrozmaitszych wybiegów, chcąc uzasadnić brak owych publikacji: najpierw mówiono o braku papieru i niedokładnych nagraniach taśmowych, ostatnio zaś o tym, że materiały te są już przestarzałe. Moskwa odrzuciła także propozycje, przedłożone w roku ubiegłym przez stronę niemiecką na temat dalszego zacieśnienia i umocnienia współpracy. *Związek Historyków Niemieckich* komentuje: „W ten sposób nie ma żadnej gwarancji dalszego, owocnego kontynuowania tych naukowych dyskusji”. ■ Ks. prof. Franciszkowi Blachnickiemu odmówiono w konsulacie PRL w Kolonii przedłużenia paszportu i tenże dokument mu skonfiskowano. ■ Z listów opublikowanych przez zachodniobierliński *Pogląd* wynika, że zarząd *III Okręgu Związku Polskich Uchodźców (ZPU)* odrzuca deklaracje najnowszych uciekinierów z prośbą o przyjęcie w poczet członków. Prezes W. Franczak w Mannheim „nie popiera żadnej działalności politycznej na rzecz niepodległości Polski. Nie realizuje też celów społecznych, które są w założeniu statutu tej organizacji”. ■

Nakładem krajowego Czytelnika ma się niebawem ukazać powieść Heinricha Bölla pt. *Opiekunskie obłędzenie* w przekładzie Małgorzaty Łukasiewicz. ■ Wartościowa praca autorstwa Helgi Hirsch pt. *Bewegungen für Demokratie und Unabhängigkeit in Polen 1976-1980 (Ruchy demokratyczne i niepodległościowe w Polsce 1976-1980)* ukazała się nakładem wydawnictwa Kaiser — Grünewald (Moguncja — Monachium 1985, Str. 176). ■ W jaki sposób można w obecnej sytuacji aktywniej wspomagać naród polski i działającą w podziemiu *Solidarność* — oto temat rozmów, jakie prowadzili w Bochum działacze Niemieckiego Związku Zawodowego Nauczycieli i Pracowników Nauki (GEW) z polskimi aktywistami *Solidarności*, którym przewodniczył b. przewodniczący Zarządu Regionalnego NSZZ *Solidarność* we Włocławku, b. członek Komisji Krajowej, Marian Nowicki (przebywa od przeszło 2 lat w RFN). W trakcie kilkogodzinnej dyskusji omówiono potrzeby niezależnego ruchu związkowego w PRL. Ustalono także formy współpracy i popierania *Solidarności* w Polsce w chwili obecnej i na dłuższą metę. „Mocno poruszyły nas szczególnie ostatnie wydarzenia w Polsce — powiedzieli na zakończenie spotkania Roswitha Gehl i Benno Hammerschmidt — ponowne aresztowania m.in. Adama Michnika, Bogdana Lisa i Władysława Frasyniuka, przesłuchania Wałęsy i siedmiu innych działaczy, drastyczne podwyżki cen wbrew opiniom związków zawodowych przekonują nas, iż musimy skutecznie działać solidaryzując się z polskimi kolegami-związkowcami”. ■ Znana oficyna Alfred Metzner Verlag we Frankfurcie n/Menem wydała ostatnio książkę Petera Bingena pt. *Die Bonner Deutschlandpolitik 1969-1979 in der polnischen Publizistik (Bońska polityka w sprawie Niemiec w zwierzciadłe prasy polskiej 1969-1979)*. ■ Franz Pfefer (ur. w 1926 roku), nowomianowany ambasador RFN w Warszawie otrzymał *agrément* władz PRL. Ostatnio Pfefer kierował Departamentem Politycznym *Auswärtiges Amt*. ■ Z Komunikatu Prasowego nr 2/85 wydanego przez monachijski Komitet Główny PPS: Oddział Rady Narodowej RP w Niemczech „nie zabronił dr. L. Frendlowi odbycia tego spotkania (z dr. H. Hupką — przyp. A.J.Ch.), co — jak się okazuje — było błędem. Błędem radnych PPS, którzy mając wówczas dobre stosunki z przewodniczącym Oddziału Rady (dr. Frendlem — przyp. A.J.Ch.), zajmującym to stanowisko na wniosek PPS, było i to, że nie chcieli powodować zadrażnień personalnych. Dlatego poprzestano tylko na przestrodze, że wszelkie rozmowy z dr. H. Hupką, nawet najbardziej prywatne, wymagają jak najdalej posuniętej ostrożności. Niestety, w praktyce dr. L. Frendl wdał się z dr. H. Hupką we wstępne polityczne porozumienia, które — na szczęście — z końcem grudnia ub. roku (już po zgłoszeniu zastrzeżeń przez Klub Radnych PPS) — zawiesił. Na podstawie wyjaśnień przedstawionych przez dr. L. Frendla Prezydium Oddziału Rady (w obecności przewodniczącego Rady Narodowej RP w Londynie p. Zygmunta Szadkowskiego) nie wchodzi w rachubę odstępstwo dr. L. Frendla od stanowiska zajmowanego w sprawach polsko-niemieckich przez emigracyjny Rząd RP w Londynie. (...) Na posiedzeniu Prezydium Oddziału Rady zostało wyraźnie zaznaczone, że co innego stanowią rozmowy z przedstawicielami niemieckich partii politycznych, a co innego spotkania i ewentualne porozumienia z przywódcami *ziomkostw*”. ■ Po 6-letniej przerwie wznowione zostały prace mieszanej komisji gospodarczej PRL-RFN. W związku z tym w Warszawie przebywał federalny minister gospodarki Martin Bangemann (FDP). ■ Olgierd Budrewicz przedstawił czytelnikom krajowej *Panoramy* sylwetkę Marion hr. Dönhoff, wydawcy i czołowej publicystki hamburskiego tygodnika *Die Zeit*. W artykule zatytułowanym — *La Comtesse Rouge* Budrewicz cytując uwagę Heinricha Bölla: w gabinecie hrabiny Dönhoff czuje się „powiew dalekich Taurogów”. Znamienne to słowa, zwłaszcza, że właśnie w Taurogach podpisano w 1807 roku rosyjsko-pruskie zawieszenie broni... ■ Jerzy Kaczmarek, porucznik PRL-owskiego wywia-

du, zatrudniony od kilku lat pod nazwiskiem „Hans-Peter Arnold” w *Urzędzie d/s Przesiedleńców* w Bremie, został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa. ■ *Deutscher Ostdienst*, organ Związku Wypędzonych (BdV) co raz częściej atakuje paryską *Kulturę*, którą ocenia jako pismo o profilu zdecydowanie antyniemieckim. Referujący w tym biuletynie sprawy polskie dziennikarz niemiecki, znający nasz język (stary aktywista ZMP), beczelnie nabiera od lat — pod różnymi inicjałami i pseudonimami — redakcję i czytelników, fałszując cytaty z *Kultury* (także z zachodniobermberskiego *Poglądu* i londyńskiego *Dziennika Polskiego*. Biuletyn ma 86 (słownie: osiemdziesięciu sześciu) prenumeratorów. ■ Andrzej Micewski, członek Rady Społecznej przy Prymasie Polski, przebywał z tygodniową wizytą w RFN na zaproszenie socjaldemokratycznej Fundacji im. Friedricha Eberta. W rozmowach z politykami (Willy Brandt i Hans-Jochen Vogel z SPD, Hans Stercken z CDU) i przedstawicielami obu Kościołów, Micewski starał się tłumaczyć „słuszność aktualnej polityki” kardynała Glęmpa. W dyskusji telewizyjnej katolicki publicysta uparcie bronił niefortunnej wypowiedzi Prymasa z 15 sierpnia 1984 roku na Jasnej Górze w związku z problematyką duszpasterstwa dla Niemców w Polsce. ■ Poufny charakter miały rozmowy, jakie prowadził z niemieckimi biskupami w Bonn metropolita poznański — abp Jerzy Stroba. Po fatalnym w skutkach wystąpieniu Prymasa w Częstochowie stosunki między obu Episkopatami uległy znacznemu oziębieniu. Według *Frankfurter Allgemeine Zeitung* misja abp. Stroby miała charakter pojednawczy.

Andrzej J. CHILECKI

P.S.

Dr Ludwik Frendl, przewodniczący Oddziału Rady Narodowej w RFN poczuł się dotknięty treścią mojej notatki zamieszczonej w *Kronice niemieckiej* (*Kultura* nr 3/1985), dotyczącej jego rozmów z rzecznikiem *Ziomkostwa Ślązaków* — dr. Herbertem Hupką. Informując Czytelników o tym raczej niecodziennym spotkaniu nie kwestionowałem patriotyzmu i dobrej woli dr. Frendla, ale uważałem że jego rozmowy z wyraźnie antypolskim działaczem *Ziomkostwa Ślązaków* były zupełnie niepotrzebne i wywołały szkodliwe komentarze

(ajch)

KSIĘGARNIA „POLONIA”
2886 Milwaukee Ave., Chicago, IL 60618.

Tel.: (312) 489-2554.

POLECAMY największy wybór polskich książek i o Polsce po angielsku. Słowniki, książki do nauki angielskiego, historyczne, naukowe, religijne, pamiętniki, powieści sensacyjne, poradniki, książki kucharskie, literaturę dla dzieci i młodzieży, podręczniki.

ALBUMY, mapy, nowe nagrania polskich płyt i kaset.

Polskie karty okolicznościowe.

KUPUJEMY stare książki.

Katalog na żądanie bezpłatnie.

Kronika kulturalna

Chagall i Sutin

France Soir: na pierwszej stronie wiadomość o śmierci Chagalla. Dlaczego ta wiadomość tak mnie dotknęła? Może dlatego tylko, że dużo myślałem *przeciwko* niemu jako absolutny wyznawca Sutina, który był największym malarzem Ecole de Paris — wprost malarzem genialnym. Dziś, po śmierci Chagalla, otwieram książkę Sutina i te kolorowe reprodukcje jego obrazów zawsze dramatycznych, poście mięsa, zabite ptaki, twarze dzieci i kobiece, zawsze po jakimś dramatycznie zdeformowane, aż po te drzewa zwichrzone, ulice pokrzywione, widelce i łyżki ustawione na stole, wszystko, wszystko przemawia okrutnie. Sutin był malarzem genialnym. Czy winien jest Chagall, że nie był na miarę Sutina?

Przypominam sobie, przed laty, dwie jednoczesne wystawy: Chagalla i Sutina. Wtedy zetknąłem się z ludźmi, którzy stawiali ich obok siebie jako równorzędnych artystów. Oburzyło mnie to i od tego czasu miałem uraz do Chagalla. Dziś, kiedy Chagall umarł, myślę o jego malarstwie. Przecie jego początki były wspaniałe, te sceny z gett żydowskich, chatek rosyjskich, te krowy latające po niebie, te bajki, które malował i które nas wszystkich zachwycaly. Potem Chagall paryski, gdzie zaczęły się powtórki powtórek, gdzie obok pięknych płócien widzieliśmy słabe i całkiem słabe — nieprawdopodobne ilości. Wszystko to powiększało we mnie poczucie przepaści, która dzieliła Sutiną od tego bardzo zdolnego, poetycznego malarza, który świat zapęłnił swoimi obrazami, dekoracjami, aż do plafonu Opery Paryskiej, aż do witraży jego kompozycji (te ostatnie wydawały mi się świetne). Jeżeli Sutin w miarę lat utwierdzał się w mojej świadomości coraz bardziej jako jeden z wielkich malarzy mojej generacji, o tyle o Chagallu dosłownie zapomniałem, ale dzisiaj myślę, że zapomniałem nie całkiem słusznie. Jeżeli z tej góry namalowanych przez niego obrazów odrzucić kilkaset tandentnych, musimy przecież uznać, że był malarzem dużej miary, o niebawym

temperamencie. Malarzem szczęśliwym, malarzem, który przecież ma za sobą wielką pierwszą epokę rosyjską i jeszcze chyba do-
brych paręset obrazów, a do tego świetne ilustracje, i którego dziś, zapominając o Sutinie, możemy również uczcić, choć nie na tamtym genialnym poziomie; zresztą nie tylko uczcić ale uznać za prawdziwego malarza, będącego dużą pozycją we współczesnym malarstwie.

Tych kilka moich słów rzuconych pod wrażeniem jego śmierci, nie może wystarczyć. Trzeba, żeby ktoś o nim napisał szerzej i obiektywniej. Odegrał rolę w swojej epoce.

Józef CZAPSKI

Gombrowicz w Berlinie

Po wydaniu w paryskim wydawnictwie Denoël książki „Gombrowicz w Argentynie” Rita Gombrowicz nadal poszukiwała dokumentów i świadectw dotyczących ostatnich sześciu lat życia Witolda Gombrowicza. Owocem tych poszukiwań jest książka „Gombrowicz w Europie”, która wkrótce ukaże się we Francji. Publikujemy poniżej pochodzące z niej wypowiedzi pisarza Michel Butora, znanego malarza francuskiego André Massona i jego żony Rose, którzy wszyscy znajdowali się w Berlinie w tym samym czasie co Gombrowicz.

Red.

Zaproszony przez Fundację Forda na rok do Berlina, Gombrowicz przybył do Paryża 22 kwietnia 1963. Po kilkutygodniowym pobycie w tym mieście udał się do Berlina, gdzie przebywał od 16 maja 1963 do 17 maja 1964. Wydarzeniami, które go najbardziej poruszyły podczas pobytu w Berlinie była rozpętana przeciwko niemu w PRL kampania prasowa (która trwała od 25 sierpnia 1963 do końca grudnia tego roku) i dwumiesięczny pobyt w szpitalu (od 22 lutego do 19 kwietnia 1964). Spośród stypendystów Fundacji Forda Gombrowicz zaprzyjaźnił się najpierw z austriacką poetką Ingeborg Bachmann. Michel Butor przybył do Berlina później, w styczniu 1964, i wszystkie jego spotkania z Gombrowiczem miały miejsce w szpitalu. Gombrowicz zanotował w „Dzienniku”: „Butor był dla mnie niezmiernie pocziwy, odwiedzał mnie, gdy wylizywał się z gryp moich — ja odpłacałem mu się atakami, wycelowanymi w najdroższe jego *creda* artystyczne” („Dziennik” t. III, str. 143, w wyd. francuskim str. 158). W owym czasie Butor, wstawiony dziełami takimi jak „Sposób użycia czasu” (1956) i „Modyfikacja” (1957), był zaliczany wespół z Alain Robbe-Grillet, Nathalie Sarraute i Claude Simon do nowej szkoły *nouveau roman*, którą Gombrowicz atakował.

„Butora spotkałem na przyjęciu u tej komtesy, powiadam do niego, że cieszę się, bo, niby, jak razem w Berlinie będziemy, to do syta sobie podyskutujemy, choćby na temat *nouveau roman français*. Zamiast odpowiedzi wódz awangardy zaśmiał się donośnie — i był to śmiech grzecznościowy a odgradzający, zupełnie hermetyczny, śmiech puszek sardynek na Saharze...” (Dziennik t. III, str. 110; w wyd. francuskim str. 87).

Michel Butor mieszka obecnie w Nicei i wykłada literaturę francuską na uniwersytecie genewskim.

Rita GOMBROWICZ

RELACJE

Michel Butor

Uważam to za ładną formułę. Wszyscy wiedzieli, że Gombrowicz zawsze atakuje. Ale jego atak nie bardzo mnie dotknął, uważałem go raczej za wyraz nastroju. Gombrowicz odgrywał klasyczną rolę z komedii: dobroczynnego kata. To była jego stro-na „wiecznego podrostka”. Mam wrażenie, że zasklepił się w wiecznym kryzysie dojrzewania. Chętnie byłbym z nim porozmawiał o *nouveau roman* albo o moich powieściach, gdybym miał wrażenie, że je czytał. Nie znał moich książek, podczas gdy ja znałem jego. Do tego ówczesna prasa roiła się od pomyłek i nieporozumień. Wszystkich nas wrzucano do jednego worka. Nie mogłem więc mieć mu za złe, że nie bardzo wie, o co chodzi. Podziwiałem go jako pisarza. Był starszy ode mnie, żywiłem dlań szacunek. Chciałem, żeby rozmawiał ze mną o sobie i o swoim dziele: co zresztą robił chętnie. O *nouveau roman* jednak nigdy nie dyskutowaliśmy: z łatwością zresztą mógłbym mu być wykazać, że pewne fragmenty jego książek albo pewne jego koncepcje były dość bliskie *nouveau roman*. Można by z łatwością napisać doktorat o „Gombrowiczu i pewnych autorach *nouveau roman*”.

Po raz pierwszy zetknąłem się z Gombrowiczem pod koniec 1962 roku w Buenos Aires, gdzie byłem zaproszony na kongres międzynarodowego PEN-Klubu. W naszym hotelu mieszkali ludzie z Francji, między innymi stary emigrant rosyjski Władimir Weidlé¹, którego lubiłem. Opublikował on przed wojną książkę „Les abeilles d'Aristé”, piękne studium o sztuce współczesnej, wielce pouczające dla Francuzów tamtej epoki, zasklepionych we

1. Pisarz i krytyk rosyjski piszący po francusku. Zmarł w Paryżu w 1967. Gombrowicz wspomina go w swych rozmowach z Dominikiem de Roux (str. 78) (w wyd. francuskim str. 103 w *Testament, entretiens avec Dominique de Roux*).

własnym świecie (podobnie jak zawsze). Bardzo otwarty umysł. To on np. pierwszy we Francji zaczął pisać o Hermannie Brochu. Lubił książki Gombrowicza i znał go osobiście. Stałem więc w hallu hotelowym i rozmawiałem z Weidlé, który nagle powiedział: „O, jest Gombrowicz. Przepraszam Pana, umówiłem się tu z nim”. Taki obraz Gombrowicza został mi w pamięci. Mam go jeszcze w oczach, ale to wszystko.

Znałem wówczas „Ferdydurke” i „Pornografię”, opublikowane już przez *Les Lettres Nouvelles*. Uczestniczyłem w tamtych latach w jednym z zebrań Prix Formenter² na Majorce. Przypominam sobie, że popierałem kandydaturę Gombrowicza *à propos* „Pornografii”. Wreszcie spotkałem go, ale było to zetknięcie bardzo zdawkowe, właśnie na koktajlu o comtesse Ruby d'Arschot. Więc kiedy dowiedziałem się w miesiąc po przyjeździe do Berlina, że leży w szpitalu, poszedłem go odwiedzić. Leżał w małym pokoiku i wydawał się bardzo osamotniony i nieszczęśliwy. Z jego zachowania odniosłem wrażenie, że cierpi nie na coś organicznego, a na depresję. Rozmawialiśmy o nim, o jego sytuacji w Berlinie, o problemach z jakimi się borykał, o tym, w jaki sposób mógłbym mu pomóc. Miałem za sobą doświadczenie choroby w Berlinie. Początki były dla mnie bardzo trudne. Nie znałem niemieckiego, moja żona też nie, i mieliśmy troje dzieci, z których najstarsze miało pięć lat. Zamieszkaliśmy w ślicznym domu z dużym ogrodem. Byliśmy bardzo szczęśliwi. Był to jeden z nielicznych okresów w moim życiu, kiedy naprawdę mogłem spokojnie pracować.

Nie wydawało mi się, by Gombrowiczowi żyło się w Berlinie trudniej aniżeli pisarzowi francuskiemu. Oczywiście był sam, podczas gdy ja miałem rodzinę. Ale i ja, podobnie jak on, musiałem przeskoczyć potężną barierę. Lata młodości upłynęły mi w Paryżu pod okupacją niemiecką, co mnie bardzo naznaczyło. Mam dużo przyjaciół Niemców, lubię Niemcy, ale istnieje wciąż bardzo wiele rzeczy, na które jestem niezmiernie wyczulony. Mimo to zaproszenie do Berlina nie stanowiło dla mnie problemu politycznego. Było dla mnie całkowicie jasne, że zaprasza mnie Fundacja For-da. Utrzymywałem już bardzo bliskie stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, gdzie byłem w latach 1960 i 1962. Byłem też dostatecznie poinformowany, aby wiedzieć, że przyjęcie stypendium od amerykańskiej fundacji nie pociąga za sobą żadnej deklaracji lojalności politycznej. Chodziło o zareklamowanie Berlina Zachodniego wśród intelektualistów. Zwrócenie uwagi na Berlin Zachodni miało oczywiście *implicite* cele polityczne. Było to całkowicie

2. Gombrowicz dostał tę nagrodę, zwaną już wówczas Prix International des Editeurs, w roku 1967.

uzasadnione, skoro Berlin Zachodni istniał i działał się w nim rzeczy ważne. Fakt, że starano się przeciwstawiać polityce pewnych rządów, chcących spuścić na Berlin zasłonę, był najzupełniej normalny. Goście fundacji Forda byli artystami nowatorskimi o umysłowości otwartej na eksperymenty. Niemal wszyscy byli ludźmi lewicy. Nie stawiano nam absolutnie żadnych wymagań politycznych. Jeśli przedsięwzięcie reklamowe miało być skuteczne, należało absolutnie unikać kompromitacji uczestników. Ludzie z Fundacji Forda zorganizowali rzecz bardzo inteligentnie, pozostawiając nam absolutną swobodę. Jedynym wymogiem grzeczności było uczestniczenie raz w miesiącu w koktajlach organizowanych przez Fundację. Nie był to żaden wysiłek, miało się okazję spotkać trochę ludzi. Profesor Walter Höllerer³ organizował spotkania i konferencje, na których zapoznawaliśmy się z dorobkiem każdego z nas. Mimo, że nie umiałem mówić po niemiecku, zawarłem w ten sposób wiele przyjaźni. Jedynym naszym obowiązkiem było mieszkać w Berlinie. Mogliśmy zeń jednak wyjeżdżać. Obawialiśmy się trochę spędzenia roku w Berlinie, który był wyspą. Baliśmy się poczucia zamknięcia. Na szczęście Berlin jest miastem bardzo otwartym dzięki liczным jeziorom, parkom a nawet lasom. Mimo to mieliśmy naturalnie uczucie, że coś nas otacza, chociaż wyspa była dość rozległa, aby móc w niej oddychać, i połączona stałymi niemi ze światem zewnętrznym. Gombrowicz pozostał tam rok bez przerwy. Ja podróżowałem. Uważałem za swój obowiązek moralny skorzystać z pobytu w Berlinie, aby poznać się trochę z krajami socjalistycznymi. Pojechałem w owym berlińskim roku do Budapesztu i do Czechosłowacji, w okresie Praskiego Przedwiośnia. Był to okres pełen nadziei i wrzenia: uważałem też za swój obowiązek pojechać od czasu do czasu do Berlina Wschodniego, który był dobrym punktem obserwacyjnym, jeśli chodzi o Wschód. Przejście do Berlina Wschodniego było bardzo nieprzyjemne. Dopiero co postawiono mur. Atmosfera była bardzo napięta. Trzeba było zostawiać paszport przy wjeździe, odbierało się go wieczorem przy wyjeździe. Wspomnienia z okupacji oblegały mnie zwłaszcza w Berlinie Wschodnim, bo żołnierze enerdownscy mieli zupełnie takie same mundury co żołnierze, którzy maszerowali ulicami Paryża w latach mojej wczesnej młodości. Przechodząc na wschodnią stronę, byłem więc całkowicie sztywny z napięcia. Nigdy mnie nie atakowano politycznie za mój pobyt w Berlinie. Nikt nie

3. Pisarz niemiecki ur. 1922, profesor literatury niemieckiej na Uniwersytecie technicznym w Berlinie Zachodnim. Zorganizował Gombrowiczowi odczyt w Berlinie w lipcu 1963, który ten ostatni opisał w „Dzienniku” (*Journal Paris-Berlin*, str. 141).

mógł mieć pretensji do Gombrowicza, że gościł w Berlinie⁴. Jego książki zostały w Polsce zabronione na długo przed jego przyjazdem do Berlina. Stalinowcy mogli go atakować z tych samych powodów, dla których zakazali jego książek. Jego pobyt w Berlinie nie wnosił do sprawy niczego nowego.

Jego dominującą cechą była moim zdaniem polskość. Myślę, że był typowy dla Polski i jej problemów. Pozostał aktualny i lektura Gombrowicza jest bardzo przydatna dla zrozumienia Polski. W jego obrazie, jaki zachowałem w pamięci ważny jest też fakt, że był polskim emigrantem z Ameryki Południowej. Element transatlantycki był w nim bardzo ważny i głęboko mnie poruszał. Nigdy nie zaznałem emigracji, ale zawsze mnie prześladowała myśl o wygnaniu. W pewnych miejscach mówiłem sobie: „Gdyby się to nie dał Bóg miało zdarzyć, tu dałoby się żyć”. W tym sensie Argentyna była dlań odpowiednim miejscem. Jeśli w ogóle miejsce wygnania może być dobrze wybrane, to fakt, że znalazł się po drugiej stronie Atlantyku, za równoleżnikiem, był dla niego, Gombrowicza, dobry. Jego siłą było, że potrafił z tego wycisnąć coś równie pozytywnego.

Wypowiedzi zebrane w języku francuskim.

Nicea, 19 listopada 1984.

André Masson

Byliśmy umówieni i jeszcze w drzwiach oświadczył mi: „Nienawidzę malarstwa”. Odpowiedziałem: „Ja czasami też”. Fakt, że mu odpowiedziałem „ja też” rozbroił go. Po tym pierwszym starciu jego wrogość natychmiast się rozplynęła. Znał zresztą moje obrazy. Ponieważ mieszkał tuż koło Akademii⁵, gdzie miał wystawę, powiedział mi uprzejmie: „Przychodzi dużo ludzi, znacznie więcej niż do innych”. Zdaje mi się, że był z gruntu serdeczny, tylko jego pierwsze podejście było agresywne. Atakował, żeby się bronić. Od razu to wyczułem.

Nie rozmawialiśmy o malarstwie, tylko o literaturze. Znał już dobrze literaturę francuską. Pewnego dnia powiedział mi: „Jak oni mogą być tacy uroczy, to znaczy kiedy przestają być tacy straszni, robią się tacy uroczy”. To go najbardziej uderzało. Opowiedział mi losy swego dzieła. To straszna historia. Tworzy dzieło. Jedzie do Argentyny. Tam się dowiaduje, że dzieło jest

4. W czasie pobytu Gombrowicza w Berlinie rozpetano przeciwko niemu jesienią 1963 kampanię prasową.

5. Od początku listopada 1963 aż do końca pobytu w maju 1964 Gombrowicz mieszkał pod numerem 13 Bartningallee, na piętnastym piętrze budynku, stojącego naprzeciw Akademii Sztuk Pięknych.

skazane na niebyt. Potem znowu promyk nadziei, i znowu niebyt. Jak tylko przyjechał, został zaatakowany i skazany na niebyt. Opowiadał mi to bardzo szczegółowo. Był bardzo przejmujący. Lubiłem go. Był typowym emigrantem, człowiekiem, którego wygnano z miejsca, w którym żył. Takie sprawiał wrażenie.

Wypowiedzi zebrane w języku francuskim.

Paryż, 22 lipca 1984.

Rose Masson

Spotykaliśmy się zawsze u niego. Miał bardzo nowoczesne mieszkanie na wysokim piętrze. Nie lubił go. Był obrażony na wszystko. Wielu ludzi go odwiedzało. Ludzie byli dlań bardzo mili, nie był osamotniony. Sam się izolował. Na tym polegała jego dziecinność. Zanim się z nim zetknęliśmy, poznaliśmy jego sztuki. Nasz syn Diego skomponował muzykę do „Ślubu” w reżyserii Lavelliego⁶. Witold powiedział nam: „Nie lubię muzyki współczesnej”. Natychmiast odpowiedzieliśmy: „My też nie”. Na tym się skończyło, stał się dla nas bardzo miły. Nie przypominam sobie szczegółów, ale był bardzo naiwny, bardzo czysty. Ze mną rozmawiał przede wszystkim o swoim zdrowiu. Miał mały atak sercowy i bardzo się przestraszył. Zawsze chciał, abym mu opowiadała o bólach sercowych, bo cierpiałam na anginę pectoris. Kiedyś poprosił mnie, żebym przyszła bez męża (na szczęście nie mam drobnomieszczańskich przesądów). Odpowiedziałam mu: „Nie mam po co przychodzić sama, mąż Panu wszystko znacznie lepiej wytłumaczy niż ja”. „Nie, niech Pani przyjdzie sama, mam do Pani kilka pytań”. Wobec tego poszłam. Spędziłem u niego godzinę i cały czas mówił o chorobie. Chciał wiedzieć, czym się objawia, jak się zaczyna atak, jak przebiega. Mówiłam mu: „Niczego szczególnego się nie czuje. To nic strasznego. Nie zwracam na to szczególnej uwagi i dlatego dobrze się miewam”. Nie chciał o tym mówić przy André, żeby go nie niepokoić. Był bardzo niespokojny. Bał się choroby. Dla mnie był ucieśnieniem polskiego wygnańca, bo czuł się nieswojo. Był człowiekiem obolałym. Nie czuł się dobrze w Berlinie. Pozostał mi po nim w pamięci obraz człowieka bardzo dziecinnego. To mnie najbardziej uderzało.

Wypowiedzi zebrane w języku francuskim.

Paryż, 22 lipca 1984.

6. Spektakl ten zdobył pierwszą nagrodę na konkursie Młodych Zespołów Teatralnych w czerwcu 1963 w Paryżu. Wznowiono go w styczniu 1964 w teatrze Récamier.

Książki

Recydywa?

Mówi się często o analogiach między „okresem błędów i wypaczeń” a obecną sytuacją pisarzy i literatury w Kraju. Myśli te nasuwają np. rocznicowe bilanse „osiągnięć” w 40-leciu PRL-u i związane z nimi próby podsumowań dorobku na kolejnych etapach — w tym w interesującym mnie szczególnie „okresie minionym” (1949-1955).

W naszej pamięci okres ten łączy się ze zjazdem szczecińskim i jego złowróżbnymi decyzjami — z produkcyjniakami, gnębieniem i przemilczaniem pisarzy niepokornych, pisanem do szuflad, „cegłami” w księgarniach i ryczałtowym potępieniem literatury emigracyjnej. Po roku 1956 w euforii „odwilży” mówiło się (lekomyślnie, co tu ukrywać) że jest to zamknięty i niepowtarzalny rozdział, kompromitujący i ośmieszający nazwą „okresu minionego”. W ciągu dalszego 30-lecia krajowe oceny zmieniały się kilkakrotnie, ulegając zrezygnanym manewrom w zależności od koniunktury politycznej i dyrektyw Partii. Wymownym ich śladem było dyskretne eliminowanie z planów wydawniczych niedawnych przymusowych *best-seller*ów i zmiany w zestawach lektur szkolnych (już w latach siedemdziesiątych).

W okresie „Solidarności” spontanicznie podjęto rewizję oficjalnych ocen „okresu minionego” i stosunku do literatury emigracyjnej. Po sierpniu 1980 przyszedł jednak grudzień 1981. Po odważniejszych wypowiedziach, publikowanych jeszcze w 1983 r., występować zaczęły coraz wyraźniej zmiany kursu, przywołujące na myśl klimat poprzedzający zjazd szczeciński i jego słynne wskazania. Zmiany te staram się zilustrować na przykładach wypowiedzi prof. Mariana Stępnia (UJ)¹, Zbigniewa Kubikowskiego (ur. 1929, zm. 1984²) i Witolda Nawrockiego³.

1. *Historia literatury polskiej w zarysie*, t. II (Warszawa, PWN, 1983).

2. Rozdział pt. „Monopoetyka” w „Szklanym murze”, cyklu szkiców o prozie polskiej lat 1945-1980, opublikowanych we wrocławskiej *Odrze* w nrach 10-12, 1983.

W terminologii stosowanej w charakterystykach literatury lat 1949-1955 nastąpiły w ostatnim dziesięcioleciu znamienne i drastyczne zmiany. Klempererowskie⁴ rozważania o języku Trzeciej Rzeszy i ustrojów totalitarnych w ogóle mają tu szerokie zastosowanie. PRL-owski język ideologiczny nadłamał się w latach siedemdziesiątych, a załamał w sierpniu 1980, tak jak nazistowska LTI po upadku Hitlera. Przestał być jednym z narzędzi bezpośredniej propagandy, gdyż ogół dystansował się spontanicznie od narzucanej mu nomenklatury. Gdy nie dało się go unikać, stosowano broń odporną — ironię. Okres zwycięskiej „Solidarności” wykazał, że w ciągu kilku miesięcy język prasy i wypowiedzi publicznych rozjaśnił się i wyprostował, odrzucając nalot żargonu partyjnego z pełnią pogardy, na jaką zasługiwał. Nie na zawsze, niestety. Język „minionego okresu” odżywa obecnie w referatach, wywiadach, artykułach w *Trybunie Ludu*, *Rzeczpospolitej*, *Argumentach* i tym podobnej paszy objętościowej. Jako przykład służyć mogą referaty z niedawnej konferencji na temat „Literatura Polski Ludowej — oceny i prognozy” w wykonaniu Zbigniewa Safjana, Andrzeja Wasilewskiego i wspomnianego już wyżej Witolda Nawrockiego, rzecznika polityki kulturalnej w KC PZPR i dyrektora Instytutu Badań Literackich.

Literatura lat 1949-1955 w oczach Stępnia, Kubikowskiego i Nawrockiego

W tomie drugim Mariana Stępnia *Historii literatury polskiej w zarysie* obszerny rozdział „Literatura po 1939 roku” wypełnia omówienie zjawisk literackich w okresie wojny i „budowania po wojnie na ziemiach polskich nowego, sprawiedliwego, socjalistycznego” ładu. Autor dzieli lata 1939-1980 na pięć etapów: lata wojny, okres powojennego chaosu (1945-1948), okres stalinizacji, „czas odrzucania monopolistycznej poetyki realizmu socjalistycznego” (1956-1968, gdy „przebiegła fala protestu i żądania nowego ładu moralnego”, odczuta na różne sposoby na całym świecie, gdy „wchodziła w dojrzałe życie nowa generacja twórców urodzonych po wojnie”). Wreszcie okres piąty: 1968-1980, w którym, zdaniem Stępnia, weszły „w obieg czytelnicy dzieła autorów emigracyjnych”, otwierając możliwości „zacierania się granic między literaturą krajową a emigracyjną”.

W omówieniu lat 1949-1956 Stępień wyraża pogląd, że wydarzenia polityczne lat 1948-1949 „zahamowały wielokierunkowy i auten-

3. Referat pt. „Jutro literatury polskiej” wygłoszony podczas Ogólnopolskich Dni Literatury w Bydgoszczy w jesieni 1984, opublikowany w *Życiu Literackim* pt. „Krajobraz literatury” i w bydgoskich *Faktach* (pod tytułem zjazdowym) w początku 1985.

4. Victor Klemperer: *LTI*. Notatnik filologa (przekład polski wydany w roku 1983 przez Wyd. Literackie w Krakowie. *LTI* = *Lingua Tertii Imperii*).

tyczny rozwój literatury pierwszych lat powojennych”, odcięty PRL od Zachodu i narzucił pisarzom „wzory radzieckie”. „Procesy te — pisze (str. 209) — nazwane później stalinizmem, objęły — poza Jugosławią, która umiała stawiać im skuteczny opór — wszystkie europejskie kraje socjalistyczne”. Zjazd szczeciński narzucił pisarzom „realizm socjalistyczny” oznaczający m.in. „zwięźlenie możliwości wypowiedzi artystycznej oraz obciążenie jej funkcjami panegirycznymi względem osób i aktualnych decyzji ideowo-politycznych”. Domagano się „poniechania wątków tematycznych” takich jak „walki partyzanckie, martyrologia narodu podczas II wojny światowej” a nawet „analiza genealogii i aktualnej funkcji inteligencji” — zalecano natomiast podejmowanie tematyki konfliktów społecznych, wysiłku produkcyjnego, zaostżenia obrazu walki klasowej itp. Wątki te, zdaniem Stępnia, skwapliwie podjęli debiutanci. Szybko pojawiły się stereotypy pozytywnych i negatywnych bohaterów i „postaci wahających się, przechodzących korzystną ewolucję”. „Praktyka życia literackiego i istotne cechy ówczesnej estetyki redukowały literaturę do ilustrowania aktualnych cech politycznych”.

Zbigniew Kubikowski w „Szklanym murze” wychodził z założenia, że dzieła literackie istnieją i funkcjonują w określonym porządku historycznym, zderzają się z reakcjami odbiorców i określają wobec „jakichś potocznych mitów”. Oceniać je zatem należy w perspektywie trzech porządków: historycznego, etycznego i artystycznego. Przypomina, że w latach 1945-1948 „uważano za możliwy pluralizm stylów politycznych, postaw światopoglądowych, programów kulturalnych i zgodną współpracę ciężko doświadczonej Europy”. Interesującą określa „mity” owego wczesnego okresu powojennego: „mit klęski heroicznej” narodu „ponoszącego klęski, ale nie tracącego wiary w sprawiedliwość Historii”; „mit zdrady Europy” „w efekcie konsolacyjny”, impetujący wzrost długu Europy w stosunku do Polski w bliższej lub dalszej przyszłości; wreszcie dominujący na horyzoncie *mit nowego świata*, odbudowy, zaczynania od podstaw, słowem „mit oficjalny”, „produkt stanu świadomości historycznej lewicy”.

„Proklamacja nowej poetyki” na zjeździe szczecińskim „wsparta konsekwentną polityką kulturalną i ewolucją całej struktury życia politycznego” „miała charakter radykalny i konsekwentny”. „Podobnie jak w poprzednim okresie — pisze dalej — stan świadomości społecznej nie był zgodny z sytuacją historyczną”. Zawile to powiedziane, ale można doszukać się w tym sensu. Ową poetykę — *monopoetykę* — stał się — czego Kubikowski nie dopowiada — realizm socjalistyczny. Oficjalnie lansowano nowy mit obiegowy: *mit wszechobejmującego awansu*, podsuwający nowe modele życia i możliwości pomyślnego startu od zera. Z kart powieści wyłaniały się „obrazy spokojnej, sytej stabilizacji według skromnego wzoru mieszczańskiego w świecie pozbawionym istotnych konfliktów i trudności, wypełnionym ludźmi żyjącymi identycznie i przez to wzajemnie sobie życzliwymi (...)”. Zagrożenie oczywiście istniało, należało być czujnym, ale zagrożenie

nie było zewnętrzne, trudności spowodowane przez wrogów i sabotażystów (...) literatura ta nie miała nawet waloru propagandowego. Właściwie nie istniała w ogóle, była bębniem czarownika".

Iluzjom stabilizacji i zalet życia podporządkowanego „świadomej woli budowniczych jutra” przeciwstawił się zespół „treści wygnanych”: „tragiczne namiętności”, „ludzkie tragedie i upadki”. Wymowną „reakcją na lukrowe stereotypy polskiego socrealizmu” stała się powieść Leopolda Tyrmanda *Zły*, określona przez Kubikowskiego jako „katalog 'antymitów'”. „Rzecz charakterystyczna — dowodzi — że książka, która starała się ukazać jakby odwrotność świata zbudowanego przez prozę wczesnych lat pięćdziesiątych, właśnie *Zły*, została świadomie skonstruowana według kanonu klasycznych wątków i wzorców literatury popularnej, przede wszystkim właśnie romansu popularnego”.

Okazało się — konkluduje Kubikowski po scharakteryzowaniu głównych pozycji piśmiennictwa realizmu socjalistycznego — „że w porządku etycznym funkcjonowania literatury szalenie trudno jest manipulować. Stosunek do jednostki, do indywidualności ludzkiej, jest przyrodzoną, naturalną cechą pisarza. Nie można go zmieniać jak krawat. A kiedy czyni się to na siłę, rysuje się i wali cała konstrukcja. Okres monopoetycki nie wydał żadnej książki, która choćby przez chwilę żyła w świadomości czytelnicej. Może poza *Pokoleniem* Bohdana Czeszki czy *Pamiętką z Celulozy* Igora Newerlego, ale nie były to przecież powieści współczesne. Nic tej kilkuletniej luki nie zapełnia. Nawet literatura emigracyjna”⁵.

Diametralnie różny punkt widzenia reprezentuje Witold Nawrocki, który wypłynął na szersze wody w okresie stanu wojennego, a obecnie jest rzecznikiem Partii w sprawach literatury. Znany był dotąd w wąskim kręgu jako biograf działaczy śląskich i badacz recepcji czeskiej i słowackiej literatury pięknej w Polsce. Obecnie skwapliwie zatrudnia go *Trybuna Ludu* i tygodniki literackie reprezentujące politykę kulturalną PRL-u. Jego najbardziej znanym wyczynem jest referat wygłoszony na Ogólnopolskich Dniach Literatury w Bydgoszczy pt. „Jutro literatury polskiej”. Rozpoczyna go „rozpoznanie teraźniejszości” i ocena czterdziestolecia. Nie było ono, jak się często mawia, „pustynią kulturalną”, gdyż socjalizm doceniał prestiż pisarzy, otaczał ich opie-

5. I tu, odchodząc od głównego tematu artykułu, wyjaśnić trzeba, że Kubikowskiemu chodzi o różnice tematyki. Uważa, że proza polska na emigracji „żyła jeszcze wojną i jej konsekwencjami. Książki Tadeusza Nowakowskiego (...) pozostając w kręgu dipisowskich obozów i wojny, były bliskie prozie Tadeusza Borowskiego w rzeczowym opisie świata pozbawionego kultury, nie znającego imponderabiliów. Wciąż powraca doświadczenie wojenne Polaków, którzy znaleźli się w Związku Radzieckim. Od najwybitniejszej realizacji tematu, *Innego świata* Herlinga-Grudzińskiego poprzez powieści, opowiadania i wspomnienia Marii Danilewiczowej, Stefani Zahorskiej, Herminii Naglerowej, Beaty Obertyńskiej, Wacława Grubińskiego, po prozę Pawła Mayewskiego czy Mariana Czuchnowskiego” (*Odra*, 1983, nr 10, str. 47).

ką państwową, popierał dopływ twórców z awansu społecznego i popularyzował czytelnictwo przez „zniesienie klasowych barier w dostępie do kultury” i „wyposażenie mas w wykształcenie”. Po „zlikwidowaniu dawnej roli Wilna i Lwowa” powstała „nowa geografia życia literackiego” rozkwitającego w atmosferze „preferencji ideologicznej” dla sztuki „zaangażowanej po stronie rewolucji socjalistycznej”, „pomocnej” w „dziele przeorientowania świadomości człowieka w sposób ułatwiający mu akceptację socjalistycznych przeobrażeń ustrojowych kraju”.

„Dojrzewanie” do akceptacji programu realizmu socjalistycznego trwały cztery lata (1944-1948), w których dziesięcioletniemu wówczas Nawrockiemu (ur. 1934) szczególnie ważny wydał się konflikt dwu orientacji: *Kuźnicy* i *Tyg. Powszechnego* o „laicki czy fideistyczny charakter literatury”. Akceptacja socrealizmu wymagała „pewnych ofiar” ze strony artystów „na rzecz realizacji programu przekształcania świadomości odbiorców według aksjologii socjalizmu”. Rejestr „ofiar” jest zresztą długi. Figuruje w nich m.in. „ograniczenie kontaktu literatury z niektórymi obszarami (np. barok, część literatury romantycznej, modernistycznej)”, co — jak wiemy — równało się zakazowi przedruków Krasieńskiego, Norwida, Wyspiańskiego itd.

W dalszych rozważaniach Nawrockiego dopatrzyć się można intencji do osobliwych zestawień nazwisk. Tak np. w wyliczeniu pozycji wartościowych okresu 1949-1955 Putrament i Żukrowski sąsiadują z Dąbrowską, bynajmniej dla tego okresu nie reprezentatywną. Ale — jak pisze Nawrocki — o latach stalinizmu „nie może i nie powinna decydować pamięć o „Wiosnie sześciolatki”, o „Traktorach, które zdobędą wiosnę”, o lirycie agitacyjnej Wiktora Woroszyńskiego czy krytyce Grzegorza Lasoty”. Pytanie: czy są to zmory lektur szkolnych czy *tonkij namjok*?

Najważniejszą częścią wywodów Nawrockiego jest ocena „dnia dzisiejszego i przyszłości”. Prognoza wypada pesymistycznie, czemu winna jest opozycja i sojusz zawarty przez nią z Kościołem. Pewną rolę odegrały też takie czynniki w okresie całego 40-lecia, jak „specyficzny nieład”, „nieprzejrzysta i skażona natura społeczna”, rozproszenie sił, kontestacje, kompromisy itd. W sytuacji, której początkiem jest sierpień 1980, Nawrocki dostrzega „zmiany treści składających się na świadomość narodu”, a mianowicie: 1) „wzmoczenie nastrojów antysocjalistycznych”, 2) „otwarty atak na Partię, komunizm, sojusze decydujące o miejscu Polski w obozie socjalistycznym oraz stanowiące o jego zwartości”, 3) „wzrost nastrojów religijnych i różnego rodzaju taktycznych związków z Kościołem”, 4) „utrudnienie procesu formowania i realizacji pozytywnego programu odnowy, z jakim wystąpiła Partia na IX Zjeździe w odniesieniu do całości życia społeczno-gospodarczego i dążenie do realizacji koncepcji budowy alternatywnego społeczeństwa, w tym także alternatywnej kultury”. Z bólem serca stwierdza, że opozycja „zdołała wywołać efekt znacznej dezorientacji wśród członków partii”.

Nawrocki nawołuje do energicznego przeciwstawienia się literaturze opozycyjnej „przez pogłębienie odwagi poznawczej, rozszerzenie i zobiektywizowanie oglądu zjawisk społecznych oraz doświadczeń jednostkowych” bez unikania „problemów trudnych”. I tu pochwały pod adresem pisarzy, których utwory cechuje orientacja prosocjalistyczna, a więc: Bratnego, Zbigniewa Żafuskiego, Tadeusza Siejaka, W.L. Terleckiego, Wiesława Myśliwskiego, Jerzego Adamskiego, Jerzego Urbana i innych”. Jako przykłady liberalnego traktowania książek mówiących o „niejasnych lub usuniętych w cień problemach historii” daje „Mieszaniny” Kuśniewicza oraz „syberyjskie” — jak je nazywa — powieści Jerzego Krzysztonia o przeżyciach autora i jego rodziny na zesłaniu w ZSSR.

W sposób zdecydowanie niejasny oświadcza, iż należy „rozszerzyć prawo literatury, publicystyki i eseistyki do podejmowania istotnych sporów o sprawy dawne i współczesne, polemik z przeciwnikami, którzy przywykli do komfortu nietykalności a również i do tego, iż miarą ich trosk odmierzano stosunek do literatury oraz ze względu na nich łagodzone działania represyjne wobec tekstów literackich”. Uważa, iż wskazane jest „dokonanie wyrazistego podziału środowiska pisarskiego” na „prosocjalistyczną większość” (w nowym ZLP), nijakich, nie będących członkami ZLP, ale „akceptujących socjalistyczny model kultury” i „zdecydowanie opozycyjną, mniejszościową grupę”, w „ekstremalnym wariacie” prosolidarnościową, która „wprowadziła znaczną część (ZLP) w antypaństwowe środowisko ideologiczne”. W obecnym stanie rzeczy pisarzy dzielią opcje polityczne.

Nawrocki omawia następnie szeroko zmięniętą pozycję pisarza w społeczeństwie. Nie wiąże się ona „z jakością dorobku twórczego”, ale opowiedzeniem się po stronie opozycji. Uważa, że „wielkim wysiłkiem propagandowym zachodnich rozgłośni dywersyjnych, pism i czasopism zagranicznych oraz podziemnych, fundacji zagranicznych (np. Jurzykowskiego, ostatnio Vincenców (sic!) i innych” pisarze opozycyjni „zaczynają istnieć i znaczyć w zdezorientowanej i wymanipulowanej opinii publicznej w kraju”. I tu Nawrocki popełnił gafę, przypominającą notatkę reporterską w przedwojennym dzienniku warszawskim, opisującą ze zgorzaniem dyskretny lokal „publiczny” mieszczący się na Wilczej czy Nowogrodzkiej, numer taki a taki, „II p. na lewo, trzy razy dzwonić”. Wyliczył bowiem starannie dane bibliograficzne, dotyczące szeregu książek niesłusznie jego zdaniem uznanych za wybitne. Są to *Miesiące* Kazimierza Brandysa, *Raporty o stanie wojennym* i *Notatki z codzienności* Marka Nowakowskiego, *Rozmowy polskie latem 1983* J. M. Rymkiewicza, *The Polish Ordeal* Andrzeja Szczypiorskiego, *Polska państwo w cieniu ZSRR* Adama Zagajewskiego, artykuły Agnieszki Holland w nrze styczniowym i lutym 1984 „skądinąd poważnego pisma *Critique*”, artykuł Marcina Króla pt. „Dylematy liberalizmu” (*Aneks* nr 34, 1984). Analogicznym potępieniem objęci są wydawcy z Instytutem Literackim w Paryżu na czele — a także „Puls”, Polish Institute of

Arts and Sciences oraz „wydawnictwa uniwersytetów amerykańskich, np. w Berkeley” (bez bliższego sprecyzowania). Gromy padają także na pisarzy biorących udział w „tygodniach kultury chrześcijańskiej”, krakowskich „żywych gazetach”. Krytyce, jego zdaniem, podlegać mogą „tylko dzieła istniejące społecznie, a więc w powszechnie czytelniczo dostępnym obiegu”, gdzie opinie o książkach mogą być weryfikowane. „W rzeczy samej Szczępiorscy, Leopolicy, Zagajewscy, Rymkiewicz jako społeczne fakty (...) nie istnieją. I jest obrzydliwą manipulacją przeciwstawianie ich pisarzom miary Czeszki, Bratnego, Auderskiej, Koźniewskiego, Parnickiego, Terleckiego i innych, których twórczość podlega bezustannej czytelniczej i krytycznej weryfikacji, istnieje i rozszerza swe znaczenie bez systemu politycznych wsparć i protekcji”. Wykazując chwalebna ostrożność, powstrzymuje się od kondemnacji powiastań „stosunkowo licznych grup pisarskich z Kościołem”, gdyż — jak pisze — „trzeba poczekać na fakty literackie, na nowe wiersze, prozę, eseje konwertytów”. Jedynym światłem w mrokach teraźniejszości jest dla Nawrockiego wzrost zainteresowania literaturami „wspólnoty socjalistycznej”; zbiega się on ze świeżymi wrażeniami z księgarń — przekłady utworów reprezentujących ową wspólnotę pełnią rolę atrap, wypełniając puste półki, nie znajdując amatorów.

Nawrocki dostrzega wiele zmian „w komunikacji literackiej” (w wyniku wydarzeń ostatniego 4-lecia). Uważa, że głód dobrej książki trwa i że wzrosło zainteresowanie „ambitną literaturą podejmującą nowe problemy poznawcze i artystyczne”. „Mecenat państwowy” — twierdzi — zapewnia wypowiedziom pisarzy „nieoskrępowane i wolne warunki rozwoju oraz eksperymentowanie formalne”. W jawnej sprzeczności ze wspomnianą wyżej „bezustanną czytelniczą i krytyczną weryfikacją” stoją narzekania na „nieobecność czy — sprawiedliwiej — atrofię” krytyki literackiej⁶. Sądzi, iż należy wyciągać wnioski z „preferencji dla gatunków i form literackich, takich jak esej, reportaż, dziennik, biografia” itd. — nie przychodzi mu jednak do głowy, że, sięgnawszy do literatury emigracyjnej, można by błyskawicznie dział ten rozbudować i ożywić.

Stosunek Nawrockiego do literatury emigracyjnej jest wysoce skomplikowany. „Polityka kulturalna” (co w tym kontekście równa się, z racji zajmowanego stanowiska w KC, własnej jego opinii) odrzucając tezę o jedności literatury krajowej i emigracyjnej (...) rozstrzygnęła wieloletnie obiekcje i oddaliła równie

6. Są jednak wyjątki od tej reguły. Tak np. w nrze 12 *Nowych Książek*, 1984, str. 45 ukazała się bardzo rzeczowa i żywo napisana recenzja książki Witolda Nawrockiego i Tadeusza Siernego pt. *Czeska i słowacka literatura piękna w Polsce w latach 1945-1980* (Katowice, Śląsk, 1983), wykaratając że jest to książka dublująca w głównym zrebie *Bibliografii literatury tłumaczonej na język polski* (Czytelnik) a jedyną jej — i to pośrednio tłumaczonej — zaletą jest ujawnienie braków w doborze tekstów do tłumaczeń; wyrażoną — zaletą jest ujawnienie braków w doborze tekstów do tłumaczeń; „zbyt słabo też znamy, zdaniem autora (tj. Nawrockiego) dramaturgię twórczość Milana Kundery, Pavla Landovskiego i innych”.

Manna (za „Czarodziejską Górę”, „Doktora Faustusa” i „Tonia Krögera”) oraz — zapewne jako prezes Związku Literatów Polskich — „Syzyfowe prace” i „Wesele”. Nowakowski: „Pana Tadeusza”, „Madame Bovary”, Dostojewskiego („Zbrodnia i kara” i „Biesy”), „Dżumę” Camusa, „Dołę człowieczą” André Malraux.

Warto dodać, że na 165 wybranych książek Dostojewski wymieniony jest 18 razy (pierwsze miejsce), w tym przez trzech Polaków, Mann 4 razy (w tym przez troje Polaków).

Wybór Gombrowicza jest zapewne częściowo podyktowany chęcią przedstawienia się niemieckim czytelnikom w chwili, gdy zaczynają ukazywać się tam jego książki. Dostojewski, Mann, Nietzsche — to jego ulubieńcy, ale również okazja do naszkicowania autoportretu. „Króla Ubu” ceniał wysoko — tu jednak służy mu za odskocznik dla „Ferdydurke”. Wiemy ze szkicu Russovicha, że „Dziennik” Gide’a czytał z zainteresowaniem i irytacją: figuruje tu po to, by móc wspomnieć o własnym „Dzienniku”.

Ciekawy jest ukłon złożony na wstępie z dalekiej Argentyny Berlinowi, dokąd zostanie trzy lata później zaproszony.

Fotokopię ankiety zawdzięcza Tadeuszowi Nowakowskiemu.

Prawdę mówiąc, nie lubię brać udziału w ankietach i zapewne bym nie odpowiedział, gdyby ta ankieta nie nadeszła z Berlina, który zajmuje dziś wyjątkowe miejsce w naszym świecie — między Wschodem i Zachodem.

Mój wybór wynika z mego ustawienia na światowej mapie literackiej. Tkwią tam, gdzie toczy się walka w obronie „Ja”, gdzie owo „Ja” chce się utwierdzić, zaostriżyć, osiągnąć nieśmiertelność.

1. *Dostojewski*. Nie jest mi bliski osobiście; mój świat, moja forma, moje stanowisko znajdują się gdzie indziej. Pozornie nie mam z nim wiele wspólnego — a jednak jestem poniekąd z niego (jak niemal wszyscy dzisiaj) w sensie dążenia do skrajności w człowieku, doprowadzenia najdalej jego możliwości. A więc: „Bracia Karamazow”.

2. *Nietzsche*. Nieraz irytowała mnie śmieszność jego nadczłowieka. Nie podzielam jego poglądów. A jednak zawdzięcza mu — podobnie jak Dostojewskiemu — najdalej posuniętą ostrość widzenia, a również — dodam — nieodpartą osobistą dumę. A to bardzo potrzebne w naszych czasach, gdy nieunikniony przyrost ludności, podobnie jak każda inflacja, dewaluje jednostkę. A więc: „Radosna wiedza”.

3. *Tomasz Mann*. Jedyny współczesny pisarz, którego chciałbym pocałować w rękę. Żaden inny nie wdążył się tak głęboko w moje własne najtajniejsze okoliczności, z tak trafną wiedzą

o tym, co na mnie ciąży, żaden inny nie potrafił lepiej się dostosować do każdej zmiany mego usposobienia. To nieważne, że w sensie dzisiejszych prądów stanowi on raczej wspaniałą afirmację przeszłej epoki — sądzę, że w jego anachronizmach, nawet formalnych, świetna organizacja duchowa jest bardziej wartościowa niż dzisiejsza myśl i ton dzisiejszej literatury. Ale nie bardzo wiem, które z jego dzieł wybrać, gdyż żadne nie jest całkiem udane. A więc chyba: „Czarnodziejska Góra”.

4. *Alfred Jarry*, „Król Ubu”. To mój osobisty smak, a nawet kaprys zrozumiały tylko dla tych, którzy będą mieć sposobność zajrzeć do moich książek, publikowanych właśnie teraz w Niemczech. Nie będę się starał komuś, kto nie zna mego „Ferdydurke” wyjaśniać, dlaczego wybieram to „dzieło”, napisane przez siedemnastoletniego żółtodzioba pod szkolną ławą — utwór dziecinny, bezczelny, arogancki, nacechowany genialną „lekkocią”, a również niesamowitym wtajemniczeniem w sedno GLUPOTY.

5. *André Gide*: „Le journal”. Bo ja właśnie też piszę dziennik... a Gide był jedyny, który zabrał się z najwyższą powagą do tej formy, tak egzystencjalnej i tyle obejmującej, że zapewne zwycięży współczesne opowiadania.

Jak widzicie: żadne Prousty, żadne Joyce’y, żadne Kafki — ani nic z tego, co narodziło się ostatnio. Powołuję się na wcześniejszych pisarzy, gdyż miara człowieka była u nich wyższa.

Witold GOMBROWICZ

(Przedstawił i z niemieckiego tłumaczył K. A. JELENSKI)

Nadesłane nowości wydawnicze

Nowo-mowa. Materiały z sesji naukowej poświęconej problemom współczesnego języka polskiego, odbytej na Uniwersytecie Jagiellońskim w dniach 16 i 17 stycznia 1981. Str. 188 i 4 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1985).

Sprawy polskie w perspektywie światowej. Opr. zbiorowe pod redakcją A. Gelli. Str. 232. (Wyd. Veritas, Londyn 1985).

ZINOWIEW (Aleksander). Homo sovieticus. Przeł. St. Deja. Str. 173 i 1 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1984).

BLUM (Aleksander). Moja zimna wojna. Wspomnienia emigracyjne. Str. 352. (Wyd. nakładem kolegów b. żołnierzy, ich rodzin, przyjaciół i subskrybentów, Londyn 1984).

SMIEJA (Florian). Jeszcze wiersze. Str. 31 i 1 nlb. (Wyd. Silcan House, London, Canada, 1984).

- KOWALIK (Jan). *U drzwi Twoich*. Wiersze. Str. 61 i 3 nlb. (Wyd. Editions Polemika, Paryż).
- RAINA (Peter). *Kościół w Polsce 1981-1984*. Str. 327 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1985).
- SW. TOMASZ Z AKWINU. *Suma teologiczna*, t. 30: *Sakrament Pokuty II*. (Suppl. 1-28). Przeł. i objaśnieniami opatrzył o. W. F. Bednarski, OP. Str. 295 i 3 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1985).
- KACZMARESKI (Jacek). *Horoskop*. Wiersze. Str. nlb. (Wyd. nie podane).
- SAJEWICZ (Jan, ks. OMI). *Głos mają sieroty. Życie i działalność wielkiego opiekuna sierot, ks. prałata Henryka Antoniego Szumana, proboszcza starogardzkiego, zamordowanego w Fordonie w 1939 r.* Str. 127 i 13 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1985, cena £5).
- NOWAK (Lucjan). *Brak albo nadmiar czyli alfabet wszechświata lub genetyka w układzie chromosomu X. Opracowanie teleradiotezyjne*. Str. 28 + tablice anatomiczne. (Wyd. Londyn 1985).
- GRADOSIELSKI (Jerzy). *5-ta K.D.P. Saperzy w walce 1941-1945*. Str. 48 i 2 nlb. Liczne fotografie. (Wyd. OPiM, Londyn 1984).
- ROLLET (Henry). *La Pologne au XX^e siècle*. Przedmowa Jean Lalo. Str. 603 i 1 nlb. (Wyd. Editions A. Pedone, Paryż 1984).
- BRANDYS (Kazimierz). *Carnets de Varsovie, 1978-1981*. Przeł. Thérèse Douchy. Str. 285 i 9 nlb. (Wyd. Gallimard, Paryż 1985, cena F. 59).
- SELUCKY (Radoslav). *Le dilemme actuel de l'intégration entre l'URSS et l'Europe de l'Est*. Str. 27 i 1 nlb. (Wyd. Index, Kolonia RFN, w ramach *Projet de recherche „Les crises des systèmes de type soviétique”* studium nr 7).
- SIKORSKA (Grażyna). *A Martyr for the Truth Jerzy Popiełuszko*. Str. 134. (Wyd. Collins Fount Paperbacks, Londyn 1985).
- „Tears, Blood and Cries”. *Human Rights in Afghanistan Since the Invasion 1979-1984*. A Helsinki Watch Report, December 1984. Str. 210 i 4 nlb. (Wyd. Helsinki Watch, Nowy Jork - Waszyngton 1984).
- DZIEWANOWSKI (M. K.). *A History of Soviet Russia*. Wyd. II. Str. 406. (Wyd. Prentice-Hall, Englewood Cliffs, New Jersey USA).
- STRUMINSKY (Bohdan A.). *Pseudo-Meleško. A Ukrainian Apocryphal Parliamentary Speech of 1615-1618*. Str. 168. (Wyd. Harvard University Press, Cambridge MA, cena \$ US 21, 95).
- From Kievan Rus' to Modern Ukraine: Formation of the Ukrainian Nation*. Str. 36. (Wyd. Harvard University, Ukrainian Studies Fund, Cambridge MA).
- The International History Review*, vol. VII, nr 1, luty 1985. Zawiera m.in. WANDYCZ (Piotr S.): *Poland and Russia: The Perennial Question*; ZAWADZKI (W. H.): *Russia and the Re-opening of the Polish Question 1801-1814*; BERRY (Robert A.): *Czartoryski's Hôtel Lambert and the Great Powers in the Balkans 1832-1848*; LUNDGREEN-NIELSEN (Kay): *The Mayor Thesis Reconsidered: The Poles and the Paris Peace Conference 1919*; BLANK (Stephen): *Soviet Nationality Policy and Soviet Foreign Policy: The Polish Case 1917-1921*; CIENCIALA (Anna M.): *The Activities of Polish Communists as a Source for Stalin's Policy towards Poland in the Second World War*; BEAUVOIS (Daniel): *The Polish National Idea*.
- KRZYŻANIAK (Marian). *The Dynamic Incidence of the Levy of Income, Government Expenditures Wasteful*. (Nadbitka z *Public Finance* vol. XXXVIII, nr 3/1984, str. 339-361).
- LERSKI (George J.). *Polish Prince of the Church in South Asia*. (Nadbitka z *The Polish Review* vol. XXIX, nr 4/1984, str. 57-69).

- BRUS (W.), KENDE (P.), MLYNAR (Z.). *The Soviet Systems after Brezhnev*. (Wyd. Index, Kolonia RFN w serii Research Project „Crises in Soviet-type Systems”, studium nr 5).
- Human Rights Violations in the Polish People's Republic, January 1984 - January 1985, with Particular Reference to Human Rights Violations Following the Amnesty Act of July 22, 1984. A Report Prepared by the Committee in Support of Solidarity*, Nowy Jork. (Wyd. Committee in Support of Solidarity, Nowy Jork 1985).
- MORAWSKI (Dominik). *La questione afgana vista dall'opinione indipendente est-europea*. (Nadbitka z *Affari Esteri*, r. XVII, nr 65, zima 1985).
- HERBERT (Zbigniew). *Bericht aus einer belagerten Stadt und andere Gedichte*. Przeł. Oskar Jan Tauschinski. Str. 92 i 6 nlb. (Wyd. Suhrkamp Verlag, Frankfurt n. Menem RFA).
- Fünf Jahre Deutsches Polen-Institut. Arbeitsbericht 1980-1984*. Str. 183 i 1 nlb. (Wyd. Deutsches Polen-Institut, Darmstadt RFN).
- KUNSTMANN (H.). *Über die Herkunft der Polen vom Balkan*. (Nadbitka z *Die Welt der Slaven*, r. XXIX, nr VIII/2, str. 295-329, wyd. Verlag Otto Sagner, Monachium 1984).
- SAVLI (Jozko). *Veneti, nasi davni predniki?* Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. Dunaj, Wiedeń 1985).
- Widnowa* nr 2, zima 1984/1985. Str. 280. (Wyd. Wydawnictwo „Widnowa”, Monachium RFN).
- TARNAWSKI (Ostap). *Sotnia soneti*. Str. 100 i 8 nlb. (Wyd. „Słowo”, Filadelfia-Toronto 1984).

Niedawno ukazało się dzieło znanego znawcy spraw wschodnio- i środkowo-europejskich

WIKTORA SUKIENNICKIEGO

pod tytułem:

„EAST CENTRAL EUROPE DURING THE WORLD WAR I: FROM FOREIGN DOMINATION TO NATIONAL INDEPENDANCE”

w dwóch tomach, stron 1.228 nakładem „East European Monographs”, Columbia University Press.

Wydawnictwo poprzedza przedmowa laureata nagrody Nobla, Czesława Miłosza, opracowanie redakcyjne Macieja Siekierskiego. Publikacja ukazała się przede wszystkim na rynku amerykańskim. Dopiero teraz doszło do naszej wiadomości, że może być zakupiona w Europie w firmie:

**„University Presses of Columbia & Princeton
15 A Epsom Road, Guilford, Surrey, GU1 3JT, England.**

Cena wynosi za całość \$ 78, z możliwością uzyskania dyskonta.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

22-1-85

Bezpośrednio po wojnie było w Polsce 15 tys. greckich uchodźców politycznych, skupionych w Związku Uchodźców Politycznych z Grecji. W związku ze zmianą sytuacji politycznej w Grecji większość wróciła do kraju i obecnie w Polsce przebywa ich tylko 5 tys. Zrzeszeni są w Stowarzyszeniu Greków w Polsce.

8-3-85

Coraz bardziej zacieśnia się współpraca naukowa PRL z ZSSR. Obecnie w ZSSR studiuje 4.691 polskich studentów, a dysertacje naukowe przygotowuje 530 specjalistów. Od 1946 roku wykształcono w uczelniach sowieckich 15.240 osób, z których ponad 1.000 uzyskało stopnie naukowe.

21-3-85

Zmarł w Warszawie w wieku 84 lat Stanisław Rembek, wybitny pisarz, m.in. autor książki „W polu”, która ukazała się w 1937 roku. Jest to najlepsza książka na temat wojny polsko- sowieckiej 1920 roku (w 1958 roku została wznowiona przez Instytut Literacki w Bibliotece Kultury). Po wojnie ukazały się w Polsce, w wydawnictwie PAX, dwie książki Rembeka: „Wyrok na Franciszka Kłosa” i „Ballada o wzdardliwym wisielcu”.

31-3-85

Zostali zaaresztowani pracownicy katolickiego dwutygodnika *Postanec Warmiński*, wydawanego przez Kurie Warmińską. Są to pp. Bogdan Kurowski, Ryszard Kułakowski i Józef Lubieniecki (m.in. sekretarz redakcji oraz radca prawny redakcji i samej Kurii). ■ Przedstawiciele 30 polonijnych biur podróży z Europy Zachodniej i z USA, którzy ostatnio przebywali w Warszawie, stwierdzili że Polska jest jednym z najdroższych krajów europejskich, jeśli chodzi o cennik usług turystycznych dla turysty dewizowego. Jakość tych usług oceniono bardzo krytycznie. ■ *Trybuna Ludu* informuje, że lotem do Wiednia zainaugurowano stałe połączenie powietrzne Krakowa ze stolicą Austrii. Przy tej okazji organ partyjny przypomina, że „stało się to niemal w 60 lat po zorganizowaniu pierwszej regularnej linii Kraków-Wiedeń”. Prawda, ale niepełna. Przed 60 laty samoloty (austriackich linii lotniczych) kursowały na linii Wiedeń-Kraków-Lwów i w/v. *Polskie Linie Lotnicze „LOT”* założono kilka lat później, w 1929 roku.

7-4-85

Ks. Tadeusz Zalewski z Krakowa był torturowany przez „nieznanych sprawców” — na jego dłoniach, klatce piersiowej i twarzy stwierdzono ślady oparzeń drugiego stopnia. Ks. Zalewski został zaatakowany w niedzielę Wielkanocną, gdy po skończonej mszy św. wracał do domu. Napastnicy pobili go i przypalali papierosami. Kardynał Franciszek Macharski, arcybiskup Krakowa, wystosował do władz PRL list, domagając się wszczęcia w tej sprawie śledztwa, zwłaszcza że nie tak dawno podobnego ataku dokonano na przebywającego w Krakowie Frédérica Castaing, obywatela francuskiego.

8-4-85

Stocznię w Buenos Aires opuścił najnowszy statek Polskiej Żeglugi Morskiej — MS *Pomorze Zachodnie*. Jest to już piąty z serii nowoczesnych masowców, budowany w Argentynie dla armatora szwajcarskiego. Czyżby polskie stocznie budowały statki wyłącznie dla Związku Sowieckiego?

11-4-85

Kommunist, teoretyczny organ Komitetu Centralnego KPZS, gratuluje Polsce rozwiązania jej wewnętrznych trudności. „Ten kraj odnalazł wreszcie Lenina i jego nauki”. Dowodem tego jest drugie wydanie „Dzieł zebrałych” Lenina w języku polskim.

14-4-85

Zatrzymano w Warszawie Czesława Bieleckiego, organizatora wydawnictwa CDN, wybitnego publicystę używającego pseudonimu Maciej Poleski. CDN (Ciąg Dalszy Nastąpi) powstał w styczniu 1982 roku. Do końca 1984 roku CDN wydał 37 książek i broszur w ogólnym nakładzie 125 tys. egzemplarzy, dwie teki zdjęć oraz 7 kaset. ■ *Tygodnik wojenny* uległ reorganizacji. Po numerze 105, który ukazał się ostatnio, będzie ukazywał się pod nową nazwą — zapewne *Samorządność*. Jednocześnie Biblioteka *Tygodnika wojennego* została wydzielona jako osobne wydawnictwo. Paweł Gajowniczek nadal zachowuje wyłączne przedstawicielstwo na Zachodzie w zakresie praw autorskich zarówno *Tygodnika wojennego*, jak i nowego wydawnictwa. Adres: Paweł Gajowniczek, Lindebergasen 32 B, N 1068 Oslo 10 — Norwegia.

15-4-85

Władze PRL odmówiły postawienia pomnika ks. Popiełuszki w miejscu Jego porwania na drodze między Bydgoszczą a Toruniem. Pomnik ten zamierzał postawić specjalnie utworzony Komitet. Motywacja: „Proces w Toruniu wykazał, że osoba tego księdza nie zasługuje na tego rodzaju wyróżnienie”.

ZACHÓD — EMIGRACJA

10-3-85

Zmarł w Honfleur (Francja) w wieku 85 lat Edmund Ernest Kosmowski, wybitny malarz i grafik.

15-3-85

Zmarł w Monachium w wieku 65 lat Zygmunt Jabłoński, literat i teatrolog. Pracował w *Dzienniku Polskim* w Londynie oraz w Radiu Wolna Europa. ■ Komitet literatów i uczonych brytyjskich przyznał Adamowi Czerniawskiemu międzynarodowe stypendium twórcze w Hawthornden Castle w Szkocji. Hawthornden był niegdyś własnością poety szkockiego Williama Drummonda (1585-1649), który urządził tam spotkania literackie z uczestnictwem sławnych współczesnych.

20-3-85

Józef Lubański, zamieszkały w Sutter Creek (USA), został odznaczony przez Rząd Polski na Wygnaniu srebrnym Krzyżem Zasługi. P. Lubański przez szereg lat wydawał własnym kosztem biuletyn w języku angielskim *Fragments*, poświęcony propagowaniu spraw polskich wśród Amerykanów.

22-3-85

Zmarł w Londynie w wieku 90 lat Stefan Mękarski, publicysta i działacz polityczny. ■ Zmarł w Lailly-en-Val (Francja) w wieku 74 lata Tadeusz Parczewski, b. pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych R.P., działacz społeczny.

23-3-85

Na zjeździe Skarbu Narodowego w Wielkiej Brytanii podano, że w 1984 roku wpływy wyniosły £ 50.389,20 brutto, co łącznie z saldem z roku poprzedniego dało sumę £ 51.788,40.

30-3-85

Zmarł w Londynie w wieku 77 lat Marek Żuławski, artysta malarz i pisarz.

1-4-85

Na 25-lecie Fundacji Kościelskich w Genewie została wydana broszura pamiątkowa z wykazem nagród i biogramami laureatów (Skład Główny Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie — cena £1.00). ■ Pismo litewskie *Saltinis* (Źródło), ukazujące się w Wielkiej Brytanii, zamieściło list zarządu Stowarzyszenia Młodzieży Litewskiej w Wielkiej Brytanii do Papieża w sprawie kanonizacji bł. Michała Giedroycia. Główne uroczystości 500-lecia jego śmierci odbędą się w najbliższych tygodniach w Krakowie.

9-4-85

Wybitny lekarz, specjalista z zakresu chorób płucnych, prof. Tadeusz Kiełanowski z Gdańska, został członkiem *World Academy of Arts and Sciences*. Akademia ta skupia w dwóch sekcjach — europejskiej i amerykańskiej — najwybitniejszych uczonych i artystów, których dorobek odgrywa doniosłą rolę dla ludzkości.

KRONIKA AUSTRALIJSKA I NOWOZELANDZKA

Trzeci z kolei Festiwal Kultury i Sztuki Polskiej australijskiej Polonii odbył się w Melbourne. Festiwale te organizowane są co pięć lat. Poprzednie odbyły się w Sydney i Adelaidzie. W ostatnim Festiwalu wzięło udział 730 osób z terenu Australii i Adelaidzie. Z liczby tej olbrzymią większość stanowiła młodzież urodzona na obczyźnie. Wielokierunkowość festiwalu (występy folklorystyczne, wystawy sztuki, przedstawienia teatralne i filmowe, koncerty muzyczne itd.) dała szeroki przekrój dorobku i działalności kulturalnej 150-tysięcznej australijskiej Polonii. Ogółem około 15 tysięcy osób był obecnych na imprezach i uroczystościach festiwalowych. W ostatnich kilku miesiącach wydano w Australii szereg książek miejscowych polskich autorów. Wśród nich: tomik poezji Józefa Lemiesz-Wawrzynkiewicza (Melbourne) „Trzy pokolenia”, opracowanie graficzne i rysunki Katarzyny Anasiewicz; praca zbiorowa „Wspomnienia byłych żołnierzy Armii Krajowej” (Melbourne); wspomnienia z kampanii wojennej kaprala A. Paleja z 2-go korpusu, pt. „Przeżyć i wrócić” (Adelaide) spisane przez Stanisława Gotowicza; praca zbiorowa pod redakcją Tadeusza Kempy, wydana w języku angielskim pt. „The Monument of Polish-Australian Brotherhood in Arms”. (Publikacja ta jest kroniką budowy pomnika polsko-australijskiego braterstwa broni w Hobart i zarysem historii Polonii w Hobart i Australii); „Poland in the eighties: social revolution against real socialism”, pod redakcją Roberta Millera, jest książką wydaną przez Australijski Uniwersytet Narodowy w Canberra i pierwszą australijską publikację książkową na temat współczesnej sytuacji w Polsce (zawiera głównie artykuły Polaków, wykładowców na australijskich uniwersytetach). ■ XXI Zjazd Delegatów Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, który odbył się w Melbourne, wybrał nowe władze. Prezesem po raz czwarty został Krzysztof Łanucki. W skład obecnego prezydium wchodzi zarówno przedstawiciele dawnej emigracji, jak i popaździernikowej i najnowszej, oraz osoby, które wychowały się i ukończyły studia w Australii. Zjazd powołał Komitet Spraw Krajowych i Komisję Informacyjno-Propagandową, której zadaniem będzie m.in. oddziaływanie i wpływanie na opinię australijskich polityków i wpływowych czynników. ■ Znany działacz społeczny i kombi-

tancki z Adelaidy, Henryk Krzymuski, otrzymał wysokie australijskie odznaczenie państwowe, Order of Australia, za zasługi w działalności na rzecz polskiej społeczności. ■ W Melbourne odbył się zorganizowany przez federację wspólnot etnicznych kongres pod nazwą „Wielokulturowa Australia”. Na kongresie tym wybrany został przewodniczącym Federacji Rad Grup Etnicznych, obejmującej całą Australię, działacz polonijny z Sydney i przewodniczący Rady wspólnot etnicznych w stanie Nowej Południowej Walii, Włodzimierz Wojak. ■ W Adelaidzie zginął w wypadku samochodowym Waldemar Obrębski, światowej sławy polski trener piłkarski. ■ Polskie Koło Kulturalno-Artystyczne w Melbourne urządziło wieczór dyskusyjny na temat problemów, związanych z różnicami poglądów między dawniejszą i najnowszą emigracją (liczącą w Australii około 15 tys. osób). Było to pierwsze tego rodzaju zebranie dyskusyjne w Australii i zgromadziło wiele osób, zarówno z dawniejszej, jak i najnowszej emigracji. ■ Na walnym zebraniu Stowarzyszenia Polaków w Nowej Zelandii wybrano nowy zarząd: prezes Józef Medruń, wiceprezes Jacek Antkowiak (z najnowszej emigracji), sekretarz Jacek Śliwiński (również z najnowszej emigracji). ■ Już czwarty rok działa w stolicy Nowej Zelandii, Wellingtonie, polska sekcja w Access Radio, nadająca audycje w każdą niedzielę.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

KRONIKA KANADYJSKA

Kanadyjska Rada Wielokulturowości jest organem doradczym ministra d/s wielokulturowości, który mianuje jej członków. Skład Rady — podobnie zresztą jak zakres jej działalności — jest zmienny, zależny od każdego nowego ministra i polityki rządu. W pierwszym okresie istnienia Rada liczyła 100 członków, a w ostatnim — rządy liberałów — 30. Obecnie — z końcem lutego — nowy minister Jack Murta powołał nowych ludzi do Rady Doradczej, powiększając ją równocześnie do 60 osób. Komitet wykonawczy składa się z 13 członków, mianowanych z 5-ciu regionalnych komitetów, zbierających się raz na kwartał, z tym że jedno zebranie odbywa się w komplecie, to znaczy z udziałem wszystkich członków. Skład personalny Rady jest dość wyraźnym wykładnikiem aktualnej polityki wielokulturowości. Zdecydowany nacisk położony został na zwalczanie wszelkich przejawów dyskryminacji — stało się to zresztą przed ponad 5 laty w związku z napływem imigrantów z krajów azjatyckich i afrykańskich. Na 60 członków Rady ponad jedną trzecią stanowią przedstawiciele „kolorowych” (widocznych) grup etnicznych: chińskiej, japońskiej, filipińskiej, koreańskiej, wietnamskiej, hinduskiej, pakistańskiej, afrykańskiej. Grupa ukraińska ma 6 przedstawicieli łącznie z przewodniczącym Rady. Po 5 przedstawicieli mają grupy włoska i grecka; portugalska i żydowska po 3 reprezentantów, podczas gdy polska tylko jednego. Do Rady mianowano oczywiście i autochtonów, a obok nich: kilku rdzennych anglo- i francuskojęzycznych. ■ W Toronto zmarł Julian Wielgosz, ppłk lotnictwa, prezes najliczniejszego Koła SPK w Kanadzie. Należał do aktywnych działaczy społecznych, brał udział w różnych akcjach. Cieszył się powszechnym zaufaniem i szacunkiem. ■ W Ottawie zmarł w wieku lat 84 profesor Bogdan Zaborski, wybitny geograf, profesor wyższych uczelni w Polsce, Anglii i w Kanadzie. Wykładał w Montrealu i Ottawie aż do przejścia na emeryturę w 1976 roku. Jest autorem szeregu prac, opracował liczne mapy. Piastował różne stanowiska — łącznie z prezesurą — w Polskim Instytucie Naukowym w Kanadzie. ■ Kazimierz Głaz, artysta, który jako stypendysta Fundacji Michael Karolyi

przebywał w latach 1966-1968 w Vence, wydał w nakładzie 100 egzemplarzy swoje wspomnienia pt. „Gombrowicz w Vence”. Cena egzemplarza \$100, z podpisem autora — \$200. Książka zawiera 170 stron tekstu w języku polskim, zdjęcia, listy Gombrowicza do autora, dwie strony manuskryptu z „Rozmów z Dominique de Roux”, trzy krótkie teksty Gombrowicza, dwa autobiograficzne opowiadania Głaza oraz reprodukcje jego prac. ■ Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Kanadzie ogłosiło rodzaj apelu werbunkowego. Wzywa „chodzących luzem” do włączenia się do pracy organizacyjnej. W miarę upływu lat SPK traci charakter kombatancki, zmienia się w organizację społeczną. Miejsce w niej więc znajdują i nie-kombatanci, którym odpowiada platforma ideologiczna: „Ideową podstawą Stowarzyszenia jest nieprzerwana walka o wolną i niepodległą Polskę”. ■ Dnia 12 maja, w 50 rocznicę zgonu Marszałka Piłsudskiego, odbędą się w Toronto następujące uroczystości: msza św. w kościele Matki Boskiej, akademii publiczna w Domu SPK oraz wystawa związana z osobą Marszałka: książki, fotografie, dokumenty, pamiątki. Organizatorem całości jest komitet, na czele którego stoi Zbigniew Giera. ■ Najstarsza polonijna organizacja kombatancka, Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce — Placówka 114 w Toronto, uniezależniła się od centrali, tj. od Zarządu Głównego SWAP w Stanach Zjednoczonych. Organizacja ta założona została przez b. żołnierzy armii gen. J. Hallera w USA, ale objęła również Kanadę, gdzie założono kilka oddziałów (placówek). Z czasem obok hallerczyków znaleźli się kombatanci innych polskich formacji wojskowych. Po ostatniej wojnie SWAP werbował kombatantów nowej emigracji. Placówka 114 stała się Stowarzyszeniem Weteranów Armii Polskiej im. gen. J. Hallera w Kanadzie. ■ Nowe dzieło muzyczne „Polskie requiem” Krzysztofa Pendereckiego, wykonane po raz pierwszy w Regensburgu 31 marca, było transmitowane przez państwową sieć radiową CBC. Komentator nie omieszczał powiedzieć, że utwór został zamówiony przez „Solidarność” dla uczczenia pamięci zabitych na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku.

B. H.

Toronto, 2 kwietnia 1985 r.

KRONIKA NORWESKA

Norweski eksport do Chin komunistycznych w 1984 roku zwiększył się ponad dwukrotnie w stosunku do roku 1983. Jest większy niż eksport do Związku Sowieckiego i wynosi ponad 640 milionów koron. Norwegia sprzedaje m.in. komputery, sprzęt komunikacyjny i statki. ■ W procesie sowieckiego szpiega Arne Treholta (byłego wiceministra) nastąpiła przerwa. Poza szpiegostwem na rzecz Związku Sowieckiego Treholt jest oskarżony o współpracę z wywiadem irackim, od którego otrzymał około 40 tys. dolarów. Znaczna część rozprawy ze względu na tajemnicę państwową odbywa się przy drzwiach zamkniętych. ■ Norwegia postanowiła obniżyć — m.in. na prośbę państw OPEC — wydobycie ropy naftowej. Jej zapasy wystarczą na eksploatację przez okres około 50 lat. ■ 27 marca br. odbyło się w Oslo walne zebranie Polsko-norweskiego Towarzystwa Kulturalnego. Przewodniczącym zarządu na nową dwuletnią kadencję wybrano ponownie p. Jacka Janiszewskiego. ■ Poseł B. E. Ytterhorn z prawicowej partii „Postęp” podjął w norweskim parlamencie sprawę sowieckiej okupacji krajów bałtyckich. Zaproponował wniesienie tego problemu na forum ONZ i zajęcie się tą sprawą tak, jak Południową Afrykę czy Nikaragwę.

Paweł GAJOWNICZEK

Listy do Redakcji

Montreal, 8 marca 1985.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W związku ze śmiercią śp. Witolda Babińskiego chciałem prosić Pana Redaktora o łaskawe umieszczenie w *Kulturze* mojego listu z następującą informacją.

Od przeszło roku naszą wspólną troską była sprawa losów archiwum Kazimierza Sosnkowskiego i procesu związanego z próbą przewiezienia urny z prochami Generała do Polski. Koszta związane z tą rozprawą spadły na Polskie Towarzystwo Historyczno-Literackie, które od lat boryka się z trudnościami finansowymi w utrzymaniu tak ważnej placówki historycznej i kulturalnej. Postanowiłem więc, zamiast kwiatów na trumnę mego stryja, przekazać w imieniu mojej rodziny i moim sumę 1.500 franków na pomoc w pokryciu kosztów tego procesu.

Jednocześnie, na ten sam cel, przekazałem całość otrzymanej od RWE sumy za udział w audycji radiowej dotyczącej testamentu Generała Sosnkowskiego.

Łączę wyrazy należnego szacunku

Stanisław BABIŃSKI

Zurych, 25 marca 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Niniejszym pragnę w imieniu Biblioteki Centralnej w Zurychu sprostować informację o księgozbiorze śp. pana Tadeusza Sarneckiego (wieloletniego lektora języka polskiego na Uniwersytecie Zurychskim), która ukazała się w marcowym numerze *Kultury*.

Niestety pan Sarnecki zmarł, nie zostawiając testamentu a tym samym rozporządzenia odnośnie dalszego losu swego księgozbioru, obejmującego przedłuż dotychczasowych obliczeń 7.000 tomów. W celu uchronienia przed rozprzedażą, zdecydowała Biblioteka Centralna księgozbiór pana Sarneckiego w całości zakupić, aby studenci i miłośnicy języka, literatury, kultury i historii Polski nadal mogli z niego korzystać.

Łączę wyrazy poważania

Monika BANKOWSKI-ZÜLLIG

Jeden z naszych czytelników w Londynie przesłał swoje wrażenia z pobytu Prymasa Glempa w Wielkiej Brytanii. Są one tak ciekawe że zamieszczamy fragmenty listu (Redakcja).

Szanowny Panie Redaktorze!

Londyn 15 kwietnia 1985.

Ponieważ pozycja Prymasa w Polsce jest ważna w każdej sytuacji, chciałem być na kilku uroczystościach, żeby zebrać jak najwięcej osobistych wrażeń. Otóż pierwsza „feta” to była uroczysta msza św. w Katedrze Westminsterskiej w obecności kardynałów Anglii, Francji, Niemiec Zachodnich, Austrii, Jugosławii, Polski i chyba Szkocji. W czasie mszy używano angielskiego, łaciny, polskiego i cerkiewno-starosłowiańskiego. Po mszy Prymas był jedynym kardynałem, który mógł wygłosić krótkie *exposé*. Wypadło dobrze, było przygotowane, czytane a nie improwizowane i dobrze przetłumaczone na angielski. Natomiast sama msza nasunęła sporo refleksji. Otóż Kyrie i Ewangelię śpiewał bp Horniak, unita londyński, wraz z chórem unickim (*Hospodi pomolimsia*) w języku starosłowiańskim. Wypadło to bardzo dobrze. A ja myślałem sobie, że przecie ten kościół unicki, to była kiedyś integralna część Rzeczypospolitej, zresztą przez nią zainicjowana i przez nią wprowadzona w życie. A teraz siedzi polski prymas i polscy biskupi i nic nie mają z tym wspólnego. Natomiast jest powiązanie między unitami i Anglikami-katolikami, którzy tego Horniaka zaprosili i powierzyli mu ważne funkcje. A potem doszło jeszcze jedno wrażenie. Po mszy podeszła pani, pochodząca ze znanej rodziny kresowej i zapytała: — Kto to był ten jakiś biskup, czy nie biskup w wielkiej koronie, który śpiewał Kyrie i Ewangelię? Tak bełkotał, że ja nic nie mogłam zrozumieć. — Jak strasznie ta Polska zwęziła się — pomyślałem sobie.

A na marginesie jeszcze jedna uwaga. Przed Bożym Narodzeniem był tu arcybiskup Gulbinowicz. Wyróżniał się on tym, że w każdej nauce było coś o Wschodzie, albo o prawosławiu, albo o katolikach „tam daleko w granicach dawnej najjaśniejszej Rzeczypospolitej”. Pod tym względem stanowił wyjątek wśród Polaków, bo było widać, że jest wychulony na Wschód. A zakończył nauki w sposób zupełnie prawosławny, a mianowicie tak jak archirej *po molebnoj*, który stoi i z wielkiego kosza rozdaje wiernym kawałki poświęconego chleba, rozmawiając z nimi jednocześnie, tak samo Arcybiskup Gulbinowicz stał z wielkim koszem opłatków, każdemu wręczał kawałek z niektórymi rozmawiał.

Ale wróćmy do Prymasa. Potem widziałem go na polskiej mszy w opactwie benedyktynów na Ealingu. Do angielskich benedyktynów mówił dobrze, widocznie przygotowany, natomiast do Polaków słabo. Nie przemawia do mnie hipoteza, że „oko za oko i ząb za ząb” to były prawa naturalne, które Chrystus przyszedł usunąć ograniczając naturę. Chrystus rewolucjonista. O wiele bardziej odpowiada mi interpretacja ks. Mirewicza, że Chrystus działał zgodnie z naturą, usuwając jedynie wypaczenia i wynaturzenia.

Ostatnie widzenie Prymasa w kościele św. Andrzeja Boboli — czysto polskie — było najgorsze. Odnosiło się wrażenie, że ci ludzie, którzy tam byli i sprawy które są dla nich bliskie, nie go nie obchodzą, że nie o nich nie wie i nie chce wiedzieć. Biskup emigracji Wesoły siedział niezaangażowany. Już na samym początku, witając Prymasa, lokalny proboszcz (dawny żołnierz Brygady Karpackiej) powiedział, że ten kościół spełnia podwójną rolę, że z jednej strony jest normalną parafią, a z drugiej jest tym miejscem gdzie odbywają się uroczystości i ceremonie patriotyczne, narodowe i historyczno-oddziałowe. Prymas Glemp w swoim kazaniu zignorował to całkowicie. W czasie mszy odprowadzanej przez bp. Dąbrowskiego siedział i rozglądał się. Siedział wobec takich symboli jak witraż Andersa, witraż Brygady Karpackiej, 1-ej Dywizji Pancerniej i Lotnictwa w Wielkiej Brytanii, symboli nie

tylko emigracyjnych ale i ogólnopolskich — i kompletnie w kazaniu je zignorował, nie specjalnego do obecnych ludzi i „obecnych” symboli nie powiedział. Takie kazanie mógł wygłosić byle prałat i przyjazd Prymasa był do tego zupełnie niepotrzebny. Dopiero kiedy po skończonej uroczystości przemówił prezes komitetu parafialnego i wspominał, że jest w tym kościele obraz Matki Boskiej Kozielskiej, to Prymas zerwał się żeby go zobaczyć.

Osobiście odnoszę wrażenie, że chciał „zabłysnąć” wśród Anglików natomiast emigrację traktował per nogam — tak jak większość ludzi w kraju nie o niej nie wiedząc i nie chcąc się dowiedzieć. I mam wrażenie, że bez mała do końca, a może i do końca nie zrozumiał, że Anglicy-katolicy przyjmowali go „szumninie” nie dlatego, że on jest prymasem Polski, ale dlatego, że w tym kraju jest dużo Polaków-katolików, którzy bardzo podpierają katolicyzm w Wielkiej Brytanii. Więc fetowano go jako duchowego opiekuna tych, którzy wzmacniają katolicyzm w tym kraju, a nie jako prymasa odległej i mało znanej Polski. Ale prymas Glemp i jego doradca bp Jerzy Dąbrowski chyba do końca tego nie zrozumieli.

CZYTELNIK

Do Redakcji Kultury.

Dziwnie niegrzeczny i całkiem absurdalny komentarz do mojego listu (*Kultura* nr 3) nie zachęca do repliki. Chodzi mi jednak o chaos w pojęciach, jaki powstać może zwłaszcza u emigracyjnych czytelników pisma. Więc jeszcze parę słów.

Kraje komunistyczne, choć wywodzące się z wspólnego pnia marksowsko-leninowsko-stalinowskiego, po kilkudziesięciu latach praktyki zróżnicowały się niewątpliwie. Na przykład w NRD istnieje wielki procent przedsiębiorstw prywatnych czy spółek prywatno-państwowych, samodzielnie prowadzących handel zagraniczny, podczas gdy w Albanii prywatnej produkcji nie ma w ogóle, a niewielki handel zagraniczny jest w wyłącznej gestii państwa. W Polsce, jak wiadomo, 80 % ziemi znajduje się w rękach prywatnych. Osobliwie dzieje się w Jemenie południowym, gdzie marksizm został złączony ściśle z zasadami Islamu. Sprawa stosunku do religii to w ogóle cała gama różnic: w Albanii np. Islam jest zakazany, w Jemenie — obowiązkowy. Na Kubie Kościół współpracuje z państwem, w Polsce jest samodzielny a bywa opozycyjny. I tak dalej i dalej.

Różnice modelowe można by mnożyć, dowodząc one, że życie łączy sobie własne drogi nawet w totalizmie. Oczywiście, dla ludzi żyjących dziesiątki lat na Zachodzie i nie znających ustroju komunistycznego z autopsji są to częstokroć sprawy obojętne. Dla zainteresowanych natomiast mieszkających „demokracji ludowych” bywają wręcz decydujące. Pomijanie tych problemów i zacieranie różnic służy dezinformacji, pogłębiającej jeszcze egoistyczną ignorancję Zachodu wobec krajów, które beztrudno odpisał na straty.

Stefan KISIELEWSKI

Warszawa.

Dyskusja ze Stefanem Kisielewskim jest rzeczą bardzo trudną. Jakikolwiek jednak byłoby tu różnice modelowe — system pozostaje ten sam. Co z tego, że w PRL 80 % ziemi znajduje się w rękach prywatnych, kiedy wiemy w jakiej sytuacji znajduje się rolnictwo i jakie są losy Fundacji pomocy dla rolnictwa indywidualnego. Co z tego, że w Polsce można budować kościoły i że są one wypełnione wiernymi, kiedy mordowani są kapłani — jak ks. Popiełuszko. Tego rodzaju stawianie sprawy jest właśnie dezinformacją, która pogłębia jeszcze niewątpliwie „egoistyczną ignorancję Zachodu”. Tej polemiki nie będziemy kontynuować.

REDAKCJA

Montreal, 7 lutego 1985.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Z niemałym zdziwieniem przeczytałam notatkę p. R. Sikorskiego w nr 11 (1984) *Kultury* na temat Uniwersytetu Letniego Polonii Świata, która mnie jako uczestniczkę tej sierpniowej sesji 1984 roku wydaje się całkowicie sprzeczna z rzeczywistością.

Według p. Sikorskiego „dobór tematów był przypadkowy i brak było myśli przewodniej”. Otóż moim zdaniem żadnej przypadkowości nie było, gdyż zgodnie z założeniami Uniwersytetu program obejmował wybrane zagadnienia dotyczące zarówno historii Polski, literatury i języka, oraz problemy społeczno-polityczne i gospodarcze Polski współczesnej.

P. Sikorski twierdzi, że „plan zajęć ogłaszano najwcześniej poprzedniego dnia wieczorem”; w rzeczywistości plany te były ustalane i rozdawane słuchaczom tydzień wcześniej.

Pomijając bezpodstawne uwagi dotyczące wykładów Ks. Hellera oraz pp. Orłowskiego i Kaszuby, całkowicie sprzeczna była także uwaga jakoby w wykładach prof. Kawczaka „brak respektu dla pracy i pieniądza” znalazł się wśród zalet charakteru narodowego Polaków; wprost przeciwnie, myślą przewodnią wykładu było wskazanie na jednostronny rozwój polskiej kultury, wynikający z niedostatecznej troski o rozwój gospodarczy.

zupełnie fałszywe jest twierdzenie, jakoby kierownictwo Uniwersytetu nie zezwoliło na odwiedzenie Monte Cassino — albowiem spędzono tam cały dzień. Program odwiedzin obejmował m.in. apel na cmentarzu poległych żołnierzy oraz na życzenie australijskiej uczestniczki kursu odwiedziliśmy również cmentarz poległych aliantów.

To co pozostało w mojej pamięci z wypowiedzi prof. Henri Adamczewskiego jest tak sprzeczne z cytatami podanymi przez p. Sikorskiego, że nieporozumienie mogę jedynie tłumaczyć próbą zademonstrowania złośliwej oceny.

Żle się stało, że nowopowstała i niezwykle ważna dla rozwoju polskiej myśli naukowej placówka została przedstawiona na łamach *Kultury* w tak krzywym zwierciadle.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

Anna LUBICZ-ŁUBA

Polski Instytut Naukowy w Kanadzie

Wyjaśnienia p. Lubicz-Łuby nie zmieniają naszego krytycznego stosunku do sposobu realizowania słusznej w zasadzie koncepcji Uniwersytetu Letniego. Miejmy nadzieję, że tegoroczna Sesja będzie lepiej przygotowana. Co prawda do tej chwili nie otrzymaliśmy żadnych informacji i komunikatów w tej sprawie. **REDAKCJA.**

Do Redakcji *Kultury*.

W pracy magisterskiej o twórczości Józefa Mackiewicza, obronionej na UJ w Krakowie, znalazła się informacja, że po zamordowaniu przez wileńskie Podziemie Czesława Ancerewicza mąż mój objął redakcję *Gońca Codziennego*. Informacja ta została zaczerpnięta z opracowanej przez Jana Kowalika „Bibliografii czasopism polskich wydawanych poza granicami Kraju od września 1939 roku” (Katolicki Uniwersytet Lubelski, 1976. Wydanie fotooffsetowe z maszynopisu autora. Tom IV, poz. 3726). Jako źródło Jan Kowalik podaje: list Józefa Mackiewicza.

Józef Mackiewicz nie miał powodu, by w liście do p. Kowalika napisać,

że był redaktorem *Gońca Codziennego* po śmierci Ancerewicza, skoro to była nieprawda (por.: Józef Mackiewicz: „Redaktor” Bohdan Mackiewicz”, *Zeszyty Historyczne* nr 20, także w książce „Droga Pani”, Kontra, Londyn 1984).

Na moją prośbę o przysłanie mi fotokopii owego rzekomego listu Józefa Mackiewicza p. Kowalik 3 marca 1985 roku odpisał:

„Potwierdzam odbiór Pani listu z prośbą o wyjaśnienie 'fałszywej informacji', w jaką zaopatrzyłem poz. 3726 w czwartym tomie mojej bibliografii czasopism, oraz nadesłanie Jej kopii listu Józefa Mackiewicza, nadesłanego mi przed 27-mioma laty. Ponieważ idzie tu o sprawę sprzed przeszło ćwierć wieku, a ja zakończyłem pracę nad czwartym tomem kilkanaście lat temu, warunki w jakich pracuję nie pozwalają mi na dłuższe przechowywanie tysięcy notatek i listów, nie mogę niestety zadośćuczynić Pani prośbie. O ile sobie przypominam, odpowiedź Józefa Mackiewicza dotyczyła nasświetlenia warunków w jakich prasa ta istniała, i zawierała sprostowanie dat niektórych wydarzeń politycznych, związanych ze zmianami *status quo* Litwy. ... Mój opis zawiera często elementy z kilku dokumentów naraz, czasami sporządzony jest na podstawie drugorzędnego źródła. Nieraz podałem przy pozycji tylko jedno źródło, chociaż używałem kilka różnych danych. Ponieważ jak już wspominałem list Józefa Mackiewicza zawierał ogólne tylko uwagi i poprawki, więc musiałem chyba przy wspomnianej pozycji korzystać z innego jeszcze źródła, które przy przepisywaniu zostało opuszczone, i zostawia mnie teraz, po latach w próżni...”

Jeżeli p. Kowalik tak dobrze pamięta treść listu mego męża sprzed 27 lat, dlaczego nie chce, albo z jakich względów nie może wskazać owego „drugorzędnego źródła”? Nie ma nawet znaczenia, czy zostało ono „przy przepisywaniu opuszczone” niechcący czy naumyślnie. Ma natomiast znaczenie to, że „list Józefa Mackiewicza” został (przy przepisywaniu?) dodany umyślnie.

A oto dowód. 3 sierpnia 1959 roku p. Kowalik napisał do Józefa Mackiewicza:

„... Staram się przedostać przez dżunglę polskiej prasy wychodzącej po r. 1939, aby napisać szkic na temat losu i dziejów wydawnictw emigracyjnych, gdyż prosił mnie o to dr Terlecki, dla wydawnictwa zbiorowego, które pod jego redakcją ma ukazać się (Bóg wie kiedy) w Londynie.

Załączony do listu artykuł, ogł. jako praca seryjna w *Ostatnich Wiadomościach*, szkicuje prasę polskojęzyczną, m.in. terenu Wileńszczyzny i Litwy. Bardzo Pana proszę o przejrzenie tych dwu stron, i podanie Swych uwag na temat moich przeoczeń, błędów czy pomyłek, oraz ewtl. uzupełnienie listy przytoczonych przeze mnie wydawnictw...”

W tomie drugim wspomnianej pracy zbiorowej pod redakcją Tymona Terleckiego („Literatura polska na obczyźnie 1940-1960”, B. Świdorski, Londyn 1965) p. Kowalik przytacza uzyskane od Józefa Mackiewicza informacje o *Gazecie Codziennej* i w wykazie źródeł pod hasłem „Korespondencja i wywiady” podaje: Józef Mackiewicz (str. 413-415).

A więc dlaczego list Józefa Mackiewicza do Jana Kowalika był rzetelnie wykorzystany w książce „Literatura polska na obczyźnie”, natomiast w wydanej jedenaście lat później „Bibliografii...” został pominięty w adnotacji do *Gazety Codziennej* (tom I, poz. 721), zaś przytoczony jako źródło dla uwiarygodnienia oszczerczej plotki?

Barbara TOPORSKA-MACKIEWICZOWA

RFN, Steinbach/TS, 27 marca 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Marcowy numer *Kultury* przeczytałam, jak zwykle, z pełnym zainteresowaniem. I tylko rubryka „Listy do Redakcji”, pozostawiła po sobie niesmak: Pana odpowiedź na list Stefana Kisielewskiego w sprawie „...krytyki komunizmu w wydaniu sowieckim” — bo tylko taki istnieje...” itd.

Można się zgadzać z Panem, można się też zgadzać ze Stefanem Kisielewskim. Jak zresztą widać z uwag czytelników, pan Kisielewski w swojej opinii nie jest odosobniony. Nie wolno natomiast argumentować swojego stanowiska, tak jak to uczynił Pan: wyśmiewając poglądy pana Kisielewskiego nie dotyczące poruszonego przez niego w liście tematu (ostatni akapit listu: „Życzę powodzenia 'realiście' Kisielewskiemu w próbach bezpośredniego dialogu z Moskwą, ponad głową PZPR — jest to równie realistyczne, jak nadzieje jego przyjaciół na dialog z generałem Jaruzelskim”). Jest to pogląd rzeczywiście dyskusyjny — ale w innym miejscu *Kultury* należy z nim polemizować. Użyty tu jako argument z Pana strony nasuwa od razu przykre skojarzenia z krajowymi środkami przekazu, w których to osoby „niemiłe” obarczano tabunem niesłubnych dzieci, kochanek, wypadkami samochodowymi itp., itd.

Smutne, że i *Kultura* się tego nie ustrzegła.

Mirosława UMIŃSKA

**POLSKA KSIĘGARNIA NA MANHATTANIE
POLISH BOOKS & ARTS, INC.**

97 EAST 7th STREET, NEW YORK, NY 10009

Tel.: (212) 254-8457

Książki polskie. — Książki w języku angielskim dotyczące spraw polskich. — Słowniki. — Podręczniki. — Płyty i kasety. — Bogaty wybór polskich plakatów.

Przyjmujemy książki w komis.
Realizujemy zamówienia pocztowe.

Dokumenty

KOMISJA DISCYPLINARNA A KS. POPIELUSZKO

Komisja Dyscyplinarna
dla Urzędników Państwowych
przy Sądzie Wojewódzkim
w Warszawie
Nr UD 4/84

Warszawa, dnia 24 października 1984.

ORZECZENIE

Komisja Dyscyplinarna dla Urzędników Państwowych przy Sądzie Wojewódzkim w Warszawie, działając w składzie:

Przewodniczący: Janina Skowronek

Członkowie: 1. Łucja Kalmus

2. Irena Brzowska-Swertyńska

Protokółant: Wiesława Wałkiewicz

przy udziale rzecznika dyscyplinarnego Krystyny Grodzkiej, bez udziału obrońcy

na posiedzeniu odbytym w dniu 24 października 1984 roku rozpatrzyła sprawę Ob. Joanny Sokół zam. Warszawa, ul. Szymanowskiego 8 m. 70, zatrudnionej w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie na stanowisku kuratora zawodowego dla nieletnich

postanawia:

— na podstawie art. 36 ust. 1 ustawy z dnia 1 września 1982 r. o pracownikach urzędów państwowych (Dz.U. Nr 31 poz. 214) oraz § 41-43 rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 8 listopada 1982 r. w sprawie zasad, składu i trybu powoływania rzeczników dyscyplinarnych, oraz zasad i trybu postępowania przed komisjami w urzędach państwowych (Dz.U. Nr 38, poz. 260):

a) uznać obwinioną Joannę Sokół winną tego, że w dniu 22 lutego 1984 r. w Warszawie przed budynkiem Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych brała udział w publicznym okazywaniu sympatii i uznania wchodzącemu do gmachu podejrzanemu ks. Jerzemu Popiełuszko, czynem tym naruszyła przepisy art. 17 pkt. 2 ust. 2, 3, 5 i 7 oraz art. 19 pkt. 3 Ustawy o pracownikach urzędów państwowych (Dz.U. Nr 31 poz. 214) i na zasadzie art. 34 ust. pkt. 4 powołanej wyżej ustawy — wymierzyć jej karę przeniesienia na niższe stanowisko.

Uzasadnienie:

Komisja Dyscyplinarna dla Urzędników Państwowych przy Sądzie Wojewódzkim w Warszawie, na podstawie zebranego materiału dowodowego i zeznań świadków ustaliła następujący stan faktyczny:

Obwiniona Joanna Sokół zatrudniona jest od 1978 roku w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy na stanowisku kuratora zawodowego dla nieletnich.

W dniu 22 lutego 1984 roku został wezwany do SUSW na przesłuchanie podejrzany ksiądz Jerzy Popiełuszko. W związku z zebraną dość liczną grupą osób odprowadzających księdza i wyrażających w miejscu publicznym dowody sympatii i uznania w sposób demonstracyjny — funkcjonariusze pilnujący porządku przed budynkiem otrzymali polecenie wylegitymowania osób zachowujących się w sposób prowokacyjny. Wśród osób wylegitymowanych znalazła się obwiniona Joanna Sokół — kurator Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy. Powyższe okoliczności zostały ustalone na podstawie zeznań świadka Mieczysława Chyłkiewicza, którym Komisja dała wiarę. Świadek M. Chyłkiewicz, aczkolwiek sam nie brał udziału w legitymowaniu, widział grupę osób przed budynkiem zachowujących się demonstracyjnie.

Komisja Dyscyplinarna na podstawie zeznań świadka M. Chyłkiewicza, oraz dokumentów zebranych w sprawie i zaliczonych w poczet dowodów uznała, iż obecność obwinionej Joanny Sokół, wśród osób znajdujących się przed budynkiem SUSW, jest bezsporna.

Komisja biorąc pod uwagę materiał zebrany w sprawie, a mianowicie fakt, iż dzień 22 lutego 1984 roku nie był dniem dyżuru w Sądzie obwinionej, oraz to, iż kuratorzy zawodowi Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy, wydziałów rodzinnych i nieletnich pracują w nienormowanym czasie pracy (k. 11), jak również bardzo dobrą opinię Prezesa Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy (k.) uznała, iż wymierzenie kary orzeczonej w sentencji jest odpowiednie do stopnia jej przewinienia. Jak wynika bowiem z opinii Prezesa Sądu i zeznań św. M. Kacperskiej obwiniona cieszy się bardzo dobrą opinią jako pracownik, jest operatywna, zaangażowana, pracuje terminowo, czynności swoje wykonuje szybko, wykazuje w pracy dużą wrażliwość na krzywdę szczególnie dzieci i osób potrzebujących pomocy.

Z uwagi na to, iż obwiniona odmówiła złożenia jakichkolwiek wyjaśnień, Komisja oparła swoje orzeczenie na dowodach zebranych w toku postępowania przygotowawczego i zeznaniach świadka złożonych na posiedzeniu w dniu 24 października 1984 roku.

Komisja nie dała wiary pisemnemu oświadczeniu obwinionej Joanny Sokół z dnia 27. VIII. 1984 r. (k. 3), gdyż nie znalazło to potwierdzenia w zeznaniach świadka M. Chyłkiewicza jak i zaliczonych do materiału dowodowego zeznań świadków A. Łozińskiej i E. Ziejewskiej.

Fakt przebywania przez obwinioną przed budynkiem SUSW i okazywania sympatii osobie wezwanej w charakterze podejrzanego podrywa autorytet pracownika wymiaru sprawiedliwości.

Z tych względów Komisja orzekła jak w sentencji.

Członkowie:

Przewodniczący Kompletu
Orzekającego

1.
2.

Na oryginalne właściwe podpisy.

Przewodniczący
Komisji Dyscyplinarnej
dla Urzędników Państwowych
przy Sądzie Wojewódzkim
w Warszawie

Warszawa, dnia 14. 11. 1984 r.

Ud 4/84

ZAWIADOMIENIE O WNIESIENIU ODWOŁANIA OD ORZECZENIA DISCYPLINARNEGO

Obywatelka
Joanna Sokół
prac. Sądu Rejonowego
dla m.st. Warszawy

Zawiadamiam, że od orzeczenia dyscyplinarnego z dnia 24. 10. 84 r. Nr Ud 4/84 w sprawie Obywatelki — Rzecznik Dyscyplinarny wniósł odwołanie w dniu 7 listopada 1984 r.

Odwołanie wpłynęło w terminie, co spowodowało zawieszenie wykonania orzeczenia.

Akta sprawy wraz z odwołaniem, którego kopię w załączeniu przesyłam, w dniu 15 listopada 1984 roku zostały przesłane do rozpatrzenia przez Odwoławczą Komisję Dyscyplinarną dla Urzędników Państwowych przy Ministrze Sprawiedliwości.

Przewodniczący Komisji
I Instancji

(Janina SKOWRONEK)

Otrzymują do wiadomości:

- 1) Obywatel Prezes
Sądu Wojewódzkiego
w Warszawie
- 2) Prezes Sądu Rejonowego
dla m.st. Warszawy

Warszawa, dnia 7 listopada 1984.

Odwoławcza Komisja Dyscyplinarna dla Urzędników
Państwowych przy Ministrze Sprawiedliwości
za pośrednictwem

Komisji Dyscyplinarnej dla Urzędników Państwowych
nych w Okręgu Sądu Wojewódzkiego w Warszawie.

Dot. Ud. 4/84

Rzecznik Dyscyplinarny dla Pracowników Mianowa-
w Okręgu Sądu Wojewódzkiego w Warszawie.

ODWOŁANIE

od orzeczenia Komisji Dyscyplinarnej dla Urzędników Państwowych
przy Sądzie Wojewódzkim w Warszawie z dnia 24 października
1984 roku Nr 4/84

Na podstawie § 45. 1 Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 8. XI. 1982 r. (Dz.U. Nr 39, poz. 260) zaskarżam wyżej wymienione orzeczenie

w części dotyczącej kary i wnosząc o jego zmianę przez orzeczenie w stosunku do obwinionej J. Sokół kary z art. 34 ust. 3 pkt 5 Ustawy o pracownikach urzędów państwowych (Dz.U. Nr 31, poz. 214) — wydalenia z pracy w urzędzie.

Uzasadnienie

Orzeczeniem Komisji Dyscyplinarnej dla Urzędników Państwowych z dnia 24. X. 1984 r. obwiniona Joanna Sokół uznana została za winną tego, że w dniu 22. II. 1984 roku w Warszawie przed budynkiem Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych brała udział w publicznym okazywaniu sympatii i uznania wchodzącemu do gmachu podejrzanemu ks. Jerzemu Popiełusko; czymś tym naruszyła przepisy art. 17 pkt. 2 ust. 2, 3, 5 i 7 oraz art. 19 pkt 3 Ustawy o pracownikach urzędów państwowych (Dz.U. Nr 31, poz. 214) i na zasadzie art. 34 ust. 3 pkt 4 powołanej wyżej ustawy wymierzono jej karę przeniesienia na niższe stanowisko.

Komisja Dyscyplinarna prawidłowo ustaliła stan faktyczny. Trudno jednakże zgodzić się z orzeczeniem Komisji w części przeniesienia obwinionej na niższe stanowisko, gdyż jak wynika z ustaleń wina obwinionej nie budzi żadnej wątpliwości, co trafnie podkreśliła Komisja w uzasadnieniu orzeczenia.

Z zeznań świadka M. Chyłkiewicza wynika, że ob. J. Sokół nie tylko brała udział w zbiegowisku przed gmachem SUSW, ale zachowywała się tam demonstracyjnie, co w oczywisty sposób nie licuje z godnością pracownika wymiaru sprawiedliwości. Komisja w swoim uzasadnieniu potwierdziła, że zachowanie obwinionej „podrywa autorytet pracownika wymiaru sprawiedliwości”. Nawet świadek obrony Ob. M. Kasperska zapytana „czy zdaniem świadka, jako sędziego, godzi się pracownikowi urzędu państwowego uczestniczyć w demonstracyjnym okazywaniu sympatii osobie podejrzaney” stwierdziła: „nie tylko jako sędzia ale i obywatel oświadczam, że nie”. Tym bardziej więc należy wymagać zrozumienia tego od kuratora zawodowego dla nieletnich, którym jest obwiniona.

Nie można przejść do porządku nad zachowaniem i wypowiedzią obwinionej na rozprawie przed Komisją Dyscyplinarną, kiedy po stwierdzeniu: „Odnosnie zarzutów, których treść znam, nie rozumiem, uważam że to jest nie sposób logicznie zrozumieć... kontynuowanie w tej chwili sprawy jest co najmniej głębokim, żenującym nietaktem” nie okazując żadnej skruchy za swój czyn opuściła salę. Jeszcze raz okazała brak predyspozycji do pracy w wymiarze sprawiedliwości.

Pozytywna ocena dotychczasowej pracy, wyrażona przez bezpośrednich zwierzchników obwinionej, w świetle zachowania jej przed gmachem SUSW, jak i postawy przed Komisją nie może być okolicznością łagodzącą do tego stopnia ażeby mogła powodować pozostawienie Ob. J. Sokół w pracy w sądzie.

W związku z powyższym wnoszę jak na wstępie.

Rzecznik Dyscyplinarny
dla Pracowników Mianowanych przy
Sądzie Wojewódzkim w Warszawie
(K. GRODZKA)

ZARZĄDZENIE W SPRAWIE PRZEKAZYWANIA INFORMACJI

MIEJSKI KOMBINAT BUDOWLANY

„ZACHÓD”

02-057 Warszawa, ul. Filtrowa 54/58

Tel.: 25-86-89.

0145661

Zarządzenie wewnętrzne Nr 28/84

Dyrektora Miejskiego Kombinatoru Budowlanego

„Zachód” z dnia 13 listopada 1984 roku

w sprawie przekazywania informacji o sytuacji polityczno-gospodarczej.

W oparciu o Zarządzenie Nr 61 Prezydenta Miasta Stołecznego Warszawy z dnia 29 września 1984 roku w sprawie utworzenia Centrum Operacyjno-Dyżurnego w Urzędzie Miasta Stołecznego Warszawy oraz pismo Wydziału Gospodarki Mieszkaniowej znak: GM-1/Org./0138/1/84 z dnia 5 listopada 1984 roku w sprawie przekazywania codziennych informacji o sytuacji polityczno-gospodarczej oraz ważniejszych wydarzeniach w przedsiębiorstwie, zarządzam:

§ 1.

Kierownicy wszystkich jednostek organizacyjnych Kombinatoru zobowiązani są do codziennego składania informacji dotyczących takich wydarzeń jak:

1. sytuacja społeczno-polityczna wśród Załogi,
2. przerwy w pracy,
3. ciężkie lub śmiertelne wypadki przy pracy,
4. katastrofy budowlane, katastrofy środków transportu lub ciężkiego sprzętu zmechanizowanego,
5. kradzież mienia, włamania,
6. pożary,
7. ujawnienia przestępstw gospodarczych lub innych przestępstw,
8. klęski żywiołowe i ich skutki (np. zalanie magazynów, warsztatów, awarie sieci, itp.),
9. wyłączenie sieci elektrycznej, dopływu wody, gazu, ogrzewania,
10. awaria instalacji wewnątrz przedsiębiorstwa.

Łącznie z informacją o zaistniałych wydarzeniach należy poinformować o działaniach podjętych celem usunięcia skutków zaistniałych wydarzeń.

§ 2.

1. Wymienione informacje należy przekazywać telefonicznie do godz. 9.00, nr telefonów: 25-22-00, Ob. mgr Grzegorzowi Celińskiemu, który opracuje informację zbiorczą, a po jej akceptacji przez Dyrektora Kombinatoru lub jego Z-cę, przekazuje do Wydziału Gospodarki Mieszkaniowej pisemnie lub telefonicznie w zależności od ich rodzaju, do godz. 10.00, do pokoju Nr 104 lub tel.: 44-42-51, 44-08-75 (telefonicznie informacje negatywne, pozostałe pisemnie).
2. W przypadku nieobecności mgr Grzegorza Celińskiego czynności wymienione w ust. 1 wykonuje inny pracownik Działu Organizacji, Zarządzania i Kontroli.

§ 3.

1. Brak informacji do godz. 9.00 o wydarzeniach wymienionych w § 1 traktowany będzie tak, jak gdyby nie się nie wydarzyło.
2. W przypadku zatajenia wiadomości i niepowiadomienia o zaistniałych wydarzeniach (określonych w § 1) traktowane będzie jako naruszenie podstawowych obowiązków pracownika.

§ 4.

Zobowiązuję Dział Organizacji i Zarządzania do założenia i prowadzenia księgi informacji o sytuacji polityczno-gospodarczej w Kombinacie.

§ 5.

1. Nadzór nad wykonaniem Zarządzenia Prezydenta Miasta sprawuje Dyrektor Kombinatu.
2. Nadzór nad wykonaniem niniejszego Zarządzenia sprawują Z-cy Dyrektora Kombinatu w zakresie swoich obowiązków oraz Kierownicy Zespołów Robót.

§ 6.

Zarządzenie wchodzi w życie w dniu 15 listopada 1984 roku.

Dyrektor
mgr Piotr CIESŁAK

Otrzymują:

Wydział Gospodarki Mieszkaniowej
D, P, T, K, Z, DO, DK, DR, DP, DZ,
PP, KZRBx7, KZREiRx6, KZREx6
KZTx3, ZZ, ZO, TP, TK, TU, KI, KK,
KF, magazyny: ul. Ziemowita 53,
Wagonowa 15/17, Suwa 2/3 — elektr.
nacz. Odź.

Rada Pracownicza
POP PZPR
/84

WZNOWIENIA FOTOOFFSETOWE

Kazimierz BRANDYS — **Miesiące 1980-1981** (Tom II)
F. 55,00.

Witold GOMBROWICZ — **Transatlantyk**
F. 40,00.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI — **Inny Świat**
F. 60,00.

W najbliższym czasie będzie do nabycia komplet mikrofilmów ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH od początku do roku 1984 włącznie (Nry 1-70) w cenie \$ USA 250,00 lub równowartość. Zgłoszenia można nadsyłać już obecnie do redakcji KULTURY.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 395 — KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE 1982-1984

Trzeci tom zapisów pamiętnikarskich o charakterze osobistym na tle wydarzeń kulturalno-politycznych.

Str. 356.

Cena F. 80,00.

TOM 396 — SŁAWOMIR MROZEK

ALFA

Nowa sztuka sceniczna znanego dramaturga, której bohater przypomina postać Lecha Wałęsy. Autor ukazuje nam dylemat człowieka, który stał się symbolem, nie przestając być człowiekiem.

Str. 84.

Cena F. 40,00.

TOM 398 — WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

ZABEZPIECZANIE ŚLADÓW

Nowa książka autora „Zasypie wszystko, zawieje...”.

Zawiera opowiadania: *List, Bóg z tobą synu, „I Duch się skupił w jedno ziarno”, Pod murem, Ku Dunynańskiemu Wzgórzu idzie las, W stepie, w ostach i w burzanie.*

Str. 128.

Cena: F. 45,00.

TOM 400 — CZESŁAW MIŁOŚZ

NIEOBJĘTA ZIEMIA

Zbiór nowych wierszy i epigramów

Str. 148.

Cena F. 55,00.

TOM 401 — JÓZEF ŁOBODOWSKI

DWIE KSIĄŻKI

Na tom składają się dwa tomiki poezji: „Dytyramby nieprzejednane” o charakterze zdecydowanie politycznym i „Południe fauna” o charakterze całkowicie odmiennym: są to pejzaże, niekiedy mitologiczne i erotyki pisane w różnych epokach.

Str. 108.

Cena F. 45,00.

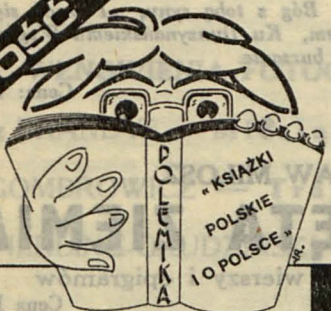
Przyjaciele „Solidarności” (Friends of „Solidarity”), Kitchener, Ont. (Kanada) sumę zebraną ze składki członkowskich, sprzedaży kart wielkanocnych i prywatnych darów na pomoc prześladowanym członkom „Solidarności” i ich rodzinom — \$ c. 500,00 F.3.350,00

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

G. M. Nok — Krn 300,00 i B. S. Nok — Krn 200,00, Fredrikstad (Norwegia) — razem Krn 500,00 na pomoc dla walczących w kraju żeby Polska była Polska F. 526,30
Alice Pariseau, Montréal, Qué. (Kanada) F. 360,00

W darach ogłoszonych w numerze kwietniowym *Kultury* (str. 175 Nr 4/451) zdarzył się bardzo przykry błąd w nazwisku za który najmocniej przepraszamy ofiarodawcę. To p. Aleksander BAK (nie BAG), Calgary, Alta (Kanada) przekazał \$ c. 500,00, z czego po \$ c. 200,00 na „Solidarność” i „Żeby Polska była Polska” i \$ c. 100,00 na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego. (REDAKCJA).

NOWOŚĆ



**KSIEGARNIA
POLEMICA**

WYDAWNICTWA POLSKIE
I OBCOJĘZYCZNE NA TEMAT
POLSKI I EUROPY
WSCHODNIEJ

ANTYKWARIAT
49, RUE GAY LUSAC
75005 PARIS
TÉLÉPHONE : 354.25.48

MÉTRO : LUXEMBOURG
AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2^e trimestre 1985.

Imprimé en France
N° d'imprimeur 7092.

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. pol.

Prenumerata

1/2-roczna

roczna

Ceny na rok 1985

AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181

F. 38,00

F. 220,00

F. 400,00

ARGENTYNA : « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires

F. 38,00

F. 220,00

F. 400,00

AUSTRALIA : Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248

\$ A. 5,50

\$ A. 30,00

\$ A. 56,00

AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-60-175

F. 38,00

F. 220,00

F. 400,00

BELGIA : Maria Rodomanska, 132, Avenue Coghen, 1180 Bruxelles. Tel. (2) 345 08 25. Konto 310.0334324.51 w Banque de Bruxelles

F.B. 300,00

F.B. 1500,00

F.B. 2750,00

BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury »

\$ US 5,00

\$ US 28,00

\$ US 52,00

DANIA : O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..

F. 38,00

F. 220,00

F. 400,00

FRANCJA : do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu

F. 38,00

F. 220,00

F. 400,00

HOLANDIA : Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176.

Fl h 15,00

Fl h 85,00

Fl h 155,00

IZRAEL : Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311

F. 38,00

F. 220,00

F. 400,00

KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Związkowiec »), 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9

\$ Can. 6,00

\$ Can. 35,00

\$ Can. 60,00

NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 Munchen 45, Gablonzerstr. 7/1.

DM 13,00

DM 75,00

DM 140,00

NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss. ...

F. 38,00

F. 220,00

F. 400,00

SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.

F.S. 11,00

F.S. 65,00

F.S. 115,00

SZWECJA : Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6

K.S. 36,00

K.S. 200,00

K.S. 380,00

U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104;

Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; H. Kosciuch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554;

Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. (212) 354-0492; Polish Books & Arts, Inc., 97 East 7th St., New York, N.Y. 10009, tel. (212) 254-8457

\$ US 5,00

\$ US 28,00

\$ US 52,00

WIELKA Brytania : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5 ORD. Tel. (01) 370 2210

F. 38,00

F. 220,00

F. 400,00

WŁOCHY : Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75-67-241

F. 38,00

F. 220,00

F. 400,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.400; półroczna — F.220.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.5,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 402 — ZOFIA ROMANOWICZOWA

NA WYSPIE

Nowa powieść znanej autorki to dzieje młodej Polki, ocalałej z niemieckiego obozu śmierci, którą dziwne koleje losu wyrzuciły na wyspę świętego Ludwika w Paryżu.

Str. 168.

Cena F. 65,00.



TOM 403 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Zawiera m.in. opracowania: J. Krajowca: *Czterdziestolatek*; J. M. Olity: *Polacy, Litwini, Rosjanie*; (j.a.): *Październik 1984*; *Akt oskarżenia przeciwko ks. J. Popiełuszcze wraz z aneksem do Aktu*; *Rozmowa z J. E. Metropolitą Szeptyckim*; *Sprawa ukraińska*; J. Szendery: *W poszukiwaniu porozumienia*; J. Nowaka: *Zapiski więzienne Prymasa i raport policjanta*; T. Wyrwy: *Pierwsze lata PRL w raportach dyplomatów francuskich i in. oraz obszerny dział RECENZJI*.

Str. 240.

Cena F. 60,00.



TOM 404 — ADAM MICHNIK

Z DZIEJÓW HONORU W POLSCE

Wypisy więzienne

Próba analizy problemu honoru we współczesnej literaturze polskiej ilustrowana fragmentami utworów Zbigniewa Herberta, Hanny Malewskiej, Czesława Miłosza, Jana Józefa Szczepańskiego oraz Henryka Elzenberga i Witolda Kuli.

Str. 288.

Cena F. 95,00.



TOM 405 — JAN MUR

DZIENNIK INTERNOWANEGO

(GRUDZIEŃ 1981 - GRUDZIEŃ 1982)

Str. 200.

Cena F. 85,00.